Ewa K. Czaczkowska

Cuda świętej Faustyny

znak

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Ewa K. Czaczkowska

Cuda świętej Faustyny

Wydawnictwo Znak ● Kraków 2014

Pięć palców Faustyny

Zakonnica stanęła w otwartych drzwiach sali na pierwszym piętrze oddziału neurologicznego szpitala Luigi Sacco w Mediolanie. Luciano Boschetto i Francesco Ficarotti dostrzegli ją już chwilę wcześniej, kiedy szła długim korytarzem. Początkowo widzieli tylko, że przygaszone nocą światło jaśnieje, a potem ujrzeli jakiś cień. Myśleli, że to pielęgniarka idzie do chorego z lekarstwem. Ale światło stawało się coraz silniejsze. Nagle zobaczyli w nim siostrę zakonną. „Co ona tutaj robi? W dodatku o tej porze?” – dziwili się. „To chyba jakaś wariatka” – mówił Luciano. Była trzecia w nocy z 20 na 21 kwietnia 2004 roku.

Zakonnica popatrzyła na częściowo sparaliżowanego Luciana, który leżał najbliżej drzwi. Następnie spojrzała na Francesca, który po lekkim udarze mózgu mówił niewyraźnie. Na koniec skierowała wzrok na śpiącego w głębi trzeciego pacjenta, którego imienia dwaj pozostali nie zapamiętali. Potem zrobiła trzy kroki i stanęła przy łóżku Luciana, na wysokości jego nóg.

– „Nie bój się. Przyszłam do ciebie”. – Luciano zapamiętał to spotkanie w najdrobniejszych szczegółach. – Nie rozumiałem, co się dzieje. Byłem ogromnie przestraszony. Ona znowu zrobiła trzy kroki i podeszła blisko mnie. Położyła prawą rękę na mojej piersi, o tutaj... – Luciano ubrany

w jasny wzorzysty sweter wskazuje środek klatki piersiowej. – Poczułem ogromny ból i ciepło. Powiedziała: „Przyszłam cię uzdrowić i cię uzdrowię. Jedyna rzecz, o którą cię proszę, to żebyś przyszedł do mnie, jak będziesz już zdrowy”. Ona mówiła, a ja drżałem ze strachu. Płakałem.

– Czy coś powiedziałeś?

– Jąkałem się. Trudno było mi mówić. Ale powiedziałem coś takiego: „Oczywiście, jak wyzdrowieję, to przyjdę do ciebie, ale ja cię nie znam. Nie wiem, kim jesteś. Nie wiem, gdzie mam cię szukać”. Wtedy ona cofnęła rękę z mojej piersi i pokazała otwartą dłoń. Na jej ręku pojawił się kościół. Wydawało mi się, że jestem na jego dziedzińcu. „Co ja tutaj robię?”, myślałem. Widziałem go bardzo dokładnie. Był nieduży, z czerwonej cegły, do wejścia prowadziły cztery stopnie po trzy schodki, po lewej stronie był betonowy mur, po prawej budynek z czerwonej cegły. Z przyzwyczajenia, bo jestem murarzem, policzyłem nawet okna, miał jedenaście okien na parterze i jedenaście na piętrze. Nigdy wcześniej nie widziałem tego kościoła i nadal niczego nie rozumiałem. A ona mówiła: „Ja jestem tutaj. To jest mój dom. Pamiętaj, że dla ciebie jest zawsze otwarty. Czy przyjdziesz w dzień, czy w nocy, ja tu zawsze czekam. A teraz muszę iść”. I poszła.

Wizyta trwała nie dłużej niż dziesięć minut.

Francesco również widział zakonnicę. Ale tylko do momentu, gdy stanęła w progu sali. Słyszał natomiast, że Luciano z kimś rozmawia. Długo wołał go po imieniu, ale ten nie reagował. Gdy Luciano wreszcie ocknął się jakby z odrętwienia, powiedział, że rozmawiał z zakonnicą, która przyszła go uzdrowić.

– Niechby cię uzdrowiła i mnie też – powiedział Francesco z tęsknotą w głosie.

Wraz z Lucianem szukałam Francesca, który w 2004 roku miał około siedemdziesiątki, ale bezskutecznie. W klubie sportowym, do którego zaglądał jeszcze kilka lat temu, słuch o nim zaginął. Mówiono, że z chorą żoną wyjechał z Mediolanu w swoje rodzinne strony, ale dokąd – nikt nie umiał powiedzieć.

Luciano był bardzo poruszony wizytą tajemniczej siostry.

– Widziałeś jej twarz? Jak wyglądała? – pytam, gdy na marmurowym blacie dużego kuchennego stołu niespiesznie stawia espresso.

– Widziałem twarz, jej niewysoką postać i strój zakonny. To nie była zjawa, duch. Miała ciało jak my. Wyglądała dokładnie tak. – Luciano chwyta telefon komórkowy. Na ekranie, w formie tapety, wyświetla się zdjęcie świętej. – Szukałem jej przez cztery miesiące.

Pięćdziesięcioośmioletni Luciano Boschetto ma siwe włosy, druciane okulary i dużo spokoju w sobie. Mieszka w Pero pod Mediolanem. Pociąg podmiejski z centrum Mediolanu dojeżdża tu w dwadzieścia minut. Z dworca tylko kilometr, może trochę więcej, i jesteśmy na osiedlu bliźniaczych piętrowych domów osłoniętych od ulicy zawsze zielonymi żywopłotami. Na końcu drogi, otoczony ogrodem z drzewami rodzącymi żółtopomarańczowe owoce kaki, stoi dom Luciana. Od kilku miesięcy Luciano spędza w nim więcej czasu. Jest na emeryturze. Opiekuje się chorą teściową, która leży w salonie obok. Żona Luciana Fiorella jest w pracy w firmie samochodowej, córka Ilaria, studentka ekonomii, na uniwersytecie. Za godzinę wróci ze szkoły czternastoletni Jacob. 14 kwietnia 2004 roku, gdy ojciec został sparaliżowany, Jacob miał cztery lata. Matka akurat wyszła z domu, by odebrać go z przedszkola. Chwilę wcześniej wybiegł Luciano, aby pojechać po córkę do szkoły. Wsiadał do samochodu, gdy ciśnienie podskoczyło mu gwałtownie. Żona znalazła go na wpół sparaliżowanego. Wezwane natychmiast pogotowie przewiozło go

do odległego o dziesięć kilometrów szpitala Luigi Sacco. Luciano pokazuje swoją kartę choroby, w której lekarze zapisali rozpoznanie: udar niedokrwienny mózgu, ostry niedowład kończyn po lewej stronie ciała, wysokie nadciśnienie tętnicze. Sześć dni leczenia, od 14 do 20 kwietnia, na oddziale neurologii nie cofnęło skutków wylewu, a lekarze nie dawali na to specjalnej nadziei. 20 kwietnia po południu konsylium lekarskie zdecydowało o przeniesieniu Luciana Boschetta na oddział rehabilitacyjny.

Kilka godzin później odwiedziła go siostra zakonna. Po wizycie nieznajomej siostry Luciano nie zasnął do rana. O świcie powoli, z mieszaniną strachu i nadziei w sercu, zaczął sprawdzać, czy paraliż ustąpił.

– Czułem części ciała. Znów mogłem poruszać palcami lewej stopy, podnieść lewą rękę. Powoli wstałem więc i trzymając się jeszcze łóżka, zrobiłem kilka kroków. A potem włożyłem pantofle i poszedłem do szpitalnej kaplicy.

O 8.30 na oddział przyszła neurolog Francesca Clerici. Zaskoczona widokiem sparaliżowanego pacjenta, który stał na korytarzu oparty o kaloryfer, zawołała pielęgniarkę. Poleciła odprowadzić go do łóżka, a po chwili przyszła z innym lekarzem. Ten, widząc, że Luciano odzyskał czucie w kończynach, zapytał, co się stało.

– „Jak panu powiem, to pan nie uwierzy, więc nawet nie będę mówił”. – Luciano pamięta dobrze swoją odpowiedź. – Nie chciałem wyjaśniać, co się wydarzyło, z obawy, że uznają mnie za wariata. Lekarz więc dalej mnie badał: pukał młoteczkiem w lewe kolano, które podskoczyło do góry; kazał dotknąć lewą ręką nosa – dotknąłem, potem dotknąć nogi – dotknąłem, wreszcie polecił: „Proszę przejść tam i z powrotem” – przeszedłem. Gdy po raz drugi zapytał: „Co się stało?”, powiedziałem mu, że przyszła do mnie

w nocy siostra zakonna. „Niech pan nie mówi głupstw. Księża, siostry, dajmy sobie z tym spokój” – lekarz lekceważąco machnął ręką i wyszedł.

W sali została doktor Clerici. Do rozmowy wtrącił się Francesco. Potwierdził, że w nocy odwiedziła ich siostra zakonna, która przez kilka minut rozmawiała z Lucianem.

– Powiedziałem lekarce: „Dobrze, zostawmy siostrę. Wczoraj po południu leżałem w łóżku sparaliżowany, przyszło siedmiu lekarzy. Stwierdziliście, że moje leczenie będzie długie, że nie będę wyleczony przed Bożym Narodzeniem i że musicie mnie przenieść na inny oddział. Dzisiaj rano jestem na nogach, mogę chodzić. Co to znaczy? Czy ja zwariowałem?”.

Lekarka zleciła Lucianowi wiele szczegółowych badań. Trwały od środy do poniedziałku. Nie wykazały niczego, prócz tego, że jest zdrowy. Luciano pokazuje wypis ze szpitala, w którym neurolog doktor medycyny Francesca Clerici napisała ostrożnie: „Podczas hospitalizacji pacjent wykazał postępujące stopniowo polepszenie w ruchach i czuciu w lewej części ciała. Obiektywne badanie neurologiczne w normie”.

– Lekarze powiedzieli mi: „Znajdź sobie inny szpital, bo my nic z tego nie rozumiemy”. – Luciano z uśmiechem wspomina bezradność medyków.

Nie mogli pojąć, jak to się stało, że nagle wyzdrowiał.

Luciano wyszedł ze szpitala 28 kwietnia. Dwa dni później już był w pracy, na budowie. Ze szpitala Luigi Sacco otrzymał skierowanie na kompleksowe badania do innego, renomowanego szpitala San Rafaello, wyposażonego w najnowocześniejszą specjalistyczną aparaturę. Stawił się tam w czerwcu, a następnie w sierpniu. Lekarze tej placówki potwierdzili, że kilka miesięcy wcześniej był poważnie chory. Zrobili mu wszechstronne badania kontrolne. Na koniec stwierdzili, że nie są w stanie wytłumaczyć, co się stało, ale jest zdrowy. Dopiero wtedy żona Luciana, która do tej pory

nie bardzo wierzyła w jego cudowne uzdrowienie, przyjęła to do wiadomości.

W Luigi Sacco Luciano oprócz skierowania na kompleksowe badania dostał maść, którą miał smarować czerwone plamy na piersi. Pięć czerwonych plamek. Zauważył je kardiolog w czasie badania EKG i zaalarmował dermatologa. Ten stwierdził, że po zaleconej kuracji na pewno znikną. Luciano nie tłumaczył lekarzowi ich pochodzenia. Posmarował się maścią tylko raz, w szpitalu. Ślady zniknęły dopiero po sześciu latach, w 2010 roku. Samoistnie. Luciano pokazuje zdjęcie, które ma zawsze przy sobie, w telefonie komórkowym: pięć śladów palców zakonnicy. Zostały na ciele w miejscu, w którym go dotknęła, a jego przeszyły ból i gorąco takie, „jakby się gotował”.

Po wyjściu ze szpitala Luciano zaczął szukać zakonnicy i kościoła, który mu pokazała, by złożyć jej rewizytę. W poszukiwaniach pomagała mu jego siostra Giovanna, mieszkająca wraz z rodziną w podmediolańskim Baranzate. To zaledwie półtora kilometra od szpitala, w którym leżał Luciano. Giovanna odwiedzała brata codziennie, rozmawiała z lekarzami i modliła się o jego uzdrowienie. Nie była zdumiona cudownym uleczeniem Luciana. Zdziwiło ją coś innego.

– Byłam zaskoczona dobrocią Boga, który sprawił, że mój brat, tak daleki wówczas od Kościoła, od świętych i aniołów, mógł doświadczyć ich realnej obecności, stając się naocznym świadkiem mocy Bożego Miłosierdzia – mówi Giovanna.

Niewysoka, o jasnych włosach, w czarnym golfie, bez makijażu, serdecznym gestem zaprasza do mieszkania. Przy drzwiach w przedpokoju wisi nieduży obraz Matki Bożej tuż obok najcenniejszych rodzinnych pamiątek – ze zdjęciem prababki Gianny i Luciana na czele. Giovanna przyznaje, że początkowo nie zrozumiała tego, co mówił Luciano o siostrze

zakonnej. Myślała, że owej nocy u brata zjawiła się Matka Boża, do której modliła się modlitwą różańcową, a dokładniej: Matka Boża z Loreto, do której ma szczególne nabożeństwo. Przynosiła więc Lucianowi pocztówki najpierw z Loreto, a potem z innych włoskich sanktuariów maryjnych. Ale odpowiedź zawsze była taka sama: „Nie, to nie to”.

– Przeczuwałem, że ten kościół nie znajduje się we Włoszech, gdyż był inny niż nasze świątynie – mniejszy, bez wysokiej, stojącej oddzielnie dzwonnicy, zbudowany z czerwonej cegły – mówi Luciano, który z racji zawodu zwraca uwagę na detale konstrukcyjne i architektoniczne.

Szukali więc dalej. Luciano prosił o pomoc przyjaciół, Giovanna pytała siostry zakonne i księży. O cudownym uzdrowieniu brata opowiedziała również don Gregoriowi Vitalemu, rektorowi Sanktuarium Maryjnego Madonna della Bozzola w Garlasco niedaleko Pawii, dokąd jeździła na pielgrzymki. Ksiądz poprosił, aby przyjechała z bratem. Pojechali w czerwcu. Ale don Gregorio był bardzo tajemniczy, niemal tak jak zakonnica, której szukał Luciano.

– Powiedział, że wie, kim jest ta siostra zakonna, ale nie powie mi, gdyż mam to odkryć sam – opowiada Luciano. – Dodał jeszcze: „Za dwa miesiące, gdy będziesz oglądał telewizję albo czytał gazetę, dowiesz się, gdzie jest ten kościół i kim jest ta siostra. A wtedy przyjedź do mnie”.

Niestety, don Gregorio Vitali nie pamięta tamtego spotkania ani tamtych słów. Ale na pewno znał wówczas orędzie o Bożym Miłosierdziu i historię życia świętej Faustyny, gdyż już od 1998 roku w jednym z ołtarzy jego świątyni wisi obraz Jezusa Miłosiernego.

Luciano natomiast dobrze zapamiętał słowa don Gregoria, lecz nic z nich nie pojmował. Wydawały mu się one tak niedorzeczne, że myślał, iż ksiądz nie zrozumiał nic z tego, o czym mu powiedział. Dlatego zdecydował, że dalej będzie szukał kościoła i siostry zakonnej, tak jak robił

to do tej pory. Giovanna miała więcej zaufania do don Gregoria: „Skoro ci powiedział, że za dwa miesiące się dowiesz, to tak się stanie” – zawyrokowała i czekała spokojnie.

Minęły dwa miesiące. Był sierpień 2004 roku. Deszczowa sobota. Dzień, w którym najchętniej siedzi się w domu i czyta książki albo ogląda telewizję. Luciano wrócił z zakupów, włączył telewizor. Na kanale sportowym trwała relacja z wyścigu kolarskiego. Kiedy na ekranie pojawiły się reklamy, zaczął przerzucać kanały. Na Rete 4 w programie o cudach jakiś amerykański biskup opowiadał o swoim nadzwyczajnym uzdrowieniu, którego doznał w Sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Krakowie-Łagiewnikach w Polsce. Opowieść ilustrowały zdjęcia kościoła i świętej Faustyny.

– To był kościół, którego szukałem! I to była ta zakonnica! – w głosie Luciana słychać dawne emocje. – Rozpłakałem się ze wzruszenia.

Za chwilę płakali razem: Luciano, jego żona Fiorella, córka Ilaria i syn Jacob, który najmniej rozumiał z całej tej historii. Luciano natychmiast zadzwonił do Giovanny. Robiła akurat sobotnie zakupy jak połowa Włochów o tej porze. Jej reakcja zelektryzowała go. Gdy stojąc między półkami w sklepie, usłyszała, że znalazł kościół i zakonnicę, która ma na imię Faustyna, powiedziała: „Faustyna Kowalska? Mam o niej w domu książkę”.

Przywiozła mu ją jeszcze tego samego dnia. Luciano po raz drugi zobaczył zdjęcie tej, którą widział w szpitalu. Nie miał wątpliwości: to była ona.

Książkę o świętej Faustynie kupił mąż Giovanny Francesco, wypatrzywszy ją uprzednio na wystawie katolickiej księgarni. To mogło być rok przed chorobą Luciana, może trochę wcześniej. Na pewno w czasie pobytu Luciana w szpitalu oraz przez cztery miesiące poszukiwań kościoła

i siostry zakonnej książka leżała na nocnej szafce przy łóżku Giovanny. Francesco przeczytał zamieszczone w niej fragmenty *Dzienniczka*, Giovanna fragmenty biografii Faustyny, ale obojgu nawet przez myśl nie przeszło, że to jej szuka Luciano. Dzisiaj w sypialni Giovanny i Francesca, której drzwi na moment uchylają, wisi sporych rozmiarów obraz Jezusa Miłosiernego przywieziony z Łagiewnik.

Wtedy, w sierpniu 2004 roku, Luciano znalazł w książce numer telefonu do kościoła Santo Spirito in Sasia w Rzymie, położonego kilkaset metrów od placu Świętego Piotra. To miejsce, w którym od 1994 roku na prośbę Jana Pawła II mieści się Centrum Duchowości Bożego Miłosierdzia, dobrze znają rzymscy czciciele świętej Faustyny.

– Zadzwoniłem bardzo wzruszony, ledwie mogłem mówić. Siostra, z którą rozmawiałem, zapytała, czy znam historię świętej Faustyny. Powiedziałem: „Wie siostra, ja ją zobaczyłem w szpitalu. Przyszła i mnie uzdrowiła”.

We wrześniu 2004 roku Luciano Boschetto spotkał się w Rzymie z rektorem kościoła Santo Spirito księdzem Józefem Bartem. Ten skontaktował go z siostrami w Łagiewnikach. W rozmowach telefonicznych uzgodnili, że Luciano z rodziną i przyjaciółmi przyjedzie do Polski w kwietniu 2005 roku, tuż po Wielkanocy. W Łagiewnikach mieli spędzić niedzielę Bożego Miłosierdzia, która tamtego roku przypadała 3 kwietnia. Gdy wyjeżdżali z Mediolanu, w Watykanie umierał Jan Paweł II. Tysiące osób zmierzało do Rzymu, by czuwać przy papieżu na placu Świętego Piotra, oni jechali w odwrotnym kierunku – do Polski. Jechali z rewizytą do świętej Faustyny, do miejsca, gdzie jak powiedziała Lucianowi, mieszka i zawsze czeka. Pewnie nie tylko na niego.

Pojechali z Pero pod Mediolanem dwoma samochodami w dziewięć osób: Luciano, Giovanna, Francesco i ich synowie Stefano i Roberto oraz

przyszła synowa Tiziana, a także dwóch przyjaciół Luciana i żona jednego z nich. Gdy dojechali do Łagiewnik, był piątek wieczorem, 1 kwietnia, godzina 21.30. Dzień później o 21.37 zmarł Jan Paweł II. Stało się to w wigilię święta Bożego Miłosierdzia, które papież Wojtyła ustanowił dla całego Kościoła. Trzy lata wcześniej, w sierpniu 2002 roku, gdy w Krakowie-Łagiewnikach konsekrował nową bazylikę i zawierzył ludzkość Bożemu Miłosierdziu, pokazał to miejsce całemu światu.

Luciano zobaczył je w świetle dnia nazajutrz po przyjeździe, 2 kwietnia rano.

– Wszystko było dokładnie takie, jak pokazała mi Faustyna: kościół, okna, schody, wieża, mur po lewej stronie. Czułem się tak, jakbym tutaj był już wcześniej.

To budziło lęk. A na pewno mocno poruszało. Przez cały czas pobytu w Łagiewnikach Luciano miał wilgotne oczy. Płakał na dziedzińcu, zanim wszedł do kościoła, płakał w kościele i gdy z niego wychodził. Płakał od soboty rana do poniedziałku przed południem, gdy wyruszyli w drogę powrotną do Włoch. Dziękował Bogu i świętej Faustynie za swoje uzdrowienie, prosił o zdrowie dla kuzynki z Brescii, chorej na chłoniaka, która do dziś ma się całkiem dobrze.

Ale tamtej niedzieli Bożego Miłosierdzia zdarzyło się coś jeszcze.

– Miesiąc przed wyjazdem do Polski miałem dziwny sen. Śniło mi się, że jestem w Łagiewnikach. Przed kościołem zobaczyłem dziewczynę z czerwonymi włosami, bez dwóch przednich zębów. Była z dzieckiem, które miało najwyżej pięć lat. Dziewczyna trzymała w ręku talerzyk i prosiła o jałmużnę. Porządkowi próbowali odsunąć ją od kościoła, ale ona wracała. – Luciano robi krótką pauzę. – Kiedy byłem w Łagiewnikach, po uroczystościach niedzieli Bożego Miłosierdzia wszedłem do sklepu w pobliżu sanktuarium, aby doładować telefon na kartę. W sklepie było

tłoczno. Przede mną w kolejce stanęła dziewczyna. Miała czerwone włosy, dokładnie takie jak dziewczyna w moim śnie. Było z nią może pięcioletnie dziecko, które płakało. O coś prosiło, chyba o lody, ale matka mu odmawiała. Prawdopodobnie nie miała pieniędzy. Rozmieniłem pieniądze i dałem jej banknot, bodajże pięćdziesięciozłotowy. Po chwili weszła do sklepu Giovanna, której zacząłem opowiadać o dziewczynie ze snu, ale kiedy chciałem ją pokazać, nie mogłem jej znaleźć. Już jej nie było.

Luciano do dziś nie potrafi wyjaśnić, co się wówczas stało. Czy była to próba miłosierdzia dla niego, który sam go doświadczył?

Od wizyty świętej Faustyny u Luciana w szpitalu Luigi Sacco w Mediolanie i od rewizyty Luciana w Łagiewnikach minęły lata. Luciano nadal czuje się dobrze. I czuje opiekę świętej Faustyny.

– Ona jest jak mama. Zawsze pomaga. Bywało, że nie miałem pracy, zwracałem się do siostry Faustyny i za dwa dni już miałem zlecenie.

Uzdrowienie dużo zmieniło w życiu duchowym Luciana.

– Przyjąłem zasadę, że to, co dostałem, muszę oddawać innym ludziom. Łaska została mi dana darmo, ale moim zadaniem jest dzielić się z innymi tym, co otrzymałem – tłumaczy i daje przykłady.

Egipcjaninowi, który żył pod mostem, zaoferował pracę, przez lata pomagał w parafii w różnych remontach, jako wolontariusz wozi swoim samochodem dary. I modli się. Odmawia Koronkę do Miłosierdzia Bożego, czyta *Dzienniczek*, jeździ na spotkania Oazy Bożego Miłosierdzia, którą założyła Giovanna. Nie ma miesiąca, żeby chociaż raz nie opowiadał o swoim cudownym uzdrowieniu za przyczyną świętej Faustyny. Jeździ tam, dokąd go zapraszają. Najczęściej do miejscowości w Lombardii, ale też w Piemoncie, Toskanii, Trydencie.

– Ludzie proszą mnie, abym modlił się za nich, chcą mi nawet dawać za to pieniądze. Myślą, że skoro zostałem uzdrowiony, to mnie Pan Bóg na

pewno wysłucha – mówi zakłopotany. – Daję im obrazki Jezusa Miłosiernego i mówię: „Módlcie się sami. Jeżeli jesteście w trudnej sytuacji, to proście Boga o jej zmianę. Zwróćcie się do Niego, spróbujcie”.

Sam też się za nich modli. Pokazuje zdjęcia chorych – znajomych i nieznajomych – za których codziennie przed snem modli się do świętej Faustyny.

– Dlaczego siostra Faustyna przyszła do ciebie?

– Wszyscy mnie o to pytają.

– Co odpowiadasz?

– Że nie wiem. Niektórzy księża radzą mi, abym mówił, że znałem nabożeństwo do Bożego Miłosierdzia, że modliłem się o uzdrowienie do świętej Faustyny. Ale ja nie mogę tego zrobić, bo to nieprawda – wyznaje bezradnie.

– Gdy przyszła do ciebie, byłeś wierzący?

– Byłem taki jak wielu katolików, chodziłem do kościoła.

– Dlaczego święta Faustyna uzdrowiła akurat ciebie?

– Nie wiem. Może dlatego, że moja siostra jest bardzo pobożna? I bardzo modliła się za mnie.

W tle opowieści o uzdrowieniu Luciana nieustannie pojawia się Giovanna, niczym duchowa przewodniczka rodziny. W czasie choroby brata prosiła Boga o jego uzdrowienie wieloma modlitwami, również za wstawiennictwem wielu świętych. Wśród nich była też święta Faustyna. Ale nie wyróżniała jej spośród innych. Gdy Luciano szukał później tajemniczej zakonnicy, nawet nie pomyślała, że to może być ona. Jej wizerunek z modlitwą o uzdrowienie chorych znalazła przy ołtarzu Jezusa Miłosiernego w sanktuarium w Garlasco. Było to jakiś czas przed chorobą brata, na pewno zanim Francesco kupił książkę o Faustynie. Giovanna odmawiała więc modlitwę za wstawiennictwem świętej Faustyny w intencji

wielu chorych, których znała, a później prosiła nią o zdrowie brata. W czasie choroby Luciana być może odmawiała też Koronkę do Miłosierdzia Bożego, choć tego dzisiaj nie jest w stanie stwierdzić z całą pewnością. Na pewno, jak zawsze, najważniejsza była w tym czasie modlitwa różańcowa i spontaniczna modlitwa serca skierowana do Jezusa.

– Bo to Jezus uzdrawia, nie święci. Oni są tylko naszymi pośrednikami. I święta Faustyna modliła się ze mną o zdrowie brata – mówi Giovanna. – Teraz już wiem, że ten cud, wielki cud, był po to, aby szerzyć kult Bożego Miłosierdzia.

Zbliżała się godzina 20.00, gdy Giovanna zapytała:

– Pojedziesz z nami do oratorium? Za pół godziny rozpoczyna się nasz Wieczernik.

Szybka akcja. Ze stołu zniknęły laptop, dyktafon, filiżanki. Pojawił się obrus, a za chwilę wielka misa zielonej sałaty, balsamico, słoiczki przyrządzonej w domu papryki w oliwie, woda, wino oraz gorące filety z kurczaka. Stefano w pośpiechu spakował gitarę i sprzęt nagłaśniający. Przed wyjściem obdarował mnie płytą z pieśniami o Bożym Miłosierdziu, które nagrał z przyjaciółmi z Oazy Bożego Miłosierdzia – wspólnoty modlitewnej, z racji spotkań w czwartki nazwanej Wieczernikiem. Gdy z Giovanną, Franceskiem i Lucianem dojechaliśmy do oratorium parafii Świętego Michała Archanioła w Baranzate, które mieści się w piwnicy niegdyś prywatnej willi, znajdowało się tam już kilkadziesiąt osób. Przy ołtarzu stał obraz Jezusa Miłosiernego i wizerunek świętej Faustyny. Chwilę później nadzwyczajny szafarz Eucharystii wystawił na ołtarzu Najświętszy Sakrament. W niebo popłynęły imiona osób szczególnie polecanych Bogu – chorych na ciele i na duszy.

Oaza Bożego Miłosierdzia w Baranzate powstała w marcu 2007 roku. Trzy lata po uzdrowieniu Luciana. Gdy zaczynali spotkania w czwartkowe

wieczory, było ich siedmioro. Dziś co tydzień jest nie mniej niż pięćdziesiąt osób, a bywa, że jak tego listopadowego dnia, gdy znalazłam się tam niespodziewanie, ponad sześćdziesiąt. Na wzór grupy z Baranzate w północnych Włoszech powstały trzy inne wspólnoty Bożego Miłosierdzia: w Saltrio (prowincja Varese), Barna (prowincja Como) i Granzette (prowincja Rovigo).

O godzinie 23.00 spotkanie Wieczernika dobiegło końca. Na zewnątrz w ciemnościach dostrzegłam jeszcze wysoki drewniany krzyż, który na chwałę Bogu postawiła rodzina Giovanny. Luciano odwiózł mnie swoją jasną skodą do hotelu w Mediolanie. Po drodze zatrzymaliśmy się przy szpitalu Luigi Sacco, położonym przy skrzyżowaniu drogi z autostradą A4 z Turynu do Triestu. Portier patrzył zbyt podejrzliwie, by w świetle latarni dłużej szukać wzrokiem budynku oddziału neurologii. Tam o trzeciej w nocy z 20 na 21 kwietnia 2004 roku do Luciana przyszła święta Faustyna.

Czy mi, Jezu, przebaczysz?

Wódkę zapakował do teczki. Dziewięć półlitrówek czystej. Koledzy nie zawiedli. Alkohol wprawdzie był na kartki, ale kto nie poratuje kumpla, który właśnie wyleciał z pracy? Formalnie o zwolnienie poprosił sam, by uniknąć wypowiedzenia dyscyplinarnego. Dzień wcześniej, w środę 27 lipca 1983 roku, przyszedł do pracy po nocnej libacji. Niby nic nowego, ale tego dnia kac był wyjątkowo dokuczliwy. Sięgnął po piwo. Wypił trzy butelki. Poczuł się tak, jakby wypił kolejne pół litra czystej. Był zupełnie pijany. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej uszłoby mu to płazem, ale od kiedy weszła w życie ustawa antyalkoholowa, w zakładach pracy wzmogły się kontrole trzeźwości. Musiał odejść. Spakował torbę. Zamknął za sobą drzwi z tabliczką: „Mieczysław Nikody, zastępca kierownika Wytwórni Wód Gazowanych i Rozlewni Piwa w Rymanowie”. I poszedł prosto do domu.

– Chciałem się zapić na śmierć. Taki miałem plan – opowiada o wydarzeniach sprzed trzydziestu lat. – Rodziny nie było w domu, żona z synami wyjechała nad morze. Zamknąłem się w swoim pokoju, szczelnie zasłoniłem okna. Nie zapalałem światła, żeby matka i siostra, które mieszkały w drugiej części domu, nie zauważyły mnie. Były przyzwyczajone, że czasem nie ma mnie w domu przez kilka dni. Zacząłem

pić. Póki mogłem, czytałem wszystko, co było w pokoju, głównie wojenną serię Z Tygrysem, oglądałem telewizję i spałem. Gdy się budziłem, sięgałem po butelkę. Brałem parę łyków i zamroczony znów zasypiałem. I tak przez dziewięć dni. Piłem mniej więcej pół litra na dobę. Nic nie jadłem, nie przyjmowałem innych płynów. Tylko piłem. Przewidywałem, że umrę z wycieńczenia. Miałem coraz potworniejszego kaca, strasznie się pociłem. Byłem w stanie delirium, miałem różne przywidzenia. Widziałem piekło, diabły, które na mnie czekały. Miałem wrażenie, że Matka Boża na obrazku pierwszokomunijnym, który wisiał na ścianie, raz płacze, innym razem uśmiecha się do mnie. Słyszałem różne głosy. Wreszcie nadszedł dzień, w którym wódka się skończyła. A ja nie umarłem. „I co dalej?” – pytałem sam siebie. Wtedy pojawiła się myśl: „Masz w walizce, która jest w szafie, linkę spadochronową. Weźmiesz ją, pójdziesz do stodoły, wejdziesz na drabinę, założysz sznur na trzeci szczebel od góry, pętlę na szyję i spuścisz nogi. Moment i nic nie będziesz czuł”. „Ale jak ja to zrobię – myślałem dalej – skoro nawet nie mogę zejść z kozetki?” I znów usłyszałem w głowie: „Spróbuj zejść na czworakach do piwnicy, tam znajdziesz lekarstwo”. Powolutku zsunąłem się po schodach do piwnicy. Stały tam różne butelki, spomiędzy nich nagle uśmiechnęła się do mnie trupia czaszka. Denaturat! Było mniej niż pół butelki. Wypiłem z gwinta. Wszystko. Smakował mi tak, jakbym pił wyśmienity kompot. Od razu stanąłem na nogi. I śmiało poszedłem na górę po linkę. Sięgnąłem ręką do walizki. Znalazłem sznurek, ale też jakąś broszurkę. Zdziwiłem się. Broszura była czarno-biała z wizerunkiem Jezusa na okładce i podpisem *Jezu, ufam Tobie*. Dziwnie mnie to zelektryzowało. Nigdy takiego wizerunku Jezusa nie widziałem. Chciałem się o nim czegoś dowiedzieć. Z ciekawości przerzuciłem okładkę i na pierwszej stronie tłustym drukiem przeczytałem słowa: „Najwięksi grzesznicy mają przed innymi prawo do

ufności w przepaść Miłosierdzia Mojego, jeżeli się z pokorą zwrócą do mnie”. To był dla mnie szok. Byłem wycieńczony, ale mój umysł był sprawny. Spontanicznie wykrzyknąłem na głos: „Jak to? To i ja, taki najgorszy człowiek na świecie, taki grzesznik mam szansę? Czy i mnie, Jezu, przebaczysz?”.

Mieczysław Nikody setki razy opowiadał o tej minucie swojego życia. I setki razy się wzruszał. Także tym razem głos mu się załamał, oczy zwilgotniały. Po trzydziestu latach wciąż to samo wzruszenie.

– Po tych słowach coś jakby podcięło mi nogi: uklęknąłem i zacząłem czytać. Przeczytałem całą broszurę jednym tchem: słowa Jezusa do siostry Faustyny, jej krótki życiorys, modlitwy. Wciągnęło mnie to. Od dziecka rosłem w przekonaniu, że trzeba być grzecznym, bo Bóg patrzy i ukarze mnie za przewinienia. Później Bóg przestał dla mnie istnieć, a choćby i istniał, to – myślałem – dawno się odwrócił ode mnie, wielkiego grzesznika. A w tej broszurze czytałem coś innego. Czytałem, że Bóg może mi darować grzechy. Czułem, że jestem uratowany. O sznurku już nie myślałem.

Kontakt z Mieczysławem Nikodym nawiązałam poprzez proboszcza rymanowskiej parafii pod wezwaniem Świętego Wawrzyńca. 5 sierpnia 2013 roku zadzwoniłam na plebanię, a kilka godzin później odebrałam telefon od pana Mieczysława. Był zaskoczony nie tym, że go szukałam – bo właściwie czekał na kogoś, kto opisze jego historię – ale tym, kiedy się z nim skontaktowałam. Wyjaśnił, że zadzwoniłam dokładnie trzydzieści lat po tym, gdy szukając w walizce sznurka, aby się powiesić, wyciągnął broszurkę z napisem *Jezu, ufam Tobie*.

Spotkaliśmy się kilka dni później. Dzień był upalny. Usiedliśmy w ogrodzie w cieniu okazałej, rozłożystej jabłoni, która, pomimo opinii nieowocującej, zrzucała dojrzałe jabłka. Dom pana Mieczysława

w ostatnich latach zmienił wygląd. Najstarszy syn Janusz rozbudował go, wyremontował, położył jasnożółtą elewację. Nie tylko on został włączony duchowo w historię ojca i nie tylko najmłodszy syn Witold, który usiadł z nami pod drzewem. Ale oni obaj, twierdzi ojciec, zapłacili za to wysoką cenę.

– Jak to się stało, że broszurka znalazła się w walizce? Pan ją tam włożył?

– Nie, ja wtedy od dwóch lat nie chodziłem do kościoła. Nie wiedziałem nic o Bożym Miłosierdziu. Później dowiedziałem się, że to żona przywiozła broszurkę ze Starej Wsi, gdy odwiedzała mieszkającą tam siostrę. W Starej Wsi jest klasztor Jezuitów, którzy znali kult Bożego Miłosierdzia i go propagowali. Prawdopodobnie żona położyła broszurkę na szafie, a potem ona albo ktoś inny z domowników włożył ją do szafy, do mojej walizki.

– Co się działo dalej tamtej nocy?

– Nad ranem, była chyba 3.15, do okna zapukała siostra, która zobaczyła światło w moim oknie. Poprosiłem ją, aby nazajutrz zawiozła mnie do przychodni odwykowej w Krośnie. Byłem bardzo osłabiony, ale po południu pojechaliśmy. I od tego czasu zaczęła się moja walka.

W przychodni nie wszyto panu Mieczysławowi esperalu, na co liczył, bo w PRL nawet tego brakowało. Lekarz wypisał mu receptę na anticol. Nie brał go sam. Podawała mu go siostra, która chciała mieć pewność, że nie przerwie kuracji. Robiła to dzień w dzień przez trzy miesiące. I przez cały ten czas wraz z matką modliła się o uzdrowienie brata.

– Głód alkoholowy był potworny – opowiada Mieczysław Nikody. – Mój stan pogarszało to, że nie mogłem znaleźć pracy. Miałem wprawdzie wielu znajomych, ale wszyscy wiedzieli, że piję. Sytuacja była beznadziejna. Nie widziałem wyjścia z niej. I wtedy na moment wróciły

myśli samobójcze. Pewnego ranka, a był to już wrzesień, spotkałem w mieście moją byłą pracownicę, która stała w kolejce do sklepu monopolowego. Zawołała mnie. „Panie kierowniku, przykro na pana patrzeć, taki pan smutny. U mnie jest towarzystwo, niech pan poczeka na mnie, pójdziemy razem i pan się rozweseli” – zachęcała. Pomyślałem, że dobrze się składa. Wziąłem anticol, wypiję kielicha albo od razu większą ilość alkoholu i szybko się wykończę. Poszedłem za nią. Gdy otworzyła drzwi do mieszkania, buchnął alkoholowy odór. Zobaczyłem damsko-męskie zamroczone towarzystwo, zrobiło mi się niedobrze. Zbiegłem po schodach na dół i zwymiotowałem. Osłabłem. Nie wróciłem już do nich, ale poszedłem w przeciwną stronę. Do kościoła. Usiadłem pod chórem i zasnąłem. Nie wiem, jak długo spałem, ale kiedy się obudziłem, czułem spokój. Czułem, że wszystko się dobrze ułoży i dostanę pracę. To był pierwszy raz od dawna, gdy wszedłem do kościoła. Ale upłynęło jeszcze kilka miesięcy, zanim zacząłem chodzić na msze święte.

– Dlaczego?

– Potwornie bałem się ludzi.

– Już nie Boga?

– Jeszcze nie wiedziałem, kto to jest Bóg. Wiedziałem, że jakaś Istota wyrwała mnie śmierci. I że zrobiła to wbrew mojej woli. Dlatego w tym czasie nieraz zwracałem się do mojego wybawcy ze złością: „Skoro mnie wyrwałeś śmierci, to teraz mnie prowadź, bo ja nie wiem, dokąd pójść. Ja Ciebie o to nie prosiłem!”. O, jaki ja byłem wtedy bezczelny – mówi zdziwiony swoim dawnym zachowaniem. – Do kościoła zacząłem chodzić dopiero jakieś pół roku po tym, jak dostałem pracę. To w niej nawiązałem kontakt z moim Wybawcą.

Wyjście z alkoholizmu i nawrócenie Mieczysława Nikodego stały się w 1989 roku tematem pracy dyplomowej siostry Gabrieli (Kunegundy

Bejmy) ze Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia. Po analizie psychologicznej doszła do wniosku, że „(...) jego kryzys wiary nie miał podłoża intelektualno-poznawczego, miał charakter moralny, a spowodowany został narastającym i pogłębiającym się alkoholizmem”[1].

Mieczysław Nikody, rocznik 1934, pił od dziewiętnastego roku życia. Przez niemal trzydzieści lat. Zaczął pić po maturze, pił w wojsku i gdy po zakończeniu służby rozpoczął pracę zawodową. Pił w pracy, na delegacjach i w czasie wolnym. Wódka była w PRL nie tylko stałym elementem życia towarzyskiego, ale także sposobem zdobywania limitowanych dóbr, załatwiania spraw zawodowych. Nikody pił coraz częściej i coraz chętniej, miewał coraz dłuższe ciągi.

– W ostatnich dziesięciu latach przed nawróceniem byłem już całkowicie uzależniony. Piłem wszystko, co było na spirytusie, z denaturatem włącznie – przyznaje.

W jego „piciorysie”, jak nazwała tę część życia Nikodego siostra Gabriela, były krótkie okresy abstynencji, w czasie których odzywały się wyrzuty sumienia i czuł chęć zmiany życia. Ale sam nie miał na to wystarczająco dużo sił.

– Dwa razy dobrowolnie wyjechałem na kuracje odwykowe do zakładów psychiatrycznych – w 1974 roku do Kościana, a w 1978 do Jarosławia. Po nich przerwy w piciu trwały od trzech do sześciu miesięcy. Po ostatniej kuracji wpadłem w jeszcze większe pijaństwo. Bywało, że przez kilka nocy nie wracałem do domu.

Równolegle z pogłębianiem się alkoholizmu Nikodego następowało jego odchodzenie od Boga. Wychowany w religijnej rodzinie przez ojca abstynenta początkowo praktykował gorliwie. Przez kilka lat służył do mszy. Zmiana nastąpiła w szkole średniej, gdy wstąpił do Związku Młodzieży Polskiej, ukończył kursy ateistyczne, a następnie w czasie

trzyletniej służby wojskowej przeszedł ideologiczne pranie mózgu. „Coraz częściej myślałem, iż religia, wiara w Boga to zabobon, sprytne narzędzie w rękach duchowieństwa, by otumanić prostych i niewykształconych ludzi” – napisał we wspomnieniach. Niemniej w dorosłym życiu, gdy nie pił, chodził do kościoła. Przystępował do spowiedzi, wieczorami modlił się z dziećmi, odmawiał dziesiątek Różańca.

– Jak na ironię najwięcej alkoholowych wyskoków zdarzało mi się w czasie Wielkiego Postu lub Adwentu. W Środę Popielcową, w Wielki Piątek czy w Wigilię piłem do nieprzytomności. Często po spowiedzi i Komunii Świętej adwentowej albo wielkopostnej zamiast do domu szedłem na melinę. Do domu wracałem po kilku dniach. – Mieczysław Nikody wciąż jakby dziwi się swojemu zachowaniu.

Witek, który w 1983 roku miał dwanaście lat, przysłuchuje się wyznaniom ojca. Zna je dobrze.

– Trochę się wstydziłem pijaństwa ojca, ale zawsze miałem z nim dobre relacje. Ojciec umiał się nami zająć, rozmawiać. Wtedy w 1983 roku nie zdawałem sobie do końca sprawy, co się z nim dzieje, ale widziałem, że staje się innym człowiekiem – mówi.

Pan Mieczysław przynosi z domu „Zapiski myśli”, które czynił przez ostatnie trzydzieści lat. Pisał je w okresie nawracania się, duchowego uzdrawiania i świadczenia o Bożym Miłosierdziu. Kilkadziesiąt szkolnych zeszytów w linie i w kratkę z odręcznymi notatkami. Prowadził je od 1984 roku. Najpierw sporadycznie, potem coraz bardziej systematycznie. Zaczął je pisać w nowym miejscu pracy, jakże odmiennym od poprzednich.

W listopadzie 1983 roku, po trzech miesiącach beznadziejnych poszukiwań zatrudnienia, Mieczysław Nikody najął się jako stróż na budowie zakładu gospodarki komunalnej. On – od zawsze kierownik, a kiedyś nawet naczelnik gminy – został dozorcą. Czuł się poniżony

i upokorzony. Niegdyś bardzo towarzyski, teraz znalazł się z daleka od ludzi, na pustkowiu. W zimnym barakowozie. Niebawem zaczął błogosławić to zajęcie. Stróżował przez osiem lat. W barakowozie spędził dwa lata.

– W tym baraku odkryłem Boga – mówi, gdy z jabłoni spada kolejne dojrzałe jabłko. – Nigdy nie zapomnę pierwszego dnia pracy, gdy z zimna nie mogłem zasnąć. Leżałem na posłaniu, które zrobiłem z ubrań zostawionych przez robotników budowy. Zacząłem gorąco modlić się do Miłosierdzia Bożego. I wtedy w myśli zaczęło mi się przesuwać całe moje grzeszne życie, jak film. Słyszałem wewnętrzny głos, którego słowa z obrzydzeniem i wstydem powtarzałem głośno: „Za twoją pychę i wszystkie podłe grzechy zostałeś starty na proch. Jesteś gorszy od wściekłego psa, który został zamknięty w zimnej budzie, i leżysz na brudnych, śmierdzących łachmanach. Jeśli nie zmienisz życia i nie przeobrazisz się całkowicie, zdechniesz jak ten pies na wieki” – pan Mieczysław powtarza słowa wryte w pamięć. – Po tej nocy zacząłem ciężką pracę nad sobą, połączoną z adoracją Bożego Miłosierdzia.

Czasu miał dużo. Co trzecią noc spędzał na dyżurze. Zaczął czytać Pismo Święte, szukać czasopism i książek religijnych, o które wtedy było trudno. Pożyczał literaturę od nieżyjącego już proboszcza księdza Franciszka Mroza. Jedną z pierwszych nowych lektur były *Wyznania* świętego Augustyna. Zaczął też się modlić.

– Szło to z ogromnymi oporami, bo im bardziej starałem się skupić na modlitwie, tym więcej doznawałem wątpliwości co do istnienia Boga. Myślałem, że to wszystko są bzdury wymyślone przez ludzi. Byłem niecierpliwy i nieraz wołałem: „Boże, jeżeli jesteś, daj mi jakiś znak, abym uwierzył. Jeżeli to nie był przypadek z moim nawróceniem, to daj mi dowód, daj mi przykład” – wspomina czas „próbowania” Pana Boga.

Bóg odpowiadał. Dawał mu znaki. Obdarzał hojnie cudami i łaskami. Pan Mieczysław zapisał ich w 1984 i 1985 roku kilkadziesiąt. Jest przekonany, że łaską Boga było jego uzdrowienie z choroby alkoholowej i kilka uzdrowień w rodzinie: matki, która ze stanu agonalnego powróciła do życia na kolejnych osiem lat, siostry oraz ojca chrzestnego ze złośliwego nowotworu, kuzynki z poważnej choroby kręgosłupa. Mieczysław otrzymał też liczne duchowe łaski. W pierwszych zeszytach „Zapisków myśli" wśród wielu innych wymienił takie jak zrozumienie prawd wiary, spokój ducha i szczęście wewnętrzne, traktowanie modlitwy jako potrzeby serca, odwagę w wyznawaniu wiary i gorliwym praktykowaniu, pozbycie się łakomstwa, chciwości i przywiązania do dóbr materialnych, pożądliwości ciała.

– Jaką ja miałem wtedy wiarę... – Pan Mieczysław ze zdumienia kręci głową. – To była wiara małego dziecka: prosisz Ojca i masz. Modliłem się Nowenną do Miłosierdzia Bożego i byłem wysłuchiwany. Co nowenna to cud. Potem poznałem wiarę rozumem. Stała się ona bardziej pogłębiona, przyszło inne spojrzenie i pojawiły się skrupuły.

„Pod koniec roku 1984 poczułem jakby niesmak i zażenowanie, że nadużywam dobroci Bożej, bo coraz częściej prosiłem o sprawy czysto materialne i byłem zawsze wysłuchany. Od Nowego Roku postanowiłem za natchnieniem nie prosić wcale o sprawy doczesne ani o swoje zdrowie, tylko o zdrowie bliźnich, i wyłącznie oddać się sprawie ratowania dusz grzesznych, a szczególnie pijaków – moich kolegów, i pseudokatolików, tych letnich z metryki" – notował w zeszycie, jak przystało na neofitę.

Wcześniej, a było to przed Wielkanocą 1984 roku, poszedł do spowiedzi. I odtąd już był w kościele codziennie.

– Wstydziłem się ludzi, tego, co powiedzą. Przecież wszyscy mnie tu znali. Bałem się, że będą przeszywać mnie wzrokiem jak sztyletem i mówić: „Co ty tu robisz, do knajpy się nadajesz, a nie do kościoła" –

wspomina. – Musiałem też przełamać fałszywy wstyd przystępowania na każdej mszy świętej do Komunii Świętej.

Nadal dużo czytał. Z czasem doszły książki świętej Teresy z Àvila i świętego Jana od Krzyża, teksty o świętych Maksymilianie, Franciszku, Ojcu Pio i inne.

Dopiero mniej więcej po roku od owej nocy 5 sierpnia 1983 roku, gdy chodził już do kościoła i zaczął mówić głośno o Bożym Miłosierdziu tyle, ile wiedział z broszurki *Jezu, ufam Tobie*, znajoma przypomniała sobie, że u krewnej w Sanoku widziała *Dzienniczek* siostry Faustyny. Przywiozła go.

– Dostałem *Dzienniczek* na miesiąc. Nie było wyjścia, przepisywałem ręcznie – mówi pan Mieczysław o notatkach, które za chwilę pokaże. – Wtedy o książki religijne było trudno, nie były wydawane w takich nakładach jak dzisiaj.

Stróż Nikody w czasie samotnych dyżurów nie tylko więc modlił się Koronką, odprawiał nowenny do Miłosierdzia Bożego, czytał Pismo Święte i książki religijne, ale przepisywał też długie fragmenty *Dzienniczka*. Czynił to, co przed nim robiły pokolenia czcicieli Bożego Miłosierdzia, czekając na pierwsze oficjalne wydanie tekstu siostry Faustyny. W Polsce nastąpiło to w 1981 roku. Pisał w starych zeszytach synów na niezapisanych kartkach. Robił to trochę z oszczędności, trochę dlatego, że do swych notatek nie przywiązywał wówczas szczególnej wagi, ale głównie z tej przyczyny, że w tamtych latach trudno było kupić nawet zeszyt. Z czasem to się zmieniło: z Nowym Rokiem pojawiał się nowy czysty notes do zapisania myśli. Notował w nim cytaty z dzieł świętych, ale głównie własne refleksje. „Na podstawie własnych rozważań i czytanych dzieł doszedłem do wniosku, że aby zdobyć prawdziwą i mocną wiarę, trzeba całkowicie zmienić życie, nie tylko zewnętrzne, ale przeorać całą swoją duszę,

wyrzucić z siebie swoje »ja«, swoje przywary, nawyki, przywiązanie do świata itp. To była bolesna orka” – pisał po kilku latach.

Przede mną jeden z wielu zeszytów. Kartki pożółkłe, wytarte od wielokrotnego użytku. Po jednej stronie zeszytu dziecięcym charakterem pisma zapisano: „11 czerwca 1982, lekcja 149, temat: Satyra »Pijaństwo« – budowa utworu”. Na kolejnej stronie: „12 czerwca 1982, lekcja 150, temat: Skutki pijaństwa, pożytki trzeźwości”. Po drugiej stronie zeszytu dojrzałym charakterem pisma: „31 marca 1985: Niech ten dzień Zmartwychwstania Pańskiego stanie się również dniem Zmartwychwstania naszego życia rodzinnego. (...) Dzieli nas jeszcze dużo i dość daleka jest jeszcze droga do przełamania barier tkwiących między nami, szczególnie starszymi, ale wierzę, że z pomocą Miłosierdzia Bożego i Najświętszej Maryi Panny przy odrobinie dobrej woli wkrótce staniemy się prawdziwą kochającą się rodziną, gdzie zapanuje radość, spokój, ufność, gdzie nie będzie już więcej zgrzytów i obrazy Boskiej. Ja jako pierwszy krok do pojednania chcę oświadczyć, (...) że całemu nieszczęściu naszej rodziny jestem winien ja, moje pijaństwo”.

– Trzy lata po nawróceniu usłyszałem wewnętrzny głos, który mówił: „Nie wolno ci trzymać tego dla siebie, masz głosić kult Bożego Miłosierdzia. To jest twoja misja, twoje zadanie”.

Mieczysław Nikody wziął sobie to poważnie do serca. Następnego dnia wieczorem wsiadł do pociągu jadącego do Krakowa. Rano był w kaplicy w Łagiewnikach. To był sierpień 1986 roku. Kilka miesięcy później w tej samej kaplicy w czasie czuwania w wigilię niedzieli Bożego Miłosierdzia po raz pierwszy opowiedział o swoim nawróceniu. Później czynił to setki razy w różnych miejscach w kraju. Mieczysław Nikody w ciągu kilku lat z niewierzącego alkoholika stał się apostołem Bożego Miłosierdzia. Zaczął jeździć na rekolekcje, pielgrzymki, uczestniczyć w sympozjach

organizowanych przez pallotynów w Dolinie Miłosierdzia w Częstochowie. W swej parafii w Rymanowie założył grupę szerzącą kult Bożego Miłosierdzia. 4 kwietnia 1989 roku, po sześciu latach niepicia, złożył w Łagiewnikach śluby trzeźwości: „(...) ślubuję Bogu w Trójcy Świętej Jedynemu, że do końca życia nie będę pił żadnego alkoholu. Wiem, że o własnych siłach tego nie dokonam, dlatego ufność pokładam w łasce Miłosierdzia Bożego. Pokornie proszę o wstawiennictwo Matki Miłosierdzia, mojego Anioła Stróża oraz Służebnicę Bożą s. Faustynę”. Pod tekstem własnoręczny podpis.

„Wiedziałem dobrze – pisał w »Zapiskach myśli« – że gdybym się zaniedbał w praktykach religijnych, wpadłbym ponownie w nałóg i to byłby mój koniec. Dlatego postanowiłem, że ile Bóg da sił i zdrowia, do końca dni moich poświęcę wszystko do walki z plagą alkoholową, do niesienia pomocy i ratunku grzesznikom mojego pokroju, aby przez Niepokalaną trafili do źródeł Miłosierdzia Bożego, które jest jedyną ucieczką dla ludzi dotkniętych chorobą alkoholową; bo jak się przekonałem z własnego doświadczenia, żadna siła ludzka ani wiedza medyczna nie jest w stanie zwalczyć tej strasznej choroby”.

W 1990 roku Mieczysław Nikody ukończył półtoraroczne Studium Apostolstwa Trzeźwości „przygotowujące i upoważniające do współpracy w duszpasterstwie trzeźwości Diecezji Przemyskiej”, co pieczęcią i podpisem poświadczył ówczesny biskup przemyski Ignacy Tokarczuk. W tym samym roku został współzałożycielem Grupy Anonimowych Alkoholików „Ufam” w Krośnie. Takie grupy z czasem powstały na całym Podkarpaciu. Istnieją do dzisiaj, ale pan Mieczysław z racji wieku ograniczył swoją aktywność do Rymanowa.

– To, co się dokonało w moim życiu, przypisuję modlitwie mojej mamy, która przez trzydzieści lat błagała Matkę Najświętszą o moje opamiętanie.

Wszyscy inni położyli na mnie krzyżyk, a ona wierzyła, że się nawrócę, i modliła się o to, nie robiąc mi wymówek. Wiedziałem, że matka modli się o moje nawrócenie na różańcu, ale wtedy widok matki z różańcem w ręku działał na mnie jak płachta na byka.

Ludwika Nikody, matka Mieczysława, zmarła osiem lat po nawróceniu syna. Pan Mieczysław, którego modlitwa różańcowa jeszcze po nawróceniu nużyła, wydawała mu się bezmyślnym klepaniem zdrowasiek, dzisiaj z różańcem się nie rozstaje. Codziennie odmawia siedem razy wszystkie cztery części Różańca.

– Każdy czciciel Miłosierdzia Bożego powinien przynajmniej raz dziennie dokonać aktu miłosierdzia wobec bliźnich przez czyn, słowo albo modlitwę. Wiele lat temu pomyślałem, że połączę modlitwę i czyn. Robię to w ten sposób, że wędruję myślami od domu do domu po swojej dzielnicy, po rodzinie i znajomych, a każda osoba odmawia jeden raz „Zdrowaś Mario” moimi ustami. W wyobraźni widzę, jak ta osoba klęczy przed Matką Bożą i prosi Ją albo dziękuje za otrzymane łaski – tłumaczy pan Mieczysław.

W tej wewnętrzno-modlitewnej wędrówce osoby się zmieniają. Jedne umierają, inne się rodzą. Dochodzą nowo poznane. Kilka lat po nawróceniu pan Mieczysław obejmował tą modlitwą około dziewięciuset osób. Dzisiaj już ponad tysiąc pięćset. Po naszym spotkaniu włączył w nią także mnie.

„Nawrócił się, a potem żył długo i szczęśliwie...” – tak jeden z internautów skomentował na portalu Areopag21.pl sposób opisywania przez katolickie media historii ludzi, którzy się nawrócili.

– To nie jest takie proste. Nie jest tak, że człowiek po nawróceniu żyje w skowronkach. To doświadczenie, które czasem czyni życie trudnym. Bardzo trudnym – Mieczysław Nikody mówi wolniej, przerywa. Dwukrotnie próbuje podjąć myśl, która bardzo mu ciąży. – Życie naszej

rodziny jest ewidentnym przykładem zemsty diabelskiej. Kiedy się nawróciłem, Bóg wyrwał mnie z sideł szatana. Ale wtedy diabeł uderzył od innej strony. W rodzinę.

Sierpniowe słońce blednie, podmuchy chłodnego wiatru stają się coraz dotkliwsze. Wchodzimy do domu. W pokoju pana Mieczysława, w którym dominuje kolor bordowy, na ścianach wiszą obrazy religijne, a za szybami kredensu stoją obrazki świętych i zdjęcie z audiencji u Jana Pawła II. Witek podnosi wieko pianina o eklektycznych zdobieniach. Dźwięki unoszą się płynnie, układają w lekki swing. Kiedyś grywali w czwórkę – ojciec na mandolinie albo banjo, trzej synowie na pianinie: najstarszy Janusz, średni Piotr i najmłodszy Witek, który też śpiewał.

– Szybko uczyłem się tekstów i melodii. Graliśmy z Piotrem na cztery ręce, ze słuchu. We trójkę z ojcem założyliśmy zespół muzyczny. Na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych występowaliśmy na Ogólnopolskich Spotkaniach Rodzin Muzykujących we Wrocławiu, gdzie występowała też rodzina Steczkowskich. Dawne lata... – wzdycha Witek.

Samorodne talenty. Tylko Janusz chodził do ogniska muzycznego. Młodsi podpatrywali i w mig chwytali melodie. Jeszcze kilka taktów. Witek zamyka wieko pianina.

Mieczysław Nikody w zeszycie oznaczonym numerem 1 opisał kilkadziesiąt cudów i łask, którymi obdarzył go Bóg. Jednej łaski jednak nie uzyskał.

– Modliłem się gorąco o pojednanie z żoną, o życie w zgodzie i miłości małżeńskiej. Zamiast tego doszło do jeszcze większych napięć i niezgody. W końcu żona Helena wyprowadziła się do Sanoka, do nowego M3 – wyjaśnia jeden z powodów, dla którego (do innego jeszcze wróci) mieszka tylko z synową i wnukami.

– Mama odeszła od taty, ale od lat wszyscy się spotykamy na święta. Spędzamy je razem – łagodzi Witek, który zamieszkał z matką w Sanoku.

Rozejście małżonków nastąpiło w 1988 roku. Rok po tym, jak Mieczysław Nikody po raz pierwszy publicznie powiedział o swoim nawróceniu, i dwa lata po tym, jak rozeznał, że jego zadaniem jest głoszenie Bożego Miłosierdzia.

W tym samym 1988 roku, pięć lat po nawróceniu ojca, siedemnastoletni wówczas Witek, uczeń trzeciej klasy liceum, zaczął mieć poważne problemy z nauką. Zdolny, jeden z najlepszych uczniów w klasie, ze świetną pamięcią i muzycznym słuchem, z planami studiów medycznych, nagle wpadł w depresję.

Witek Nikody: – Wmawiałem sobie, że w szkole sobie nie poradzę. Nieustannie słyszałem w głowie głos: „Kończysz się i będziesz potępiony, kończysz się i będziesz potępiony”.

Mieczysław Nikody: – Tydzień po rozpoczęciu roku szkolnego powiedział mi, że coś się z nim dzieje, bo niczego nie rozumie. Miał przy tym niesamowicie przerażone oczy. Bał się. Nieustannie powtarzał, że siedzi w nim ktoś, kto chce go unicestwić. Ciągle oglądał plamki na skórze i mówił: „Widzisz, tu się zaczyna koniec mojego organizmu”.

Witek spędził pół roku w szpitalu psychiatrycznym w Krakowie. Potem były kolejne szpitale: w Horoszczy, Kołobrzegu, dwukrotnie w Żurawicy koło Przemyśla i znów w Krakowie. Wychodził, przez pół roku było spokojnie, zaczynał naukę i następował kolejny atak, po którym wracał do szpitala.

Mieczysław Nikody: – W szpitalu w Horoszczy działy się straszne rzeczy.

Witek Nikody: – Mówiłem językami, dialektami, których nie znałem, po niemiecku, francusku, angielsku. Wydawałem dziwne głosy,

rozmawiałem z kimś, nazywałem go przyjacielem. Z ust sączyła mi się piana. Miałem makabryczne wizje, w których widziałem, że ktoś mnie dręczy. Widziałem demony.

Mieczysław Nikody: – Kiedyś wrócił do domu późno w nocy, rozwścieczony. Chwycił za nóż kuchenny i szedł z nim do mnie. Spontanicznie krzyknąłem: „W imię Chrystusa opuść go, co robisz?!”. W tym momencie oczy mu się uspokoiły. „Co się stało, co się stało?” – pytał, jakby wróciła mu świadomość. Nie wiedział, co robił.

Witek Nikody: – Ale wiedziałem o rzeczach, o których wiedzieć nie mogłem. O tym na przykład, co się dzieje z bratem kolegi, który wyjechał do Anglii. W szkole przewidywałem dokładnie, jakie będą pytania na kartkówce. Podczas gry w pokera mówiłem, jakie za chwilę dostanę karty.

Lekarze postawili diagnozę: schizofrenia paranoidalna.

Mieczysław Nikody: – Konsultowałem zachowanie syna z kilkoma księżmi, którzy stwierdzili: i choroba, i opętanie. On był straszliwie dręczony przez demony.

W latach osiemdziesiątych posługa egzorcystów nie była w Polsce powszechnie dostępna. W diecezji przemyskiej nie było kapłana upoważnionego przez biskupa do odprawiania egzorcyzmów. Nad Witkiem modlono się więc tak zwanymi małymi egzorcyzmami. Długo modliły się siostry w klasztorze w Łagiewnikach. Intencja brzmiała: „o uwolnienie z opętania”.

Mieczysław Nikody: – Witek był dręczony z powodu mojego nawrócenia, mojej gorliwości religijnej. Szatan mścił się na nim za mnie. Chciał wykończyć nas obu.

Witek Nikody: – Mogło tak być. To mogło być z sobą związane.

Ostatni atak Witek miał w 2002 roku. Jedenaście lat temu.

– Jestem człowiekiem wierzącym. Wiem, że jest Bóg i jest siła przeciwna, szatan. Jestem praktykujący, chodzę do kościoła, korzystam z sakramentów – mówi powoli, świadomy, że wszystko może się jeszcze wydarzyć.

– Nic się nie skończyło. Cały czas się za niego modlimy – zapewnia ojciec.

W sierpniu 2009 roku uderzenie przyszło z innej strony. Najstarszy syn Janusz, ten, który odnowił dom, popełnił samobójstwo.

– On był z nas wszystkich najbardziej miękki. Udawał chojraka, ale był bardzo wrażliwy – mówi Witek o starszym bracie, który osierocił czterech synów.

– Czy miałem się załamać? – pyta ojciec. – Od razu, gdy się dowiedziałem, zacząłem z całą rodziną i znajomymi odmawiać Koronkę do Miłosierdzia Bożego. Jestem pewien, że Janusz został uratowany.

Natomiast Mieczysław Nikody sam powoli zbiera się do „odlotu”. Bo jak mówi psalmista:

„Miarą naszych lat jest lat siedemdziesiąt
lub, gdy jesteśmy mocni, osiemdziesiąt;
a większość z nich to trud i marność:
bo szybko mijają, my zaś odlatujemy”.
(Księga Psalmów, 90)

W czerwcu 2013 roku Mieczysław Nikody skończył siedemdziesiąt dziewięć lat. Z tego trzydzieści lat życia w abstynencji. Trzydzieści lat w nawróceniu.

– Kiedyś targowałem się z Panem Bogiem. Mówiłem: „Daj mi rok życia – pokuty za dwa lata picia”. Ale minęło piętnaście lat i żyłem. Powiedziałem więc: „Panie Boże, niech będzie rok za rok”. Minęło właśnie

trzydzieści lat i żyję. Ale myślę, że już niedługo. To dlatego pani się tu zjawiła.

Roześmiałam się, widziałam przecież, że jest w doskonałej kondycji fizycznej i psychicznej. Potraktowałam jego słowa jak kokieterię. Umówiliśmy się, że kiedy będę w okolicy, odwiedzę go.

18 grudnia 2013 roku wieczorem zadzwonił Witek Nikody: „Rano zmarł ojciec. O godzinie 9.00 bratowa znalazła go w pokoju. Z różańcem w ręku”. Pogrzeb śp. Mieczysława Nikodego odbył się w Rymanowie w piątek 20 grudnia.

---

1 S. Kunegunda Bejma (Gabriela) ZMBM, *Nawrócenie religijne. Analiza psychologiczna*. Praca dyplomowa napisana na Podyplomowym Studium Poradnictwa Psychologicznego i Psychoterapii KUL pod kierunkiem ks. dr. hab. Władysława Prężyny, Lublin 1989, archiwum własne.

Żyd od Jezusa Miłosiernego

Był czterdziesty pierwszy dzień powstania warszawskiego. Niemieckie „krowy” od wielu dni niszczyły Śródmieście. Jeden z pocisków uderzył w kamienicę przy ulicy Marszałkowskiej 60. Bomba, rujnując dwa piętra, zatrzymała się nad pokojem Pereca Willenberga. Zrezygnowany, przysypany białym pyłem leżał na łóżku, gdy do mieszkania wpadł jego syn Samuel, który na chwilę opuścił powstańcze stanowisko.

– Prosiłem tyle razy, aby tata zszedł do piwnicy! Ale tata zawsze się upierał, że woli być na górze niż zasypany żywcem. – Samuel Willenberg do dziś pamięta tamtą scenę i tamte słowa sprzed siedemdziesięciu lat.

Perec uległ synowi, a może raczej ugiął się pod presją świadomości, że nad sufitem wisi pocisk moździerzowy. Zanim zeszli do piwnicy, chwycił jeszcze pudło z farbami, pędzlami, węglem i ołówkami. A synowi zapowiedział, że skoro i tak wszystko się kończy, on przestanie udawać niemowę. Sąsiadom wyjaśni, że zaczął mówić w wyniku szoku, który wywołało uderzenie bomby.

Gdy nazajutrz Samuel Willenberg przyszedł odwiedzić ojca, zastał go na klatce schodowej po lewej stronie oficyny. Otoczony sąsiadami, malował na suficie obraz. Szybko i sprawnie. Kawałkiem węgla narysował głowę Chrystusa na tle krzyża, między ramionami którego umieścił trzy słowa:

„JEZU, UFAM TOBIE”. U dołu po prawej zostawił podpis: „Rysował B. Pękosławski 11-go Września 1944 r.”.

– Ludzie byli wstrząśnięci. Zapadło milczenie, a potem zapanowała radość – opowiada Samuel Willenberg, który nie był zaskoczony tematem obrazu.

Takich i podobnych wizerunków Jezusa Miłosiernego jego ojciec namalował dziesiątki. Ale uprzednio czynił to na zamówienia. Teraz zrobił spontanicznie, nieproszony przez nikogo. Czy dlatego, że wiedział, jak słowa „Jezu, ufam Tobie” przymnażają nadziei wierzącym w Chrystusa? A może on sam szukał tej nadziei?

Wieść o rysunku Chrystusa szybko rozniosła się między ukrywającymi się w piwnicach. Również w sąsiednich budynkach, połączonych ze sobą podziemnymi przejściami. Jedni rozprawiali o malarzu, który doznał „cudu” i z wdzięczności za odzyskanie mowy namalował Chrystusa. Inni cieszyli się, że obraz Jezusa będzie odtąd chronił ich i kamienicę.

Od dnia gdy artysta malarz Żyd Perec Willenberg, ukrywający się w czasie wojny pod nazwiskiem Baltazar Karol Pękosławski, namalował w warszawskiej kamienicy obraz Chrystusa, mija w tym roku siedemdziesiąt lat.

Przy ulicy Marszałkowskiej 60, tuż obok Teatru Polonia, stoi ten sam pięciopiętrowy budynek. W podwórku oficyny jest ta sama kapliczka z figurą Matki Bożej, przy której w czasie powstania mieszkańcy domu wspólnie się modlili. Nie ma tylko ołtarza polowego, przy którym księża odprawiali msze święte, co utrwalił na zdjęciach porucznik Marian Grabski, pseudonim „Wyrwa”, fotograf walczącej Warszawy [2]. Dwaj hydraulicy w roboczych kombinezonach wychodzą z klatki, w której powinien być obraz Willenberga. Zapewniają mnie, że tu go nie znajdę. Ale jest! Niewidoczny jedynie dla oczu, które go nie szukają. Musi być przecież

w tym miejscu: pod burą dyktą, na której ktoś, bynajmniej nie z sympatii, domalował słowo „Jude”, gwiazdę Dawida, krzyż i kilka bohomazów. Może nie wiedział, że Chrystus to *der Jude*? W ten sposób niszczeje obraz Chrystusa z napisem „Jezu, ufam Tobie” – świadek powstania warszawskiego i początków rozwoju kultu Bożego Miłosierdzia, w czym ma swój udział żydowski malarz.

Większość okien w obskurnej oficynie straszy pustką. Od klienta sklepu z awangardową odzieżą, który jest zapowiedzią lepszych czasów, jakie dopiero mają nadejść dla całego budynku, dowiaduję się, że miasto, będące właścicielem oficyny, przygotowuje jej generalny remont. Czy odrestauruje i umożliwi oglądanie obrazu, w którego historii splątały się polskie i żydowskie losy?

Na razie oglądam wizerunek na zdjęciach wykonanych, zanim jeszcze został zakryty płytą, prowizorycznie chroniącą przed zniszczeniem. Wierna kopia obrazu znajduje się w Muzeum Powstania Warszawskiego. 29 lipca 2013 roku odsłonił ją dziewięćdziesięcioletni Samuel Willenberg, syn Pereca.

– Byłem bardzo wzruszony. To był powrót do tego, co przeżyłem – mówił mi w lutym 2014 roku, przed przyjazdem do Polski na premierę filmu o nim samym *Samuel*, w reżyserii Jana Kidawy-Błońskiego.

Samuel Willenberg był więźniem w obozie zagłady w Treblince, z którego nie miał prawa wyjść żaden Żyd. Niemcy zagazowali tam prawie dziewięćset tysięcy osób. A jednak 2 sierpnia 1943 roku dwustu więźniów wznieciło bunt, kilkudziesięciu udało się zbiec. Willenberg jest ostatnim z żyjących uciekinierów.

Gdy po wyjeździe z Polski w 1950 roku po raz pierwszy przyjechał do Warszawy trzydzieści trzy lata później i jechał tramwajem ulicą Marszałkowską, ze zdziwieniem zobaczył, że kamienica pod numerem 60

stoi. Wprawdzie bez żeliwnych balkonów i z innym zwieńczeniem elewacji, ale jest cała. Jeszcze bardziej był zdumiony, gdy wszedł do oficyny i odkrył, że nad schodami do piwnicy zachował się obraz. Nie wiedział wówczas, że przy odświeżaniu klatki, co wprawdzie zdarzało się rzadko, robotnicy dbali, by osłonić twarz Chrystusa. „Tu zdarzył się cud, a właściwie dwa cudy” – mówili starsi mieszkańcy kamienicy, zanim jeszcze powiedział, że jest synem tego, który namalował obraz. Pierwszym było to, że malarz „odzyskał” mowę, a drugim, że dom ocalał.

– Kamienica, w którą przed 11 września trafiły cztery „krowy”, nie została zniszczona, a Niemcy po powstaniu jej nie spalili – mówi Samuel Willenberg, który widział, jak niemieccy żołnierze, zgodnie z rozkazem Hitlera, niszczyli Warszawę tak, by nie został z niej kamień na kamieniu.

Również Joanna Brańska, nieformalna kustoszka pamięci o Perecu Willenbergu i Chrystusie z ulicy Marszałkowskiej 60, przypomina sobie spotkania z mieszkańcami oficyny.

– Przetrwanie budynku i ocalenie życia wiązali z obrazem – wspomina rozmowy z początku lat 90., gdy jako historyk sztuki i założycielka Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Izraelskiej zainteresowała się historią Willenbergów.

Z tych, którzy przy Marszałkowskiej 60 przeżyli wojnę, nie ma już nikogo. Inni nic nie słyszeli, a może jako dzieci nie słuchali wspomnień rodziców. Krawiec z pracowni na pierwszym piętrze budynku, którą prowadzi od ponad trzydziestu lat, jest sceptyczny: – Sąsiednia kamienica, pod numerem 62, też przetrwała powstanie, a obrazu w niej nie było. Budynek pod numerem 58 miał uszkodzony tylko front – wylicza.

Ale czy nie jest cudem to, że Zagładę przeżył Perec Willenberg? I to, że przeżył Samuel? Najpierw ucieczkę z obozu w Treblince, a później powstanie?

Perec Willenberg był jednym z około dwudziestu ośmiu tysięcy Żydów, którzy w czasie okupacji ukrywali się w Warszawie po aryjskiej stronie. Nie wiadomo, ilu z nich przeżyło. W wypadku Pereca Willenberga słowo „ukrywał się” nie jest precyzyjne. Ukrywał swoją tożsamość pod fałszywym nazwiskiem Baltazar Karol Pękosławski, ale nie mieszkał w ukryciu. Miał kenkartę, oficjalnie wynajmował pokoje, żył ze sprzedaży obrazów. Było to możliwe, gdyż miał tak zwany dobry wygląd. „Był średniego wzrostu, miał piękne siwe włosy, nosił wąsy i okulary. Trochę wyglądał jak artysta, trochę jak patriarcha” [3]. – Samuel w tym opisie ojca zapomniał o jego dużych niebieskich oczach.

Na jednym ze zdjęć Perec Willenberg w garniturze i w krawacie stoi z pędzlem przy sztaludze. Syn nie bez powodu porównywał go z wyglądu do Ignacego Paderewskiego. Przed niemieckim rasizmem, który wszystkich Żydów skazywał na śmierć, Pereca chronił wygląd zewnętrzny, ale zdradzała mowa.

– Ojciec mówił z silnym rosyjskim akcentem. – W pamięci syna zachował się jego charakterystyczny głos. – Podczas okupacji wszystko co obce było bardzo podejrzane.

Akcent Willenberga wiązał się z jego pochodzeniem. Był Litwakiem. Wprawdzie on, rocznik 1874, urodził się już w Makowie Mazowieckim, ale jego przodkowie pochodzili z rosyjskiej strefy osiedlenia, czyli terenów Litwy i północnej Białorusi, gdzie carskie ukazy pozwalały osiedlać się Żydom.

Na co dzień rozmawiali po rosyjsku. Byli bardziej zasymilowani niż Żydzi w Królestwie Polskim, na tereny którego przybywali od XIX wieku. Pereca Willenberga, syna handlarza zbożem, od najmłodszych lat najbardziej zajmowało rysowanie. „Cudownym dzieckiem” nazwał go znany pisarz i tłumacz Nahum Sokołow, jeden z liderów ruchu

syjonistycznego. Na talencie Pereca miał się poznać malarz Wojciech Gerson, gdy Perec w 1893 roku rozpoczął studia w warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych. Po studiach wyjechał do dynamicznie rozwijającej się Łodzi, w której jedną trzecią z około sześciuset tysięcy mieszkańców stanowili Żydzi. Wśród żydowskich właścicieli fabryk i banków było wielu mecenasów kultury i sztuki. Perec Willenberg musiał dobrze się czuć w tym wielokulturowym mieście, o kilku pięknych synagogach, z bogatym życiem literacko-artystycznym. Jednak stamtąd wyjechał, a dokładna data i przyczyna wyjazdu nie są znane. W pamięci Samuela zachowała się rodzinna opowieść o tym, że po rewolucji 1905 roku ojciec musiał uciekać z Łodzi, gdyż władze carskiej Rosji wydały na niego wyrok śmierci z powodu związania się z ruchem socjalistyczno-niepodległościowym. Wydaje się to o tyle wątpliwe, że wtedy nie mógłby od 1910 roku studiować w Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu, co sfinansowało mu żydowskie towarzystwo „Ika”. Pewną datą jest styczeń 1916 roku, gdy w Częstochowie Perec otworzył szkołę rysunku. Znajdowała się na piętrze kamienicy przy alei Najświętszej Maryi Panny 13 – głównej ulicy miasta – przy skrzyżowaniu z ulicą Dojazd (dzisiaj Piłsudskiego). To był bardzo dobry okres w twórczości Pereca Willenberga. W 1913 roku miał wspólną wystawę malarstwa z Romanem Kramsztykiem, trzy lata później pokazywał swe płótna razem z obrazami Stanisława Wyspiańskiego, a w 1919 roku również Jacka Malczewskiego i Leona Wyczółkowskiego [4]. Z tego okresu pochodzi jedna z niewielu zachowanych przedwojennych prac Willenberga datowana na 1913 rok: portret drzemiącego Żyda. Być może znalazł się on na jednej z wystaw.

W Częstochowie w 1919 roku Perec Willenberg poślubił młodszą o dwadzieścia cztery lata pielęgniarkę Maniefę Popow, z pochodzenia Rosjankę, która dla męża przeszła na judaizm. Mieli troje dzieci: Itę

urodzoną w 1919 roku, Samuela, zwanego Samkiem, urodzonego w 1923 roku i Tamarę urodzoną w 1936 roku. Dwoje starszych odziedziczyło po ojcu talent malarski. Rodzina żyła skromnie, w wynajętym mieszkaniu przy ulicy Fabrycznej. W domu rozmawiali po polsku.

„W piątek wieczorem jedliśmy śledzie, chałkę, żadnych luksusów. Kuchnia była koszerna, ale bez przesady" – wspominał Samuel [5].

Willenbergowie chodzili do synagogi, świętowali szabat, ale nie byli ortodoksyjnymi Żydami. „Tradycja była, kiedy były pieniądze" [6] – podsumowuje żartobliwie sytuację finansowo-religijną syn Pereca. U Willenbergów pieniądze były, gdy ojciec uczył rysunku w Zawodowej Szkole Rolniczej w Częstochowie, a dodatkowo prywatnie udzielał lekcji rysunku i malował obrazy na zamówienia. Kiedy jednak przyjął zlecenie na dekorację częstochowskiej synagogi, zrezygnował z pracy w szkole.

– Zapłatę dostał w wekslach z długim okresem wykupienia. Musiał je wcześniej sprzedawać, aby było na życie, i tracił na tym bardzo dużo – opowiada syn.

Perec Willenberg dekorował trzy synagogi: w Częstochowie, Piotrkowie Trybunalskim i Opatowie. Zrobił to w swoim autorskim stylu, nad którym pracował długie lata.

„Żydzi nie mieli nigdy swojego stylu, dlatego że nie wolno było przedstawiać człowieka ani w rzeźbie, ani w rysunku, ani w malarstwie. Styl ojca polegał na szczególnym liternictwie. Z liter hebrajskich zaczął tworzyć kompozycje, stylizował litery" – tłumaczył Samuel Willenberg [7].

– Jego styl ornamentyki złożony był ze stylizowanych hebrajskich liter, roślin i elementów architektury – precyzuje Joanna Brańska, historyk sztuki.

Dekoracje Willenberga można oglądać dziś jedynie w dawnej synagodze w Piotrkowie Trybunalskim, która służy za siedzibę biblioteki

publicznej. Fragmenty polichromii z około 1935 roku – zwoje Tory, sylwetki lwów – są wyjątkowym tłem dla regałów z książkami. Na tablicach Dekalogu, który Bóg podyktował Mojżeszowi na górze Synaj, dokładnie w miejscu, gdzie piąte przykazanie nakazuje: nie zabijaj – widać dziury po kulach. Tu Niemcy rozstrzeliwali piotrkowskich Żydów.

Po synagogach w Częstochowie i Opatowie, zniszczonych w czasie wojny, zachowały się jedynie zdjęcia plafonów i ścian zdobionych także fragmentami tekstów biblijnych, równie dekoracyjnymi jak inne elementy ornamentyki. Na jednym ze zdjęć na rusztowaniu pod sufitem stoi, oderwany na chwilę od pracy, mistrz Willenberg.

Synagogę w Opatowie, miasteczku na Kielecczyźnie, Perec Willenberg zaczął dekorować w 1938 roku. Z czasem się tu nawet przeprowadził. Tu też zastała go wojna, której wybuch dla Żydów oznaczał kres ich świata. Dla Pereca Willenberga nieodłączną częścią tego świata była żydowska sztuka religijna. Aby przeżyć, zaczął malować sakralne obrazy chrześcijańskie – Chrystusa, Matkę Bożą, świętych. Sprzedawał je okolicznym chłopom, w czym pomagał mu Samuel, który z matką i siostrami dołączył do ojca na początku 1940 roku. Żydzi w Opatowie dość długo mogli poruszać się swobodnie. Dopiero w maju 1942 roku Niemcy zamknęli ich w getcie. To prawdopodobnie w tym czasie z polecenia Judenratu Perec malował portrety niemieckich żandarmów. Likwidacja getta nastąpiła 20 października 1942 roku. Wcześniej znajomy Polak o nazwisku Karbowniczek skontaktował Willenberga z opatowskimi księżmi, którzy wyrobili rodzinie nowe dokumenty. Perec dostał tożsamość zmarłego w Opatowie Baltazara Karola Pękosławskiego, o rok młodszego od Pereca. Maniefa Popow, w której papierach mąż zatarł przejście na judaizm, pojechała z córkami do Częstochowy, by je tam ukryć. Na krótko wróciła do Opatowa, a kiedy znów znalazła się w Częstochowie, córek

w wynajętym mieszkaniu nie było. „To pani nie wie, że one były Żydówkami?” – zapytała gospodyni, informując, że zabrała je granatowa policja [8].

– Po tym wydarzeniu załamałem się, nie chciało mi się żyć. – Samuel tłumaczy, dlaczego wrócił do getta w Opatowie i dał się zawieźć do Treblinki.

Ale nie trafił do komory gazowej. Podając się za murarza, został przydzielony do Sonderkomanda, które uprzątało trupy i rzeczy po nich. Tam „wśród stosu rozrzuconej garderoby po zagazowanych ludziach” znalazł „małe paletko młodszej siostrzyczki i spódniczkę starszej” [9].

W tym czasie matka przebywała w Głowie niedaleko Łodzi, gdzie pracowała w fabryce Norblina. Natomiast Perec Willenberg ukrywał się w Warszawie. Z kenkarty wystawionej 7 stycznia 1943 roku na nazwisko Baltazar Karol Pękosławski wynika, że mieszkał przy ulicy Wielkiej 11, nieistniejącej dziś, a przed wojną prostopadłej do ulicy Świętokrzyskiej [10]. Kiedy w sierpniu 1943 roku po ucieczce z Treblinki odnalazł go syn, Perec mieszkał już przy ulicy Grójeckiej 104. Pod numerem 17 wynajmował pokój od pani Berkan. Udawał niemego. To z powodu owego niedobrego akcentu, który zdradzał pochodzenie. „Każde zdemaskowanie okupione było szeregiem przykrości. Często byłem szantażowany i okradany. (...) Pewnego dnia zatrzymał mnie na ulicy jakiś chuligan. Zaciągnął mnie do bramy i zabrał mi wszystko, co miałem przy sobie. Nie darował mi nawet marnej chusteczki do nosa” – Samuel spisał to, co opowiadał mu ojciec pod nieobecność gospodyni, gdy mogli ze sobą swobodnie rozmawiać [11]. Poza tymi rzadkimi godzinami Perec porozumiewał się z synem, pisząc na kartce. Zachowywanie milczenia nie było łatwe. Kilka razy miał wpadki, cztery razy z tego powodu zmieniał mieszkanie.

Przez cały czas pobytu w Warszawie Perec Willenberg utrzymywał się z malowania obrazów. Wykonywał je na prywatne zamówienia, sprzedawał do sklepów z dewocjonaliami. Miał nawet planszę z wydrukowanym tekstem: „PRZYJMUJE ZAMÓWIENIA NA PORTRETY OLEJNE RĘCZNE MALOWANE Z FOTOGRAFJI LUB Z NATURY CENY BARDZO PRZYSTĘPNE ARTYSTA-MALARZ NIEMOWA”. Poniżej był adres i dopisek: „Jak się mówi do mnie nie bardzo głośno to słyszę i rozumię”[12]. Ludzie myśleli, że niemowa także nie słyszy, dlatego krzyczeli mu do ucha tak głośno, że bał się, iż naprawdę ogłuchnie.

Perec najwięcej zamówień miał na obrazy sakralne.

– W czasie okupacji dużo lepiej zarabiał niż przed wojną – mówi Samuel Willenberg, który pomagał ojcu w sprzedaży obrazów.

Wystarczało na wynajęcie pokoju i pomoc finansową synowi i żonie, która odwiedzała go co dwa tygodnie.

Gdy Samuel po raz pierwszy wszedł do pokoju ojca przy Grójeckiej, zobaczył przy oknie sztalugi z rozpiętym płótnem. „Widniał na nim obraz Chrystusa w białych szatach. Z Jego serca wychodziły dwie smugi – biała i czerwona. Na dole był napis »Jezu, ufam Tobie«. Obok, na podłodze, nie dokończony obraz Matki Boskiej Częstochowskiej o brązowej twarzy, w złotej koronie. Na jej prawym policzku były dwa cięcia, na ręku trzymała dzieciątko Jezus. Naokoło stało jeszcze kilka nie dokończonych obrazów i szkiców” [13]. Namalowany rok później przez Pereca Willenberga *vel* Baltazara Karola Pękosławskiego obraz Jezusa z napisem „Jezu, ufam Tobie” nad zejściem do piwnicy przy ulicy Marszałkowskiej 60 nie był zatem ani jedyny, ani pierwszy.

– Ojciec namalował ich dziesiątki, może więcej – szacuje Samuel, którego postać i rysy twarzy mają wiele z wizerunków Jezusa Willenberga. – Służyłem ojcu jako model.

„Pomyśl, Samku – powiedział kiedyś Perec do syna – jakie dziwne są koleje życia ludzkiego. Ja, który swoje życie poświęciłem na tworzenie stylu żydowskiego, stylizując hebrajskie litery. Ja, który malowałem synagogi, dekorując ich plafony w stworzonym przeze mnie stylu. Ja, który lubowałem się w malowaniu typów żydowskich, maluję teraz Jezusy i Matki Boskie.

– Tato, ty nadal malujesz Żydów” – odpowiedział mu syn [14].

Nie wiadomo, kiedy Perec Willenberg narysował pierwszy obraz Jezusa Miłosiernego. Ale wiadomo, że miał jakiś wzór, według którego malował, a który otrzymał w sklepie z dewocjonaliami. Można się domyślać, że był to obrazek Jezusa Miłosiernego, czyli drukarska odbitka obrazu Eugeniusza Kazimirowskiego z 1934 roku albo jednego z późniejszych obrazów. Od wybuchu wojny bowiem siostry ze Zgromadzenia Matki Bożej Miłosierdzia wieszały w klasztornych kaplicach wizerunki Jezusa Miłosiernego innych autorów. Odbitki tych obrazów z tekstem Koronki do Bożego Miłosierdzia na rewersie szybko rozchodziły się po całym kraju. Tak było również w kaplicy klasztornej przy ulicy Żytniej w Warszawie, gdzie w lutym 1941 roku powieszono obraz namalowany przez siostrę Lucyllę Zabielską. Natomiast w listopadzie 1942 roku pojawił się tu drugi obraz Jezusa Miłosiernego pędzla Stanisława Kaczora-Batowskiego ze Lwowa, który głowę Chrystusa umieścił na tle krzyża, a w jego ramiona wpisał słowa: „Jezu, ufam Tobie”. Ten wizerunek tak bardzo siostrom przypadł do gustu, że obraz siostry Lucylli przekazały do klasztoru na Grochowie [15]. W klasztorze przy ulicy Żytniej był jeszcze jeden obraz Jezusa, gdy Baltazar Karol Pękosławski *vel* Perec Willenberg przyszedł tu z synem.

– To było w 1944 roku – wspomina Samuel. – Przyszliśmy z ojcem obejrzeć obraz Jezusa Miłosiernego namalowany przez Jana Stykę.

Zaprezentował w nim zupełnie inne podejście do tematu: promienie biały i czerwony były rozproszone. To był bardzo piękny obraz.

Perec za pośrednictwem Samuela rozmawiał z przełożoną klasztoru o sztuce. Siostra odwiedziła nawet pracownię malarza przy ulicy Grójeckiej. Według leksykonu żydowskich malarzy, opracowanego w języku jidysz tuż po wojnie przez Józefa Sandlera, Perec Willenberg namalował obraz dla klasztoru przy Żytniej [16].

– W kaplicy był już obraz, siostry nie miały potrzeby zamawiać kolejnego – zaprzecza Samuel Willenberg.

Obraz Styki prawdopodobnie wisiał nie w kaplicy, która sąsiaduje z klasztorem, lecz w tak zwanej małej kapliczce w głównym budynku klasztoru. Nie wiadomo, czy spłonął w czasie powstania, jak płótno Batowskiego, ale ta wersja wydaje się najbardziej prawdopodobna. Wiadomo natomiast, że Pękosławski znał kilka typów obrazów Jezusa Miłosiernego i wszystkie je malował. Głowę Chrystusa na tle krzyża z napisem u góry narysował węglem w kamienicy przy ulicy Marszałkowskiej 60. Natomiast obraz Jezusa z promieniami wychodzącymi z serca i napisem u dołu malował między innymi dla kościoła pod wezwaniem Świętego Stanisława w Siedlcach. Świadkiem jego powstawania był Samuel. W maju 1944 roku przy sklepie z dewocjonaliami spotkał dwie panie z Siedlec, które przyjechały zamówić u jakiegoś artysty obraz Jezusa w nowym stylu. Samuel zaprowadził je na ulicę Grójecką. „Ojciec naszkicował im swojego niekonwencjonalnego Chrystusa. Na widok szkicu potrząsnęły z niezadowoleniem głowami. Nie chciały takiego Chrystusa, jak go sobie ojciec wyobrażał. Chciały, aby był taki jak na obrazach w sklepach z dewocjonaliami. To znaczy kiczowaty. Ojciec, widząc, że nie ma sensu z nimi dyskutować, naszkicował go tak, jak sobie życzyły. Tym razem były zadowolone. Transakcja została zawarta”[17] –

wspominał. Od tej pory między Baltazarem Karolem Pękosławskim a Zofią Buszkowską, jedną z owych dwu kobiet, trwała korespondencja, która zachowała się do dzisiaj[18]. W liście z 29 maja 1944 roku kobieta prosiła, aby Chrystus na obrazie „błogosławił całą ręką”, a nie dwoma palcami. Prosiła też, aby nad głową Chrystusa „koniecznie był krzyż, bo tradycja tego Obrazu mówi – Jezus schodzi z krzyża i idzie na świat, aby okazywać Swoje Miłosierdzie”. Na siedleckim obrazie, którego zdjęcie się zachowało, nie ma tego motywu, co oznacza, że w dalszej korespondencji zamawiający od tego warunku odstąpili. Ktoś musiał im zwrócić uwagę, że był on sprzeczny z objawieniami siostry Faustyny, w których Jezus wyraził życzenie, aby słowa „Jezu, ufam Tobie” były umieszczone u dołu obrazu. W tym samym liście z Siedlec, z 29 maja 1944 roku, Perec był proszony o to, aby „włosy Chrystusa Pana nie były rude, ale blond”. A ponadto, aby czcionka napisu „Jezu, ufam Tobie” była brązowa i efektowna. W liście z 20 czerwca Zofia Buszkowska martwiła się, że obraz będzie gotowy dopiero za trzy tygodnie, ale przyjmowała to ze zrozumieniem, gdyż „robota solidna nie może być pośpieszna”. Prosiła jeszcze, „aby promienie, tryskające z szaty Chrystusa, były powiewne, lekkie i długie, sięgały do ziemi”. Wyjaśniała, że na wielu obrazach widziała „ciężkie smugi, a czerwona była za silnej barwy”. Nie wiadomo, czy ta ostatnia uwaga dotyczyła obrazów Willenberga *vel* Pękosławskiego. W połowie lipca, czyli jeszcze przed wybuchem powstania warszawskiego, obraz był ukończony. Samuel pamięta, że do Siedlec pojechały dwa obrazy. Na drugim, namalowanym na prywatne zamówienie proboszcza parafii Świętego Stanisława, a był nim wówczas ksiądz Józef Kobyliński, jego ojciec namalował tylko głowę Chrystusa.

Listy z Siedlec adresowane były na ulicę Grójecką, ale już w maju Perec Willenberg przeprowadził się na Natolińską. Pani Berkan wymówiła

mu pokój po tym, jak na początku marca na Grójeckiej pod numerem 77 Niemcy złapali Emanuela Ringelbluma, twórcę archiwum zbrodni niemieckich w getcie warszawskim. Samuel Willenberg przypuszcza, że właścicielka mieszkania domyślała się pochodzenia ojca.

Po wybuchu powstania Perec przez kilka tygodni nie miał kontaktu z synem, który jako „Igo” walczył najpierw w batalionie „Ruczaj” Armii Krajowej, a następnie w Polskiej Armii Ludowej. Perec Willenberg w tym czasie dwukrotnie umknął śmierci. Raz, gdy budynek przy ulicy Natolińskiej 8 po uderzeniu bomby stanął w płomieniach, a on niemal nagi zdołał się z niego wydostać. Po raz drugi, gdy 10 września pocisk, który uderzył w kamienicę przy Marszałkowskiej 60, zatrzymał się nad wynajmowanym przez niego pokojem.

Perec Willenberg przeżył powstanie. Uciekł z kolumny cywilów, która trafiła do obozu przejściowego w Pruszkowie. Przedostał się do Głowna, gdzie mieszkała żona, i tam doczekał końca okupacji. Po wojnie zamieszkał w Łodzi. Powrócił do malarstwa żydowskiego. Malował obrazy, projektował ekslibrisy, pocztówki, witraże.

Zmarł na gruźlicę 7 lutego 1947 roku.

Maniefa Popow Willenberg zmarła w 1973 roku w Tel Awiwie.

Samuel Willenberg z żoną Adą (Krystyną) Lubelczyk-Willenberg, uratowaną z Holocaustu, w 1950 roku wyjechał do Izraela. Mieszkają w Tel Awiwie. Samuel przez kilkadziesiąt lat pracował jako geodeta, na emeryturze ukończył studia z zakresu rzeźby. Jest autorem cyklu rzeźb przedstawiających sceny z Treblinki. Miał wystawy w Polsce i Niemczech. Wyrzeźbił też pomnik Jana Pawła II pochylonego nad zwojami Tory. Trwają przygotowania do ustawienia go przed kościołem Świętego Augustyna w Warszawie, który znajdował się na terenie getta.

2 „Marszałkowska 60. Projekt edukacyjny”, opracowanie Władysław Jurkow, archiwum domowe Joanny Brańskiej.

3 R. Geremek, *Jak namalować twarz Boga*, „Focus Historia” 2011, nr 3.

4 Maszynopis polskiego tłumaczenia hasła „Perec Willenberg” z napisanego przez Józefa Sandlera w języku jidysz *Leksykonu żydowskich malarzy*, archiwum własne Joanny Brańskiej; R. Geremek, dz. cyt.; I. Świerdzewska, *Niechciany Jezus z żydowskiego obrazu*, „Idziemy” 2013, nr 37; J. Jagielski, *Na piwnicznym suficie*, „Spotkania z Zabytkami” 1994, nr 8; Sz. Spund, *Spuścizna artysty*, „Nasze Słowo” 1947, nr 13; http://historiezapomniane.blogspot.com/2013/11/litwacy-czyli-praktyka-dziel-i-rzadz.html;http://czestochowa.gazeta.pl/czestochowa/56,35271,12610349,Zobaczcie__co_dzis_zostalo_po_zydowskiej_Czestochowie%E2%80%9D9.html?.

5 R. Geremek, dz. cyt.

6 Tamże.

7 Wywiad Pawła Śpiewaka z Samuelem Willenbergiem, http://www.treblinka.bho.pl/index.php?option=com_content&task=view&id=132&Itemid=77.

8 R. Geremek, dz. cyt.

9 S. Willenberg, *Bunt w Treblince*, Warszawa 2004, s. 35.

10 Archiwum własne Samuela Willenberga.

11 S. Willenberg, dz. cyt., s. 86.

12 Archiwum własne Samuela Willenberga.

13 S. Willenberg, dz. cyt., s. 84.

14 Tamże, s. 86.

15 S. M.E. Siepak ZMBM, *Zgromadzenie Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia w pełnieniu misji Apostołki Bożego Miłosierdzia* w: *Promieniowanie orędzia Miłosierdzia*, Kraków 2010, s. 91, 92, oraz rozmowa autorki z s. M.E. Siepak, luty 2014.

16 Maszynopis polskiego tłumaczenia hasła „Perec Willenberg”, dz. cyt.

17 S. Willenberg, dz. cyt., s. 88–89.

18 Archiwum własne Samuela Willenberga.

Metanoia

Między jednym ciastkiem a sięgnięciem po kolejne ksiądz Lucjan Bielas powiedział łagodnie, może nawet ze słodyczą w głosie: „Wiesz, albo Jezus, albo bioenergoterapeuta”.

Nie tłumaczył dlaczego. Nie krytykował. Nie odgrażał się, że nawróci. Rozmawiali w letnim domku w ogrodzie, popijając herbatę.

Było upalne lato 2006 roku. Ewie Sałużance zdawało się, że uwagę księdza Lucjana puściła mimo uszu. Wychodząc od niego, myślała tylko o tym, że nazajutrz musi wstać wcześnie, by dojechać do Łodzi na kolejne spotkanie z bioenergoterapeutą. Cieszył się opinią najlepszego z najlepszych i obiecywał wyleczenie jej z głębokiej depresji.

A jednak późnym popołudniem zmieniła zdanie. Nieoczekiwanie dla niej samej. Szła wtedy nierównym chodnikiem wzdłuż siatki szkolnego boiska w willowej dzielnicy Jaworzna.

– Nagle pomyślałam: a gdybym nie pojechała? Już przecież nic nie ryzykuję. Najwyżej pojadę innym razem – opowiada. – Jednocześnie oczyma wyobraźni widziałam siebie podtrzymywaną przez liczne podpórki. Stałam tylko dzięki nim. W chwili gdy pomyślałam, że zaryzykuję i nie pojadę, wszystkie te podpórki odpadły. W jednej sekundzie poczułam, że w moim sercu jest Jezus. I to jest to, na co całe życie czekałam – mówi, a w

jej głosie wciąż słychać echo tamtego doświadczenia. – Poczułam, że moje serce to największa głębia, jądro mojego istnienia, którym jest Jezus. Poczułam, że jestem pełna, idealna i niczego więcej nie potrzebuję. To przeżycie trwało parę sekund. Od tamtej chwili wiem jednak, że nic lepszego w życiu mnie nie spotkało. I już nie spotka.

Rozmawiamy w sali teatralnej Teatru Sztuk w centrum Jaworzna. W piętrowej kamienicy zbudowanej z czerwonej cegły na początku ubiegłego wieku dla Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. Wieczorem, gdy na scenę wyjdą aktorzy, kilka rzędów niebieskich foteli zapełni się, a w świetle reflektorów ożyją martwe jeszcze o poranku rekwizyty. Ewa Sałużanka jest tu dyrektorem. W prowadzonym przez jaworzyński samorząd Teatrze Sztuk pracuje z aktorami nieprofesjonalnymi. Do opowiedzenia nie o pracy z innymi, nie o dorobku reżyserskim, ale o jej przemianie przekonał ją Jerzy Łukaszewicz, kolega wykładowca z Wydziału Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, operator oraz reżyser, między innymi filmu fabularnego *Faustyna*.

– Przez całe życie mówiłam aktorom i studentom o transformacji. O tym, że jest możliwa, że wszystko, co jest zastane, można zmienić. Ale dopiero kilka lat temu podczas modlitwy uwielbienia we wspólnocie „Metanoia” zrozumiałam, że to, o czym mówię od wielu lat, to właśnie *metanoia* – wyznaje zdumiona, że wcześniej tego nie widziała. – Mówiłam o niej, ale nie mogłam jej doświadczyć, bo obracałam się w innym obszarze duchowym.

„*Metanoia*” jest greckim słowem używanym w Nowym Testamencie na określenie nawrócenia się rozumianego jako całkowita zmiana sposobu widzenia świata, myślenia i działania, przemiana osobowości. To duchowa odnowa.

– Moje nawrócenie było cudem. Tak to dziś widzę, ale wtedy gdy się to działo, nie miałam tej świadomości – przyznaje Ewa, podsuwając mi talerz z ciastkami oblanymi czekoladą.

Wysoka, z burzą ciemnych włosów, w dżinsach i białym kardiganie, z długim szalem owiniętym wokół szyi, tryska energią, pomysłami i planami na przyszłość. Po depresji ani śladu. Owszem, czasem miewa gorsze dni. Wtedy sięga po różaniec i Psalm 119.

> Szczęśliwi, których droga nieskalana,
> którzy postępują zgodnie z Prawem PANA.
> Szczęśliwi, którzy słuchają Jego pouczeń;
> całym sercem szukają Jego woli.

Z depresją żyła długo, bardzo długo. Pierwsze symptomy choroby pojawiły się już na trzecim, może czwartym roku studiów teatrologicznych w Krakowie. Gorsze przyszło, gdy po studiach przeprowadziła się do Warszawy i związała z filmem. To z tego okresu pochodzi kilka tytułów w filmografii Ewy Sałużanki, w tym współpraca reżyserska w kultowym serialu *Alternatywy 4*. Stany depresji były coraz dłuższe i głębsze. Ratunku szukała w psychotropach i w ruchu New Age, który w latach 80. wlał się do Polski szeroką falą. New Age jako utopijny ruch filozoficzno-społeczny się nie przyjął, ale na podatny grunt trafiły różne toksyczne duchowości, które z sobą przyniósł. Oferował różnorakie terapie, które miały uleczyć duszę i przynieść szczęście. Po wiele z nich sięgała również Ewa. Uczestniczyła w seansach hipnozy i głębokiej relaksacji, korzystała z zabiegów bioenergoterapeutów, kontroli umysłu, sięgnęła po tarot, horoskopy i wróżby.

– W tym pogubieniu się, w morzu depresji usłyszałam o buddyzmie, który był poważniejszą i uczciwszą drogą rozwoju od newage'owych obietnic szczęścia – opowiada. – W buddyzmie pociągało mnie wielkie współczucie dla wszystkich istot i obietnica przejrzystości umysłu, którą można osiągnąć w wyniku ćwiczeń. Ludzie, których wówczas poznałam, imponowali mi spokojem i rozwagą.

Inaczej niż ona, która, odkąd sięga pamięcią, emocji nigdy nie przeżywała lekko, łatwo i delikatnie. Amplituda wzruszeń była zawsze bardzo duża, rozchwiana. Buddyzm dawał nadzieję na uspokojenie. Gdy w niego weszła, od dawna była już poza Kościołem katolickim. Nie praktykowała. Wychowana po katolicku, chodziła do przedszkola prowadzonego przez zakonnice. Pamięta silne wzruszenie, jakie towarzyszyło jej w chwili przyjęcia Pierwszej Komunii Świętej. I na tym jej związki z Kościołem się skończyły. Powoli, ale konsekwentnie odchodziła od Boga.

– Chodziłam do kościoła, ale bardziej niż Boga szukałam przeżyć. Msze odprawiane były wtedy tyłem do ludzi, po łacinie, nie bardzo wiedziałam, co się dzieje. Jednocześnie miałam w sobie ciągły wewnętrzny niepokój, poczucie, że ten świat to nie jest wszystko.

Buddyzm również nie udzielił Ewie odpowiedzi na wiele pytań. Nie przyniósł spokoju. Nie uleczył depresji. Niemniej praktykowała go przez siedemnaście lat. Najpierw buddyzm zen, a potem tybetański. Miała różnych mistrzów. Wciąż mówi o tym doświadczeniu pozytywnie.

– Mam ogromny szacunek dla buddyzmu, rani mnie bardzo, gdy z ambony słyszę, że jest jedną z furtek, którą otwieramy wejście dla demonów. W moim przekonaniu buddyzm jest znakomity dla osób, które pochodzą z jego kręgu kulturowego, czyli z Dalekiego Wschodu. – Ewa akcentuje to samo, o czym mówią niektórzy duchowni. To, co nie jest

toksyczne duchowo dla ludzi Dalekiego Wschodu, którzy wiedzą, jak przejść przez zagrożenia, może być toksyczne dla chrześcijan, którzy mają inne ramy kulturowe, na czele z Dekalogiem i jego pierwszym przykazaniem: „Nie będziesz miał bogów cudzych przede Mną”.

W 1999 roku Ewa Sałużanka wróciła z Warszawy na Śląsk. Najpierw do Katowic, a potem do rodzinnego Jaworzna. Najcięższy nawrót depresji połączony z poczuciem nękania przez złe duchy zaczął się po śmierci ojca w 2000 roku.

– Dwa lata byłam „sztywna”. Na szczęście nie miałam myśli samobójczych. To był efekt mojego kontaktu z buddyzmem. Wiedziałam, że śmierć niczego nie kończy. Ale to wytworzyło koszmarną sytuację: nie mogłam ani żyć, ani umrzeć. Moje ciało, które kumuluje moje myśli i uczucia, było jednym wielkim bólem.

Radziła się psychiatrów, ale dostrzegła, że są bezradni. Żaden lekarz nie potrafił określić, co jest powodem jej cierpienia. Miała depresję połączoną z potwornymi lękami. I poczucie czyjejś obecności. Zdarzało się, że nie wychodziła z domu przez kilka dni. Bała się. Brała coraz to nowe leki, po czym szybko je odstawiała, bo czuła, że od nich rzeczywiście zwariuje. Dojmujący, ale też, jak sama zauważa, uczący pokory był nie tyle fakt leczenia się u kolejnych psychiatrów, ile to, że musiała płacić za pomoc. Za to, aby z nią ktoś zamieszkał i złagodził strach. Lęk był tak paraliżujący, że nie była w stanie prowadzić samochodu. Józefina, koleżanka Ewy, woziła ją raz w tygodniu z Jaworzna do Katowic na uczelnię.

– Stawałam przed studentami, prowadziłam wykład tak, że nikt z zewnątrz nie mógł poznać, co się ze mną dzieje, a potem wsiadałam do samochodu i się psychicznie rozsypywałam – wspomina bardzo trudny czas. – Żyłam z dnia na dzień.

Znowu chwytała się praktyk okultystycznych – tarota, wróżb, korzystała z usług bioenergoterapeutów. Czytała książki ezoteryczne o podróżach astralnych. Jedynie jogę zarzuciła. Nie potrafiła utrzymać umysłu w stanie medytacji.

Był rok 2005. Przyjaciółka Ewy Grażyna, zwana Grazią, wróciła akurat z pielgrzymki. Z jakiego sanktuarium – tego żadna z nich już nie pamięta. Ewa natomiast do dziś ma przed oczami kolorową sukienkę Grazi – w duże zielone liście i kwiaty. I jej twarz emanującą wewnętrzną radością. Grażyna przyniosła jej w prezencie *Dzienniczek* siostry Faustyny.

– „Ale ją nakręciło”, pomyślałam. Patrzyłam na *Dzienniczek*, przewidując w duchu, że to będzie jakaś kolejna nieskuteczna propozycja w stylu New Age. – Przywołuje dawne myśli.

Odłożyła *Dzienniczek* na półkę. Na długo. Na rok, może dłużej. Dziś trudno już ustalić daty. Jej stan się pogarszał. Justyna i Krzysztof, młode małżeństwo z naprzeciwka, poradzili jej, aby poszła porozmawiać o swoich duchowych problemach z księdzem Lucjanem Bielasem, mieszkającym w Jaworznie historykiem sztuki, wykładowcą na Uniwersytecie Papieskim Jana Pawła II w Krakowie.

– Poszłam, ale byłam nieufna – wspomina Ewa rozmowę z nieco starszym kolegą z liceum, który został księdzem.

– Nie pamiętam tej rozmowy. Prowadzę ich tak wiele. Nie pamiętałem nawet Ewy z liceum – mówi ksiądz Bielas.

Ale Ewa zapamiętała, że w czasie tego spotkania Lucjan powiedział: „Jak się komuś głowa popsuła, to dobrze czytać psalmy”.

Zaczęła czytać, ale zupełnie jej nie szło. Odłożyła psałterz na półkę, gdzieś w pobliżu *Dzienniczka*. Wciąż trzymała się tego, co ją duchowo zatruwało. Ktoś polecił jej bioenergoterapeutę, który mieszkał w Łodzi. Nie

była w stanie jeździć sama, więc za każdym razem prosiła kogoś ze znajomych, aby ją zawiózł na wizytę.

– Nazywałam ich macaczami. – Grażyna uśmiecha się sceptycznie na myśl o poznanych bioenergoterapeutach. – Przesuwali rękami nad ciałem, coś szeptali i brali niemałe pieniądze. To były kosztowne wyprawy. Towarzyszyłam kiedyś Ewie w newage'owym treningu oddechowym. Mnie to nie pociągało, ale byłam ciekawa, co Ewę tak fascynuje.

Tymczasem stan Ewy się pogarszał. Czuła nękania, ale dopuszczała do siebie myśli, że pochodzą od złego ducha. Nadal czytała książki ezoteryczne, sięgała po tarota.

– Łatwo jest powiedzieć: „Dlaczego zajmujesz się takimi bzdurami?". – Ewa odpowiada na usłyszane kiedyś pytanie. – To są rzeczy, które nie służą człowiekowi, ale to nie są bzdury. Tarot w moim życiu w wielu wypadkach się sprawdził. Ale jest niebezpieczny, bo wzbudza wewnętrzne napięcie, które powoduje, że chcesz z niego korzystać coraz częściej. Chcesz się dowiedzieć, co będzie w przyszłości. Coraz bardziej się boisz i coraz bardziej nakręcasz spiralę ciekawości i trzymasz się tego, co mówią karty, bo poprzednio sprawdziły się na przykład w osiemdziesięciu procentach. W końcu nie jesteś w stanie zaufać procesowi życia, tylko podejmujesz decyzje w zależności od tego, co mówią karty: czy masz iść do pracy, czy zostać w domu, a jeżeli masz wyjść, to którą stroną ulicy iść, żeby dachówka nie spadła na głowę. To ogranicza człowieka, zabiera mu wolność. To jest zniewolenie psychologiczne, ale też zniewolenie diabelskie – tłumaczy coś, czego sama doświadczyła. – W tym czasie wszystko to, czego się jeszcze chwytałam, było już bardzo marne, ale jeszcze nie potrafiłam tego rzucić. Czułam, że się szarpię, że nic nie działa, lecz wciąż jeszcze próbowałam.

Było lato 2006 roku. Jeden z tych dusznych wieczorów po gorącym dniu, kiedy trudno zasnąć. Wewnętrznie zbolała sięgnęła po książkę ezoteryczną o aniołach.

– Czytałam i myślałam: „Przecież cokolwiek by się działo, to w świecie duchowym musi być ktoś, kto mi sprzyja”. Zaczęłam się intuicyjnie modlić do anioła: „Jeżeli jesteś po tej drugiej stronie i widzisz, co się ze mną dzieje, proszę, zaopiekuj się mną, proszę, zrób jakiś gest”. Mówiłam: „Pomóż mi, pomóż mi”. Weszłam na poziom bezradnego dziecka.

Noc była duszna. Balkon otwarty. Nie mogła spać. Wstała i poszła do łazienki. Przechodząc koło biblioteczki, sięgnęła ręką, ot tak, bez zastanowienia, po jakąś książkę, żeby zabić bezsenne godziny. Wyjęła *Dzienniczek*. Otworzyła. Trafiła na fragment „Rozmowy miłosiernego Boga z duszą w rozpaczy”. Zaczęła czytać: „Wtenczas zaczynają się niejako wysilać wnętrzności miłosierdzia Bożego i bez żadnej współpracy duszy daje jej Bóg swą ostateczną łaskę. Jeżeli nią wzgardzi, już ją Bóg pozostawi w stanie, w jakim sama chce być na wieki. Ta łaska wychodzi z miłosiernego Serca Jezusa i uderza swym światłem duszę, i dusza zaczyna rozumieć wysiłek Boży, ale zwrócenie [się do Boga] od niej zależy. Ona wie, że ta łaska jest dla niej ostatnia, i jeżeli okaże jedno drgnienie dobrej woli – chociażby najmniejsze – to miłosierdzie Boże dokona reszty” [19].

– To był przełom. W jednej sekundzie utożsamiłam się z tym, co czytałam, bo miałam poczucie, że już nic więcej nie mogę. – Na samo wspomnienie słów, które przeczytała tamtej nocy, Ewa wzrusza się. – Aż do tego momentu myślałam, że zawsze muszę kochać. Bardzo chciałam kochać i chciałam z siebie dawać, a nie miałam z czego. Zaczęłam łapczywie czytać słowa Faustyny i one w sekundzie zmieniły mi wszystko w głowie. To było odwrócenie świata o sto osiemdziesiąt stopni. Po różnych terapiach już wszystko wiedziałam, wszystko przerobiłam: bo

mamusia, bo tatuś, bo dziadek, babcia... Już wszystko wiedziałam i miałam już kochać, już miało być dobrze. Ale nie było. Ja nie kochałam, moje serce było ciągle zamknięte. Wtedy, tamtej nocy, nagle odkryłam, że to nie jest sprawa mojego wysiłku, bo wszystkie moje źródła są w Bogu. „Wszystkie moje źródła są w Tobie” – Ewa cytuje Psalm 87, który poznała później, gdy już sięgnęła po psałterz odłożony na półkę.

Ta noc była przełomem. Właściwie jego początkiem. Ewa czytała *Dzienniczek*, ale jeszcze nie odrzuciła „podpórek”. Gdy Justyna powiedziała jej kiedyś, że nie wie, jak bez Jezusa wyglądałoby jej małżeństwo, Ewa pomyślała w duchu: „Pieprzone katolickie trójkąty”. Wtedy jeszcze nie rozumiała, że dopiero obecność Jezusa gwarantuje pełnię związkowi. Ale obolała na duchu i ciele dała się Krzysztofowi zawieźć do księdza Lucjana. Rozmawiali po raz drugi. Usiedli w drewnianym domku w ogrodzie. Ksiądz wolno jadł ciastka. To wtedy między jednym ciastkiem a sięgnięciem po drugie powiedział łagodnie: „Wiesz, albo Jezus, albo bioenergoterapeuta”.

Kiedy Ewa postanowiła zaryzykować i nie jechać na spotkanie z bioenergoterapeutą, i gdy w jednej sekundzie w jej wyobraźni odpadły „podpórki”, zmieniło się wszystko. Kierunek był jasny. Następnego dnia zadzwoniła do Lucjana.

– Ewa chciała się wyspowiadać. Zostałem jej stałym spowiednikiem, dlatego nie mogę powiedzieć nic więcej – mówi ksiądz Bielas.

– Wyglądało to tak: spowiadam się i płaczę. Płaczę i spowiadam się. Nie licząc jednej, była to moja pierwsza spowiedź od trzydziestu lat. Później odbyłam jeszcze jedną generalną spowiedź u karmelitów w Czernej. W czasie terapii psychologicznych ludziom się mówi: „Zrobiłeś to i to, ale nie przejmuj się, ja ciebie rozumiem”. To błąd, a nawet oszustwo. Miałam duże poczucie winy. I czułam, że poczucie winy jest

ważne, jest wrotami, przez które może wejść uzdrowienie. Może część tej winy była wyimaginowana, ale część rzeczy, które zrobiłam, były wobec innych ludzi niewłaściwe. Dopuściłam to do siebie, że jestem nie w porządku. Bolało, ale to był bardzo ważny moment. Kiedy uzna się swoją winę i zobaczy, że Jezus to ogrom miłosierdzia – jak mówi siostra Faustyna – Ocean miłości, to wtedy wszystko się w tej miłości rozpuści. Wszystko. Długi czas nosiłam w sobie taki obraz: Jezus jako Ocean miłości, głębia, która nigdy się nie skończy. Stoję na brzegu oceanu i czuję, jak muska mnie lekka bryza. Nie wchodzę do Oceanu, ale wiem, że on jest – wspomina Ewa.

Grażyna, która wcześniej zabierała czasem Ewę samochodem do Katowic na wykład, teraz zabierała ją w drugą stronę. Do Łagiewnik. Dzwoniła o 14.00 i już godzinę później odmawiały w kaplicy Koronkę do Bożego Miłosierdzia. Rano, przed pracą, zabierała Ewę na poranną mszę świętą do kościoła w Jaworznie. Woziła na rekolekcje Odnowy w Duchu Świętym. Rok 2007 rozpoczęły w Medjugorie, dokąd pojechały we dwie.

– Jeszcze miałam w głowie pytania, które dotyczyły już nie życia i śmierci, ale istnienia mnie jako istoty: Czy ja w ogóle jestem? Czy mnie nie ma? To mi jeszcze po głowie chodziło, ale wiedziałam też, że w tamtej sekundzie, gdy poczułam, że w moim sercu jest Jezus, dostałam coś najlepszego, co człowiek może otrzymać – mówi Ewa.

Dopiero gdy była na etapie duchowego uzdrawiania, Grażyna powiedziała jej, dlaczego tamtego letniego dnia po powrocie z pielgrzymki przyniosła jej *Dzienniczek*.

– Grazia miała sny. Trzy razy przychodziła do niej we śnie siostra Faustyna i mówiła: „Daj Ewie mój *Dzienniczek*”. Ostatnim razem powiedziała: „Ja jestem mistyczką, ona to zrozumie” – cytuje Ewa.

Grażyna, ubrana w sukienkę w kolorze lipcowego słońca w barwne kwiaty, pamięta, że *Dzienniczek* kupiła w księgarni w Łagiewnikach. Pamięta, że dała go Ewie pod wpływem snów z siostrą Faustyną, ale samych słów świętej nie jest w stanie sobie przypomnieć. Może dlatego, że miała wiele znaczących snów, a może dlatego, że w ostatnich latach przeszła trudne osobiste doświadczenia.

– Pamiętam natomiast, że gdy Ewa po raz kolejny dzwoniła w psychicznej rozsypce, a ja nie wiedziałam już, jak mam pomóc, powiedziałam trochę w złości: „Ewa, weź ten *Dzienniczek* i otwórz go. Otwórz i przeczytaj, co tam jest napisane” – odtwarza tamtą irytację.

Ewa poprzez sny koleżanki poczuła więź z siostrą Faustyną. Faustyna stała się jej bliska, a jednak gdyby miała odpowiedzieć, kto jest jej ulubionym świętym, odpowiedziałaby: Jan od Krzyża. Drży, gdy cytuje jego strofę: „O żywy płomieniu miłości, jak czule rani siła żaru twego”.

– Święta Faustyna bardzo mnie wzrusza. Ta prosta dziewczyna udowadnia, że mądrość nie jest z wiedzy. Jest zupełnie inną kategorią – zauważa autorka scenariuszy, reżyserka sztuk teatralnych i filmowych, dyrektorka Teatru Sztuk. – Mnie zawsze imponowały stany mistyczne. Postrzegałam je jako coś wyjątkowego, czego pragnęłam, a nie mogłam dotknąć. Teraz już wiem, że to nie jest nic szczególnie nadzwyczajnego. Znam co najmniej kilka kobiet z mojej wspólnoty modlitewnej, które są mistyczkami. Wiem też, że przeżycie mistyczne to centrum naszego istnienia. Sprawia, że lepiej możemy chodzić po ziemi. Mistycyzm daje duże poczucie bezpieczeństwa. Bo jeżeli wiem, że nasze istnienie nigdy się nie kończy, to czuję się bezpiecznie.

Proces duchowego uzdrawiania Ewy zaczął się latem 2006 roku. I trwa do dziś.

– Ewa chciała wyjść z depresji. Gdyby nie było w niej tej potrzeby, bardzo trudno byłoby jej pomóc. Chciała być może dlatego, że wszystkiego spróbowała i nic nie pomagało. Nic się nie sprawdzało. Został tylko Bóg – mówi Grażyna, która przeszła z Ewą tę drogę. – Może trzeba upaść nisko, by się odrodzić?

We wrześniu 2007 roku w Sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Łagiewnikach odbywało się spotkanie modlitewne „Strumienie miłosierdzia", w którym uczestniczył znany charyzmatyk ojciec John Bashobora z Ugandy.

– Po raz pierwszy zobaczyłam tam, że Kościół katolicki ma fascynujący wymiar. Nie znałam takiego Kościoła, ale ten „zakurzony", bez ducha. W Łagiewnikach zobaczyłam Kościół żyjący, barwny, uczuciowy. Słuchałam wykładów i świadectw osób nawróconych. Kościół mówi często o rozumie, o mądrości, ale w życiu duchowym ważne są też uczucia – mówi Ewa, która uczucia nadal przeżywa mocno. – Widziałam spoczynki w Duchu Świętym i spektakularne uzdrowienia. Ludzie szli o kulach i nagle je odrzucali. Uzdrowienia fizyczne nie robią na mnie takiego wrażenia jak duchowe, ale jednak też są istotne. Słyszałam przerażający krzyk osób opętanych. Te rekolekcje były dla mnie silnym doświadczeniem. Kiedy ojciec Bashobora przechodził z monstrancją przez kościół, rzuciło mną. Nie, to nie był spoczynek w Duchu Świętym – uprzedza, uśmiechając się szeroko. – Zgięło mnie wpół tak, że dotknęłam głową posadzki. Poczułam, że się modli nie głowa, ale tu, w środku – pokazuje serce. – Modlę się słowami z głębi mnie: „Oto ja, służebnica Pańska"... To się działo samo.

Ewie potrzebne były modlitwy egzorcysty. Już wcześniej jeździła do Częstochowy do ojca Anzelma, a później do egzorcysty diecezjalnego. Pewnego razu w drodze do Częstochowy towarzyszyła jej znajoma o imieniu Maria. Chcąc powiedzieć, że to przecież nic trudnego wyznać:

„Jezus jest moim Panem”, zaczęła się dusić. Okazało się, że egzorcyzmów potrzebują obie. W domu Ewy, gdzie praktykowała wcześniej okultyzm, były odprawiane msze święte.

– Miałam przywieźć do Ewy kapłana z Czernej – opowiada Grażyna o wydarzeniach, które wprawiły ją w zdumienie. – Od rana wszystko się psuło. W pracy stawały komputery, ekrany odwracały się do góry nogami – wylicza. – Tuż przed moim wyjazdem upadłam tak fatalnie, że zraniłam się w nogę, krew się lała, nie mogliśmy jej zatamować. Do dzisiaj mam bliznę. – Pokazuje ślad na nodze. – Wreszcie udało mi się wyjechać, ale zgubiłam drogę do Czernej, błądziłam. – W głosie Grażyny słychać niedowierzanie. – Doskonale znam tę trasę, bo z tamtych okolic pochodziła moja babcia, ale tego dnia wszystko stawało w poprzek. – Grażyna kończy opowieść, podsuwając mi kolejne ciastko z kremem.

Nie odmawiam. Które to już tego dnia?

Ewa Sałużanka przyznaje, że jeszcze dzisiaj, osiem lat po nawróceniu, miewa gorsze chwile, dręczenia złego ducha, który wsącza w nią myśl, że życie jest bez sensu. Ale wie już, co wtedy robić. Chwyta psalmy i różaniec. I dzwoni do przyjaciół ze swojej wspólnoty modlitewnej „Metanoia”, prosząc o modlitwę.

Nadal uczestniczy też w mszach z modlitwami o uzdrowienie fizyczne i duchowe. Podczas jednej z takich mszy u albertynek w Krakowie, którą prowadził charyzmatyczny kapłan Jan Reczek, w czasie modlitwy wstawienniczej nad sobą usłyszała, co stało u początku tego, co się z nią działo przez wiele lat.

– Dowiedziałam się, że otworzyłam się na siły zła, gdy miałam około dwudziestu lat. Nie bardzo pamiętałam, co takiego się wtedy wydarzyło. Długo myślałam. Jedynym takim zdarzeniem, w co aż trudno mi uwierzyć, mogło być spotkanie z Cyganką – zaczyna niepewnie. – Zaczepiła mnie na

ulicy, w Katowicach. Zaproponowała, że mi powróży. Nie bardzo w to wtedy wierzyłam, ale otworzyłam rękę. Powiedziała coś o mojej przyszłości, do czego nie przywiązywałam specjalnej wagi. Na szyi miałam zawiązaną piękną chustkę, tak zwaną tybetkę. Chciała, abym ją jej dała. Tłumaczyłam, że nie mogę, bo to prezent od ojca. Ona zaczęła chustkę szarpać, ale udało mi się wyrwać. To wszystko. – Po chwili namysłu dodaje: – Pamiętam też z tego okresu jeszcze jedno wydarzenie. Koleżanka ze studiów popełniła samobójstwo. Pojechaliśmy z całym rokiem ze studiów na pogrzeb, gdzieś w okolice Katowic. Nie miała katolickiego pogrzebu. Zapamiętałam jej trumnę wiezioną na małym wózku. Zrobiło to na mnie straszne wrażenie. Poczułam pewien rodzaj przygnębienia, które potem towarzyszyło mi w depresji.

Ewa Sałużanka w Teatrze Sztuk pracuje nad scenariuszem plenerowego spektaklu. Tematem jest historia kobiety, która była mistrzynią w swoim zawodzie. Ale stała się nią naprawdę, gdy w jej życiu pojawił się Jezus.

– Dzisiaj wiem, że życie nie polega na osiągnięciach, lecz na naszej zgodzie na życie. A zgodę na życie można mieć tylko w Jezusie. On jest jedynym jego sensem – mówi o tym, czego szukała przez lata. – Gdy to zrozumiałam, zaczęłam odpuszczać sobie jako osoba, jako kobieta. Nie muszę być pierwsza, najlepsza, perfekcyjna. Ja chcę być prowadzona. Chcę zaufać Jezusowi.

Na dźwięk imienia Jezus Ewa uśmiecha się czule.

– Moją miłością jest Jezus. Nie mam żadnych wątpliwości – wyznaje z delikatnością, która towarzyszy miłości. – Przez lata celem mojego życia było wyjście z depresji. Dziś celem mojego życia jest Jezus. Widzę siebie, jak klęczę pod krzyżem i trzymam go mocno – odsłania to, co najgłębsze. – Jest takie powiedzenie: życie wieczne to nie jest życie po śmierci, tylko

taka jakość życia, dla której śmierć nie stanowi przeszkody. Bardzo bym chciała tak żyć.

Pisałam ten tekst, gdy nadszedł SMS: „Ewo, pozdrawiam bardzo serdecznie z rekolekcji w Rychwałdzie, tu Niebo naprawdę dotyka Ziemi, a Bóg objawia swoją Moc. Ewa Sałużanka”.

---

19 M. Faustyna Kowalska, *Dzienniczek. Miłosierdzie Boże w duszy mojej*, paragraf 1486.

„Jego dobroci nigdy nie zapominaj!”

Joanna z drżeniem ręki przebiega kursorem kolejne wersy tekstu na ekranie laptopa. Uprzedzała mnie przez telefon, że nie będzie łatwo. Bo opowieść, którą gdzieś usłyszałam, o Joannie i Pawle, małżeństwie, które przez dziewięć lat nie miało dziecka, by w końcu się go doczekać dzięki łasce Boga i wstawiennictwu świętej Faustyny, to tylko część ich historii. Długiej i bolesnej.

– To historia uzdrawiania ze zranień i zniewoleń – wyjaśnia Joanna.

Tekst, od sześciu lat nieczytany, odnalazła w komputerze na kilka dni przed moim przyjazdem. Wróciły emocje, ale już nie strach i wstyd, które wcześniej ją paraliżowały. Po raz pierwszy jednak pokazuje go obcej osobie. Lęka się reakcji.

– W ciągu tych sześciu lat tyle się wydarzyło... – zaczyna.

– Wyzdrowiałaś – krótko podsumowuje Paweł, mąż Joanny, który – jak za moment się przekonam – jest oszczędny w słowach.

Tekst zatytułowany „Ukrzyżowanie i Boże Miłosierdzie” nie jest długi, ledwie kilka kartek. Ale bardzo poruszający. Jest w nim alkohol, przemoc,

zdrady, dzieci pozamałżeńskie, sierociniec... Czytam bezgłośnie z suchym gardłem. Joanna milczy.

To historia dwóch pokoleń w jej rodzinie. Jedna z tych, które wypiera się ze świadomości, wymazuje gumką z rodzinnych albumów. Do czasu. Bo te historie zawsze wracają. W kolejnych pokoleniach, które muszą się z nimi zmierzyć.

– Napisałaś ten tekst w kwietniu 2007 roku?

– Cztery strony tekstu w ciągu godziny. Jakby ktoś mi go dyktował, wlewał treść w głowę, a ja tylko ją przenosiłam na ekran komputera. Pisałam mechanicznie, nie rozumiejąc wszystkiego. Dopiero później pytałam w rodzinie o niektóre wydarzenia.

– Zgadzały się?

Joanna milczy, poprawia okulary.

– Kilka lat wcześniej w czasie medytacji ujrzałam taki obraz: małe dzieci przybijane do krzyża przez swoich rodziców, biczowane jak Chrystus. Zaczęłam bardzo płakać. I prosić o dar przebaczenia oraz uzdrowienie ze zranień.

Do kuchni wpada pięcioipółletni Mateusz z mieczem i zwycięskim okrzykiem „Wygraaaaaaałeeem!”. Za nim drobnymi krokami podąża półtoraroczna Faustyna, ledwo niosąc w ręku plastikowy miecz. Mateusz ma jasne włosy i bystre spojrzenie. Jak mama. Faustynka o ciemnych oczach i włosach odziedziczyła urodę po tacie Pawle.

– To nasze skarby: wyczekane, wymodlone. – Joanna przytula Faustynkę, która śmiesznie składa usta do płaczu. – Pawle, proszę, weź z kuchni dzieci, bo nie porozmawiamy.

Takie rozmowy najlepiej prowadzi się w kuchni. Ta jest na drugim piętrze stuletniej kamienicy, w samym centrum Zabrza.

W kwietniu 2007 roku Paweł i Joanna, która wówczas pisała tekst „Ukrzyżowanie i Boże Miłosierdzie”, byli małżeństwem od prawie dziewięciu lat. Pobrali się w sierpniu 1998 roku. Joanna, zdolna studentka polonistyki, ekstrawertyczka, miała dwadzieścia dwa lata i mnóstwo energii. Paweł, o sześć lat starszy – spokojny, małomówny, pracował jako lakiernik w fabryce.

– Gdy się pobieraliśmy, żyliśmy daleko od Kościoła. Wychowano nas w wierze katolickiej, ale nie mieliśmy żywej relacji z Panem Bogiem. Nie respektowaliśmy nauczania Kościoła, mieliśmy na wszystko swoje poglądy, żyliśmy w grzechach – mówi Joanna między postawieniem na stole kubka z herbatą a położeniem łyżeczki. Odległość między „wtedy” a „dziś” to piętnaście lat.

Dwa miesiące po ślubie ojciec Joanny zginął w wypadku samochodowym. Jego śmierć prawdopodobnie przyspieszyła u młodych małżonków pragnienie dziecka. Po roku bezskutecznych starań zaczęli się leczyć. Szybko jeden z najlepszych ginekologów w regionie postawił Joannie diagnozę: zespół policystycznych jajników. Zalecił stymulację hormonalną owulacji, wielokrotnie powtarzaną. Małżeństwo stosowało się do wszystkich zaleceń lekarza, ale upragnionej ciąży nie było. Joanna przechodziła bolesne badania, w końcu laparoskopowe oczyszczanie jajników z cyst. Zabieg – z którym wiązali duże nadzieje – został przeprowadzony 18 maja 2005 roku, w pierwszą po śmierci Jana Pawła II rocznicę jego urodzin. Lekarka Joanny, znakomita specjalistka, powtarzała, że pół roku po zabiegu mają duże szanse począć dziecko.

Joanna i Paweł byli coraz bardziej zmęczeni leczeniem, zabiegami, współżyciem dostosowanym do wskazówek lekarzy. Do tego wydatki na prywatne leczenie mocno obciążały ich budżet. Uznali, że za te pieniądze mogliby dać lepsze życie dziecku z sierocińca. Może była w tym chęć

wypełnienia przyrzeczenia złożonego przez ojca Joanny, który po kilku latach spędzonych w domu dziecka przyrzekł, że gdy dorośnie, zaadoptuje dziecko? A może było to echo doświadczeń Pawła, który również kilka lat spędził w domu dziecka, oddany tam przez matkę schizofreniczkę? Joanna i Paweł zapisali się więc na dziewięciomiesięczny kurs dla rodziców w Katowickim Archidiecezjalnym Ośrodku Adopcyjnym. Chodzili na zajęcia i nadal starali się o dziecko. Minęło pół roku od laparoskopii, potem kolejne miesiące, a Joanna w ciążę nie zachodziła. W końcu, wiosną 2006 roku, lekarka rozwiała ich nadzieje: „To koniec. Nie będą państwo mieli dziecka. Zostaje tylko *in vitro*". I poleciła jakąś placówkę w Białymstoku.

– Odmówiliśmy. Wiedzieliśmy już, że nie pozwala na to nauka Kościoła, i choć wtedy nie byliśmy do takiego stanowiska przekonani, nie rozumieliśmy, dlaczego Kościół odrzuca tę metodę, to powiedzieliśmy „nie" na zasadzie posłuszeństwa – tłumaczy Joanna.

Niebawem dobiegł końca kurs w ośrodku adopcyjnym. Wszystkie procedury przeszli pomyślnie. Kolejne pary adoptowały dzieci, a oni... powiedzieli, że rezygnują. Sami przed sobą przyznali, że nie potrafią kochać miłością bezwarunkową cudzego dziecka.

– Uznaliśmy tę decyzję za naszą totalną porażkę. – Joanna przyznaje, że posądzali siebie o brak równowagi emocjonalnej.

Paweł, który uśpił Faustynę, a Mateusza podrzucił zawsze pomocnym sąsiadom z trzeciego piętra, wrócił właśnie do kuchni.

– Daliśmy spokój – dorzuca do słów żony. – Czuliśmy się bardzo zmęczeni. Jakby uszło z nas powietrze.

A jednak niezupełnie. W życiu Joanny i Pawła był to już okres nawracania się. Zaczął się bodaj w 2000 roku, od wyjazdu Joanny na rekolekcje do karmelitów w Czernej. Wyjazdu spontanicznego, z mnóstwem uprzedzeń i jeszcze większą dawką obaw. Potem były wyjazdy

do sanktuariów maryjnych w Pasierbcu i Czernej oraz piesze pielgrzymowanie na Jasną Górę. Wszędzie prosili o łaskę rodzicielstwa. O upragnione dziecko. Na zewnątrz nic się nie zmieniało. Łaski rodzicielstwa nie otrzymywali. A jednak nieustanne modlitwy szeptane sercem rezonowały w nich. Niepostrzeżenie dla siebie samych zbliżali się do Boga, do Kościoła, którego nauczanie przyjmowali już nie z nakazu, ale w pełnej wolności. Ważnym punktem na tej drodze był rok 2006, gdy przystąpili do wspólnoty Domowego Kościoła.

W marcu 2007 roku Joanna odebrała telefon. Dzwonił Marek C., członek świeckiego zakonu karmelitańskiego, którego poznała kilka miesięcy wcześniej, gdy w Zabrzu organizował koncert muzyczny do tekstów świętej Faustyny.

– Szukałem kogoś, kto napisze słowa do drugiej części oratorium o Bożym Miłosierdziu. – opowiada Marek C., gdy kilka tygodni później spotykamy się w jednej z licznych knajpek w centrum Zabrza. – Moja dobra znajoma a była polonistka Joanny zarekomendowała mi ją.

Po pewnym czasie powstała myśl, żeby wystawić spektakl w Łagiewnikach na siedemdziesiątą rocznicę śmierci siostry Faustyny, 5 października 2008 roku.

Ani Joanna, ani Marek C. nie pamiętają już, gdzie się umówili na spotkanie. Joanna twierdzi natomiast, że już w trakcie ich pierwszej rozmowy zapytał ją, czy wie, co to jest Boże Miłosierdzie. „No, kiedy słońce wschodzi tak samo nad dobrymi i nad złymi, każdego dnia” – Marek jednym zdaniem spuentował Biblię, encyklikę *Dives in misericordia* Jana Pawła II i *Dzienniczek* świętej Faustyny. Potem nakreślił, czego powinien dotyczyć dialog śpiewany pomiędzy dwiema kobietami: jedna ma życie pod kontrolą, wszystko w nim zaplanowane i zachodzi w ciążę, której nie chce.

Druga od lat bezskutecznie stara się o dziecko. Dodał jeszcze: „I żeby było również o tym dziecku”.

– Mnie ciarki przeszły po plecach. – Joanna pamięta tamto uczucie. – Powiedziałam: „Ty znasz naszą historię. Ktoś ci o nas powiedział, dlatego do mnie zadzwoniłeś?”.

– Nie miałem pojęcia, o co chodzi. Wiedziałem, że Joanna przeżywa jakieś kłopoty, ale nie miałem pojęcia, że bezskutecznie stara się o dziecko. Temat, który jej zasugerowałem, zaczerpnąłem z prawdziwej historii dwóch sióstr, którą ktoś mi opowiedział. Mieszkały w mojej dzielnicy, w Zabrzu-Biskupicach – mówi Marek C.

Joanna przyjęła zlecenie. Zaczęła pisać szkic rozmowy dwóch młodych kobiet – koleżanek ze szkoły, które spotkały się po latach w 2005 roku. Historię jednej dobrze znała. Nie musiała nawet szukać dla niej imienia. Druga – Karina – pracuje w renomowanej agencji reklamowej w stolicy, ma chłopaka i przekonanie, że na małżeństwo i dziecko ma jeszcze czas. Do momentu spotkania dziewczyn Joanna-autorka ukazała ich historie paralelnie, w kilku odsłonach. Zaczęła w momencie dobrze sobie znanym, w 1999 roku, gdy z mężem rozpoczęli starania o dziecko. Czytam szkic w laptopie Joanny, odszukany po latach. Partie Kariny brzmią nieco sztucznie. Może dlatego, że te Joanny są do bólu prawdziwe? Kobiety spotykają się w szpitalu ginekologicznym. Karina, która rozstała się z chłopakiem, jest w trzecim miesiącu ciąży. Joanna, która przeszła laparoskopowe oczyszczanie jajników, ma nadzieję, że zajdzie w upragnioną ciążę.

Joanna-autorka nie skończyła jeszcze szkicu, gdy zaczęła pisać nowy tekst. Nagle. Wiedziona wewnętrznym przymusem. Właściwie nakazem.

– To było tak, jakby ktoś mi rozkazał: „Napisz tytuł „Ukrzyżowanie i Boże Miłosierdzie”. Pisz”. „No dobra – myślałam. – I co teraz?” „Pisz tekst”. Zaczęłam. I skończyłam w godzinę. Jakby ktoś wlał mi go w głowę, a ja wpisałam go tylko do komputera

Tekst podzieliła na dwie części. Dłuższa jest pierwsza: *Ukrzyżowanie*. Część o Bożym Miłosierdziu jest krótka. Ledwie kilkuzdaniowa: „Boże Miłosierdzie w parafii Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Biskupicach. Bóg przychodzący do poranionej rzeczywistości ludzkiego serca. Światłość. Kaplica z relikwiami świętej Faustyny Kowalskiej i obraz Jezu, Ufam Tobie”. Koniec. Ta część jakby była niedoświadczona, nieprzeżyta. Oczekująca na dopełnienie.

Kiedy Joanna skończyła tekst, historia zaczęła nabierać gwałtownego przyspieszenia. To było tuż po tym, jak Marek C. zaprosił ją na pielgrzymkę z parafii Wniebowzięcia NMP w Zabrzu-Biskupicach do sanktuarium w Łagiewnikach. Mieli przywieźć relikwie świętej Faustyny do kościoła, w którym Joanna była chrzczona i przystąpiła do Pierwszej Komunii Świętej. Teraz powstawała tam kaplica Bożego Miłosierdzia. W jej centralnym punkcie miał zawisnąć odrestaurowany obraz Jezusa Miłosiernego namalowany przez Adolfa Hyłę. Tego samego, który jest autorem wizerunku Jezusa Miłosiernego w sanktuarium w Łagiewnikach. Gdy kult obrazu z Łagiewnik zaczął się rozwijać, Hyła na jego wzór namalował ponad dwieście pięćdziesiąt podobnych. Jeden z nich dla zabrzańskiej parafii. Przez lata obraz wisiał w mało widocznym miejscu, pod chórem. Markowi zależało, aby kult Bożego Miłosierdzia ożył właśnie w tej parafii, bo – jak mówił Joannie – na jej terenie jest tyle duchowej biedy, patologii. Joanna wiedziała. Doświadczyła tego w domu rodzinnym. Niechętnie o tym mówi ze względu na matkę, siostrę i brata. Oni nie są jeszcze gotowi, by zmierzyć się z przeszłością.

Pielgrzymka wyruszyła w sobotę 14 kwietnia 2007 roku o 7.00 spod kościoła w Zabrzu-Biskupicach.

– W nocy doświadczyłam obecności szatana – Joanna mówi to z pełnym przekonaniem, bez niedomówień. – Zobaczyłam nad sobą jakąś postać, która coś do mnie mówiła, ale niczego nie rozumiałam. Ogarnęła mnie potworna ciemność i lęk. Myślałam, że się uduszę. Czułam się jak sparaliżowana. Nie mogłam się ruszyć. Mąż spał obok, a ja nie byłam w stanie poprosić go o pomoc. Nic. Rano nadal byłam jak sparaliżowana. Paweł mnie ubrał, włożył mi rajstopy, buty i odprowadził do autokaru. Sama nie mogłabym iść – opowiada. – Pamiętam, że dzień był piękny, słoneczny, za szybą autokaru widziałam rodziny na rowerach. I nagle jakby ktoś wyłączył mi światło. Na jasny pejzaż za oknem spadła czarna zasłona. Widziałam ciemność i czułam rozdzierający psychiczny ból. Myślałam: „To koniec, nic nie ma sensu, życie się skończyło”. Ból wewnętrzny był tak potworny, że chciałam wyć. Wiedziałam, że muszę się opanować, bo w autobusie siedzieli znajomi z dzieciństwa, sąsiedzi rodziców, koleżanki ze szkoły. Ale i tak przez całą drogę szlochałam. Płakałam w Łagiewnikach i w drodze powrotnej. Twarz miałam spuchniętą od płaczu. Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje, co to znaczy, lecz cokolwiek to było, prosiłam, by Bóg to ode mnie zabrał.

Marek C.: – Mówiła, że coś się z nią dzieje, jednak nie wie co, a ja w to nie wnikałem. Byłem pochłonięty organizacją pielgrzymki.

Wieczorem wrócili do Zabrza z relikwiami świętej Faustyny. Wśród modlitw zanoszonych odtąd za pośrednictwem Świętej w kaplicy Bożego Miłosierdzia w każdy piątek o godzinie 15.00 była również prośba o dar rodzicielstwa dla Joanny i Pawła. Ale Joanna o tym już nie myślała. Chciała wyjść z ciemności i nie umiała.

– Ciemność mnie nie opuszczała. Z dnia na dzień przestałam jeść, spać. W ciągu jednego tygodnia schudłam siedem kilogramów. Zaczęłam tracić pamięć. Poszłam do Biedronki, gdzie chodziłam setki razy, i nie umiałam wrócić do domu. Straciłam orientację w przestrzeni – opisuje swoje przeżycia jak z sennego koszmaru.

Ksiądz Maciej, któremu opowiedziała o swoim stanie, zasugerował spowiedź generalną z całego życia. Gdy ją odbyła, odmówił nad nią modlitwę o przecięcie grzechów pokoleniowych, zniewoleń i zranień.

Zbliżał się długi weekend majowy. Paweł namówił żonę na wyjazd w Beskid Sądecki, by pochodzić po górach, co było ich pasją. Joanna nadal płakała zamknięta w swoim świecie. Paweł był załamany.

– W jakimś przebłysku doszła do mnie myśl: „I co, będziesz tak cały czas płakać? Chcesz iść ku życiu czy ku śmierci? Co wybierasz?”. Chciałam iść ku życiu. Resztką woli przełamałam swoje zamknięcie, swój egoizm – opowiada Joanna. – Tego wieczoru począł się Mateusz.

Nawet tego nie przeczuwali. W drodze powrotnej w samochodzie nucili pieśń *Błogosław, duszo moja, Pana*, którą w tamten weekend po raz pierwszy usłyszeli w kościele. Wstąpili jeszcze do Krakowa, do cioci Pawła, siostry służebniczki, która na 21 maja zamówiła mszę o dar macierzyństwa dla Joanny. Ale dla niej już nie to było najważniejsze. Chciała wyjść z ciemności.

Dwa tygodnie później poszła do psychiatry. Lekarka nie postawiła diagnozy. Przepisała natomiast silne leki psychotropowe. Tak silne, opowiada Joanna, że przez dwa tygodnie leżała w domu bez kontaktu ze światem. 24 maja, zdziwiona brakiem miesiączki, zrobiła test ciążowy. Zobaczyła dwie kreski!

Joanna: – Byłam w ciąży! To był cud. Z radości skakałam pod sufit, biegałam z wynikiem testu po mieście, pokazywałam rodzinie, znajomym.

Wszyscy mówili: to cud, cud! Po dziewięciu latach czekania.

Paweł: – Cieszyłem się. Jednocześnie było to dla mnie naturalne. Modliliśmy się, prosiliśmy o dziecko. I jest dziecko.

Joanna natychmiast odstawiła leki. Dwa dni później dostała krwotoku. Wylądowała w szpitalu z podejrzeniem martwej ciąży. Podczas badania USG nie było słychać bicia serca dziecka. Joanna miała zostać tydzień na obserwacji. Jeśli po tygodniu nic by się nie zmieniło, ciąża miała zostać usunięta. Joanna radziła się wielu osób, także Marka C., który poradził: „Przecież możesz wypisać się ze szpitala. Poczekać”. Kiedy w szpitalu pojawił się Paweł, nie mieli cienia wątpliwości. Wychodzą stąd. Natychmiast.

– To my byliśmy rodzicami dziecka i to Bóg, a nie lekarze, miał zadecydować o jego życiu czy śmierci – w głosie Pawła słychać zdecydowanie. – Nasze dziecko ofiarowaliśmy Bogu: żywe lub martwe.

Dwa tygodnie, które miały nadejść, były najtrudniejsze w ich życiu. Czekali na rozwój płodu albo jego samoistne poronienie. Przez ten czas w kościele w Biskupicach przed relikwiami świętej Faustyny zanoszono modlitwy w intencji życia ich dziecka. 12 czerwca w Bielsku-Białej zrobili USG. Usłyszeli bicie serca. Dziecko żyło!

– Przez całą powrotną drogę płakaliśmy i modliliśmy się – wspomina Joanna w chwili, gdy do kuchni wpada Mateusz z garażem, który sam zbudował z klocków.

– To ta „martwa ciąża” – szepcze jego mama.

Z dumą mówi o talentach syna, który gra na skrzypcach, a psycholog potwierdził na piśmie jego ponadprzeciętne zdolności werbalne i dużą sprawność motoryczną. Mateusz najbardziej lubi historię Polski.

– Króla Jagiełłę, bo on walczył... bo zwyciężył Krzyżaków... O, takimi mieczami. – Wywija plastikowym mieczem tak sprawnie, jak powinien to

robić ktoś, kto deklaruje, że zostanie zawodowym żołnierzem.

Joanna przynosi „album z brzucha” Mateusza. Księgę życia. Jest w niej test ciążowy, kolejne zdjęcia USG. Wśród nich to najważniejsze, z 12 czerwca 2007 roku, na którym widać osiemnastomilimetrowego Mateusza. Dalej pierwszy list Joanny do dziecka. 25 czerwca 2007 roku: „Kochane drogie moje nasze Dzieciątko. Masz dopiero dwa miesiące, postanowiłam nawiązać z Tobą głęboki dialog. Chcemy, abyś wiedziało, jak bardzo Twoje przyjście na świat było oczekiwane, chciane, wymodlone, jak wielką łaską Twojej obecności obdarzył nas Pan Bóg. Rośnij w mądrości i sile. Czekamy wraz z tatą na nasze pierwsze spotkanie w cztery oczy”.

I właściwie ta historia mogłaby się tak zakończyć: nie mogli mieć dziecka, a je poczęli. Po dziewięciu latach. Stał się cud. Urodził się Mateusz. Jego imię znaczy „dar Jahwe”. Ale to jest tylko część historii. Z Mateuszem – darem życia od Boga – przyszło o wiele więcej. Nawrócenie. I uzdrowienie. Bo wszystko jest po coś. Teraz tak to widzą.

– Gdyby dziecko było od razu po ślubie, pewnie nie nawrócilibyśmy się. Pewnie żylibyśmy jak poprzednio, bez żywej relacji z Bogiem – przyznaje Joanna.

Do jej nawiązania i do duchowego uzdrowienia potrzeba było więcej niż dziewięciu lat, długich jedynie w ziemskiej optyce.

– Mateusz jest pierwszym dzieckiem w rodzinie, które się urodziło po uwolnieniu modlitewnym z więzów międzypokoleniowych – mówi Joanna spokojnie. – Już w czasie ciąży miałam świadomość walki duchowej o nasze dziecko i dlatego bardzo się o nie bałam.

Wiele razy rozmawiali z Pawłem o tym, co stało się w ich życiu między 14 kwietnia 2007 roku a 5 października 2008 roku. Ale zaczęli rozmawiać dopiero rok po zakończeniu tych wydarzeń. Wcześniej nie mieli na to dość siły i odwagi.

Joanna znalazła szesnaście przyczyn, które mogły spowodować jej półtoraroczną głęboką depresję – to między innymi terapia hormonalna, późna ciąża, lęk o dziecko, a następnie depresja okołoporodowa oraz walka duchowa. Akcent stawia na jedną z nich. Ostatnią.

– Ta ciąża to była walka demonów o mnie i o dziecko – tak widzi to Joanna.

Paweł potakuje milcząco.

Inny klucz do tej historii – ich zdaniem – nie pasuje. Innym nie da się jej rozwikłać. Ta historia rozgrywała się jednocześnie w dwóch planach. W dwóch wymiarach. Fizycznym i duchowym. Materialnym i niematerialnym. Z Joanną rozpostartą pomiędzy nimi jako epicentrum walki dobra i zła. Życia i śmierci. Życia wiecznego i śmierci wiecznej.

W wymiarze fizycznym ciąża się rozwijała. Serce Mateusza biło. Ale ciemność nie opuszczała Joanny. Przychodziły kolejne miesiące i było coraz gorzej. Coraz ciemniej w duszy. Był ból psychiczny, rozpacz i lęk. A przecież za tym dzieckiem tęskniła dziewięć lat. Pragnęła go jak niczego w świecie.

– W ciąży traciłam pamięć, umiejętność czytania, przestałam rozpoznawać litery. Traciłam poczucie własnego ciała. Potrafiłam siedzieć po pięć godzin w wannie, w zimnej wodzie, patrząc w jeden punkt na ścianie. Paweł, mama, rodzina, znajomi cieszyli się z powodu ciąży, a ja myślałam o tym, kiedy umrę – opowiada Joanna.

Mąż zabierał ją nad morze, by dziecko w brzuchu mamy oddychało lepszym powietrzem niż śląskie. Wygrywał mu wieczorami na gitarze i harmonijce najpiękniejsze melodie, by czuło miłość jego serca. Przygotowywał mamie kąpiele w kwiatach, by synek się relaksował.

A Joanna czuła rozdwojenie myśli i jaźni. Jedna Joanna, ta na zewnątrz, cieszyła się z cudu życia, chciała żyć dla męża i synka, a druga, wewnątrz –

wchłaniana przez ciemność, czekała na śmierć jak na uwolnienie. „Bóg, w którego przez całe życie wierzyłam, umarł, a życie stało się piekłem. Nie miałam na czym się oprzeć” – pisała później o tym, co wówczas czuła.

– Czułam się winna, że oszukuję męża. Chciałam ukryć swój stan przed Pawłem, by go nie martwić, a jednocześnie szukałam wśród znajomych kogoś, kto pomoże mu wychować Mateuszka, gdy umrę. Nie, nie chciałam popełnić samobójstwa, bo zawsze bałam się piekła, ale mówiłam, że zniknę, położę się gdzieś w trawie i zniknę – wspomina.

Głaskała się więc po brzuchu i z płaczem, nie widząc przyszłości, mówiła: „Co z nami będzie, syneczku?”. W tym samym czasie pisała listy afirmujące do syna, bo wiedziała, że jest to ważne dla rozwoju dziecka.

List w „Albumie z brzucha” z 1 grudnia 2007 roku: „Synku umiłowany, jutro zaczynasz 33 tydzień życia i wspaniale poruszasz się w moim brzuchu. Od paru tygodni naszym domowym ulubionym zajęciem stało się granie na akordeonie, słuchanie płyt oraz przytulanie się we trójkę na łóżku. Kocham Cię, Mateuszku”.

Niedawno, gdy Joanna mogła już spojrzeć na siebie i tamten czas z dystansu, znów chwyciła za pióro, by opisać od wewnątrz, co się dzieje w człowieku będącym w głębokiej depresji. „Jeśli istnieje rozpacz czarniejsza od piekła, bardziej bolesna niż utrata wszystkiego, co kochasz, straszniejsza niż szaleńczy śmiech demonów, to jest nią właśnie depresja wraz ze swymi nieodłącznymi towarzyszami: lękiem, depersonalizacją i derealizacją”. Ból psychiczny, rozpacz i lęki były z nią przez całą ciążę. „Prawie nie spałam przez cztery ostatnie miesiące ciąży – tzn. zasypiałam na piętnaście minut lub godzinę, by obudzić się z potwornymi lękami i piżamą tak mokrą, że można ją było wykręcać. Świat wokół mnie stał się daleki, dziwny, nierealny. Bałam się, że zapomnę mówić po polsku, że nie rozpoznam twarzy bliskich osób, że wszyscy w końcu zobaczą, że

zwariowałam. Ukrywałam moje wariactwo i nazywałam je »grą w jeszcze jeden przeżyty, przewegetowany dzień« – aż inni zobaczą, co się dzieje i stracę pracę, dom, męża i dziecko”. – Ten tekst Joanna zatytułowała „Nieboska tragedia. O dramatycznej podróży w głąb ludzkiej duszy”.

W takim stanie duszy Joanna urodziła Mateusza. 17 stycznia 2008 roku o godz. 13.35 Paweł rozesłał w świat SMS: „Stał się cud, narodził się Mateusz. Wszyscy pięknie zdrowi. Waży 3,5 kg. Dziękujemy za modlitwę. Joanna i Paweł”.

Ale Joanna nie była zdrowa. Nie tylko z powodu silnego krwotoku, który na moment poważnie zagroził jej życiu. „Po powrocie do domu wegetowałam z dnia na dzień, z godziny na godzinę (...). Jedyne, o czym pamiętałam, to by trzymać synka przy piersi – miałam wtedy pewność, że nie dzieje mu się krzywda emocjonalna z powodu mojej choroby oraz że nie umrze z głodu. (...) Nie widziałam następnego dnia, a co dopiero przyszłości. Gubiłam godziny i dni. Nie pamiętałam, o której karmiłam synka, kiedy i z kim, o czym rozmawiałam”.

Matka Joanny, widząc córkę w rozpaczy powtarzającą w kółko „Pomóżcie mi”, zawiozła ją do psychiatry. Najprostszą diagnozą byłaby depresja poporodowa. Ale lekarka na podstawie opisanych symptomów nie potrafiła rozpoznać choroby – czy to depresja, czy schizofrenia. Zaproponowała Joannie tydzień obserwacji na oddziale otwartym w szpitalu psychiatrycznym w Lublińcu, kilkadziesiąt kilometrów od domu. I od trzyipółtygodniowego Mateusza.

– Zaufałam jej – mówi Joanna z akcentem na pierwsze słowo. – Ale zamiast na oddział otwarty, gdzie akurat zabrakło miejsca, trafiłam na zamknięty – z mordercami po wyrokach, zdegenerowanymi alkoholikami, bezdomnymi zbieranymi z ulicy. W moim sześcioosobowym pokoju leżała kobieta, która od pół roku nie mówiła nic, tylko patrzyła tępo w sufit. Pani

doktor na oddział wpadała na chwilę, nie rozmawiała ze mną, nie stawiała diagnozy, tylko włączała nowe leki. A ja czułam, że tracę pamięć i tożsamość. Próbowałam opisać moje objawy, ale zamazywały mi się litery, ktoś do mnie dzwonił, a ja mówiłam, że Joanny nie ma, już umarła. Gdy w kaplicy, gdzie mogłam pójść na niedzielną mszę pod nadzorem pielęgniarki, rozpłakałam się, ta chwyciła mnie za rękę i powiedziała: „Jeszcze raz taki numer, a w ogóle nie wyjdziesz z oddziału”. Byłam tak słaba i ogłupiona lekami, że nie potrafiłam się obronić – opowiada.

I wtedy, jak zawsze w największej potrzebie, zadzwonił Marek C. „Przyjmij tę sytuację z pokorą, spokojnie”. Zapamiętała jego słowa.

– Wiedziałem, że choroba Joanny jest na pograniczu psychiczno-duchowym. Dotyczyła nie tylko problemów psychicznych, ale też tego, co przeżywała głębiej, co było znacznie ważniejsze. A z tym nie każdy lekarz sobie radzi – mówi Marek C. – Joanna opowiadała mi o swoich lękach. Zastanawiała się, czy jej stan wynika z tego, że odgrywają się na niej demony, bo się im wymknęła i stała się narzędziem cudu: urodziła chciane dziecko. Ale trudno jest jednoznacznie powiedzieć, że gdzieś działa albo nie działa szatan. To jest zbyt głęboka materia, by stawiać proste diagnozy. Dlatego w czasie spotkania starałem się bardziej wpłynąć na spokój ducha Joanny. Mówiłem, że skoro oddaje się pod opiekę Bożą, korzysta z sakramentów, to nie może zostać szczególnie mocno zraniona. Mówiłem, że trzeba działać dwutorowo: korzystać z opieki lekarskiej i mieć opiekę duchową. To chyba wtedy poradziłem jej, aby udała się do diecezjalnego egzorcysty.

Po rozmowie z Markiem, w samym środku ciemności Joanna uchwyciła się jasnej myśli, że musi trwać przy nadziei. Zaczęła głośno odmawiać Koronkę do Miłosierdzia Bożego. Do jej sześcioosobowego pokoju schodzili się pacjenci z całego oddziału – wewnętrznie pokurczeni,

ukrzyżowani cierpieniem, wyrwani na moment z otchłani swojej psychiki. Siadali po kilkoro na łóżkach, na podłodze, trzymali się ścian. Co chwilę ktoś się mylił, zapominał słów i zaczynali od nowa: „Dla Jego bolesnej męki...”.

– Musiało to wyglądać dziwacznie, jak w więzieniu. – Joanna świadomie sięga po mocne porównania.

W pamięci ma jeszcze obraz „dziadka Mieczysława”, mężczyzny z sąsiedniej sali, który przychodził i prosił: „Niech się pani za mnie pomodli tą modlitwą” – nie pamiętał jej słów – „żeby tylko myśli samobójcze ode mnie odeszły”.

Po dwóch tygodniach przyjechał Paweł. Jak kiedyś w szpitalu ginekologicznym, tak teraz natychmiast zdecydował: zabiera żonę. Na własną odpowiedzialność.

– Widziałem, że ten pobyt niczego nie zmienił. Żona była w jeszcze w gorszym stanie, słabo kontaktowała.

Lekarka w wypisie ze szpitala napisała o „chwiejnej emocjonalnie” osobowości Joanny. Diagnozy jednak wciąż nie postawiła.

Joanna wróciła do domu i dalej żyła w swoim nierealnym świecie. Lekarka, u której nadal się leczyła, bez diagnozy zmieniała leki na coraz mocniejsze.

„Budziłam się rano z moim synkiem i odczuwałam potworny lęk, żałowałam, że się obudziłam, bo wiedziałam, że przede mną kolejny dzień walki – brałam głęboki wdech, robiłam znak krzyża i wstawałam, nucąc synkowi wesołe piosenki, a wszystko po to, aby nie odczuł moich lęków. Tak trwałam kilka godzin, a gdy synek zasypiał koło południa, kładłam się na łóżku i płakałam pod kocem z psychicznego bólu i lęku. Gdy słyszałam, że Mateuszek budzi się w łóżeczku, ocierałam łzy i wychodziłam spod koca

z piosenką na ustach”. – Joanna czyta fragmenty swojego tekstu, potakując głową.

– Wymyślałem różne zajęcia dla Joanny na każdy dzień, ale bezskutecznie. Bardzo trudno jest pomóc człowiekowi chorującemu na depresję. Właściwie to niemożliwe. Podajesz mu rękę, ale on nie daje rady się jej chwycić, bo wpadł do głębokiej studni. Jest nieobecny wśród swoich myśli – mówi Paweł, który w tamtym czasie pracę łączył z opieką nad żoną i synkiem. Firma poszła mu na rękę – mógł pracować w domu.

Joanna trzymała się nadziei. „Modliłam się codziennie, choć Bóg wydawał mi się bardzo daleki. Modliłam się wolą, bo moje uczucia i rozum przestały być wiarygodne. (...) Chodziłam codziennie do kościoła i płakałam przed Najświętszym Sakramentem – płakałam, bo nie mogłam się modlić – myśli były obłędne i przepełnione lękiem, a w emocjach był potworny ból i ani chwili ulgi w cierpieniu. Znajomi mówili mi, że w wierze nie są ważne uczucia i myśli, tylko wolna wola – trwałam więc dzielnie na stanowisku”. Paweł codziennie wstawał o 5.00 i modlił się brewiarzem w intencji uzdrowienia żony.

– W połowie kwietnia lekarka postanowiła: zrobimy terapię szokową. Potrójna dawka leków przez tydzień. To będzie szok dla mózgu. Zgodziłam się – wspomina Joanna.

W poniedziałek rano, 21 kwietnia 2008 roku Paweł musiał pojechać do firmy. Joanna miała umówioną wizytę u pediatry. Wyszła z mieszkania. Na klatce schodowej dostała ataku padaczki polekowej. Straciła przytomność. Wózek z Mateuszem zjechał czternaście stopni w dół, zatrzymał się na półpiętrze. Uderzył o ścianę. Dziecko wypadło na kamienną posadzkę.

Pogotowie zaalarmowali sąsiedzi, których syn, zapomniawszy legitymacji, zawrócił z drogi do szkoły.

– Szybciej nie dało się jechać. Nie wiedziałem, co się stało. Ci ze szpitala powiedzieli tylko: „Żona leży na piątym piętrze, dziecko na czwartym” – wspomina Paweł. – Przyzywałem Pana Boga i krzyczałem: „Dlaczego?!”.

O tym, co zobaczył, mówi wciąż z niedowierzaniem:

– Mateusz z obandażowaną głową wył w łóżeczku wystraszony, a piętro niżej siedziała żona, która zupełnie nie kontaktowała.

Joannie niczym narkomanom albo niedoszłym samobójcom wypłukano z organizmu zaordynowane leki. Badanie neurologicznie wykazało zmiany w mózgu i podejrzenie tętniaka. Diagnoza Mateusza była porażająca: złamanie lewej kości ciemieniowej z przemieszczeniem, wstrząśnienie mózgu, wodniaki w głowie. Znajoma pani psycholog przygotowywała Pawła na przyjęcie jeszcze jednego cierpienia: takie urazy pozostawiają ślad w postaci opóźnienia w rozwoju.

W ciągu trzech miesięcy życie Joanny było zagrożone po raz drugi, życie Mateusza także drugi raz od poczęcia..

„Asiu, ty się niczego nie lękaj”. – Joanna zapamiętała słowa Marka C., który zjawił się jak zawsze w największej potrzebie. Powiedział jej, że za nią i syna modlą się siostry w Łagiewnikach, wspólnota Kościoła Domowego i wspólnota Mamre.

Lekarka – wciąż ta sama – zaleciła Joannie odstawić wszystkie leki. „Pani już teraz da sobie radę bez leków. Pani już sobie świetnie poradzi” – usłyszała zalecenie.

– Miała opinię fachowca – tłumaczą oboje, gdy pytam, dlaczego znów jej zaufali.

Joanna dodaje:

– Bardzo chciałam wierzyć, że wszystko jest już w porządku. Nadal nie byłam świadoma, że choruję na depresję, która się pogłębia. Po

gwałtownym odstawieniu leków, które w istocie były na schizofrenię, przez dwa tygodnie wymiotowałam. Przez cały maj czułam się bardzo dziwnie, ale wierzyłam, że wyzdrowieję.

Oboje zaczęli jeździć na msze święte z modlitwą o uzdrowienie fizyczne i duchowe, organizowane w Częstochowie przez wspólnotę Przymierza Rodzin Mamre, które odprawia charyzmatyczny egzorcysta ksiądz Włodzimierz Cyran. Od tego czasu wypadki zaczęły nabierać przyspieszenia. W Częstochowie od zaprzyjaźnionego małżeństwa dowiedzieli się o wspólnocie Sióstr Służebnic Bożego Miłosierdzia w Rybnie koło Warszawy, gdzie dokonuje się wiele uzdrowień z depresji i alkoholizmu. Pojechali tam 26 sierpnia, w uroczystość Matki Bożej Częstochowskiej. Siostrze, która przyjęła Joannę, wystarczyło kilka pytań, by rozeznać stan ducha.

– „Brakuje pani wiary w życie? I w Boga? – Tak. – Boga nie ma? – Nie ma. – Szatan jest? – Jest”. – Joanna z uśmiechem przytacza tamtą rozmowę. – Dwie godziny trwało rozeznawanie „furtek”, którymi dałam dostęp złemu duchowi do swej duszy. Naliczyliśmy ich pięćdziesiąt. Z wypisanymi na kartce „furtkami” poszłam do spowiedzi. Po niej kapłan modlił się nade mną o przecięcie więzów pokoleń. Gdy na koniec zapytał, jak się czuję, odpowiedziałam szczerze, że to nic nie da i Boga nie ma. Był zdziwiony. Odparł, że jakoś się o mnie nie martwi, jest spokojny i że będę uzdrowiona.

1 września Joanna, z zawodu nauczycielka, wróciła do pracy. Nie dała rady. Uciekła. 17 września, pamięta ten dzień, poszła do innego psychiatry. Lekarka, kolejna z polecenia, po pięciu minutach postawiła diagnozę: zaburzenia depresyjno-lękowe.

– Może dopiero wtedy, po tylu modlitwach, objawy stały się czytelne? – zastanawiają się Joanna z Pawłem.

Psychiatra zapisała leki, mówiąc, że po dwóch tygodniach Joanna powinna odczuć poprawę. Lepiej poczuła się już po czterech dniach.

– W ciągu dwóch tygodni wróciłam do życia – mówi równie zaskoczona jak wtedy.

„Gdyby ktoś przed laty powiedział mi – dziewczynie pełnej życia i entuzjazmu, że wyruszę w krainę niebytu, w miejsce zapomniane przez Boga i ludzi, myślałabym, że zwariował lub chce mnie rozbawić. Niestety dziś wiem, że tak odległe piekielne czeluści istnieją i można do nich trafić szczególnie wtedy, gdy kocha się zbyt mocno lub gdy ci, którzy powinni byli nas kochać miłością bezwarunkową, zawiedli...”

Ciemność jak nagle przyszła, tak definitywnie odeszła. Przyszła w nocy z 13 na 14 kwietnia, kilka godzin przed pielgrzymką po relikwie świętej Faustyny do Łagiewnik. Odeszła po półtorarocznej walce, przed 5 października 2008 roku.

Tego dnia mijała siedemdziesiąta rocznica śmierci świętej siostry Faustyny. Planowany na tę okazję przez Marka C. spektakl z dialogiem dwóch kobiet nie doszedł do skutku. Gdyby się odbył, byłby już nieaktualny. Życie zmieniło zakończenie tej historii, którym była scena w sanktuarium w Łagiewnikach, gdzie Joanna, wciąż bezdzietna, zostaje mamą chrzestną córki Kariny. Joanna o szkicu już nie pamiętała, ale w maju 2008 roku, gdy wciąż była w głębokich ciemnościach, po wypadku Mateusza i gdy dowiedziała się, że modlą się za nią siostry w Łagiewnikach, pomyślała, że musi dać świadectwo. Musi napisać do Sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Łagiewnikach o cudzie narodzenia syna. Przyznaje, że była nadal w tak złym stanie, obsesyjnie myślała o śmierci, że bardziej czyniła to z obowiązku niż z potrzeby serca. Ostatnie zdanie listu do sióstr brzmiało: „10 lutego 2008 roku w biskupickiej kaplicy

odbył się chrzest naszego synka – Mateusza, którego powierzyliśmy Bożemu Miłosierdziu”.

Na początku października 2008 roku w kamienicy w centrum Zabrza zjawił się Marek C. Przywiózł najnowszy numer kwartalnika „Orędzie Miłosierdzia”, który wydają łagiewnickie siostry. Joanna przynosi czasopismo. Na okładce informacja o siedemdziesiątej rocznicy śmierci świętej Faustyny, a wewnątrz wydrukowany jej list.

– To nie mógł być przypadek – mówią oboje z Pawłem.

Marek C.: – W historii Joanny widzę wyraźnie Boże prowadzenie przy współpracy siostry Faustyny. Joanna została wyciągnięta z głębokiej depresji i z obrzeży głębszej choroby psychicznej. Gdyby nie było naszego spotkania w marcu 2007 roku i modlitwy za wstawiennictwem siostry Faustyny, gdyby nie było ciąży albo gdyby Mateusz umarł po wypadku, Joanna wpadłaby w jeszcze większą depresję, a wtedy wyciągnięcie jej z niej mogłoby być znacznie trudniejsze. Spirala złych wydarzeń mogła ją ściągnąć mocno w dół. Ale nastąpiła namacalna ingerencja Boga przez siostrę Faustynę, która wiedziała, co się dzieje, bo Joanna została polecona jej w modlitwach. Bóg wszedł w historię Joanny przez siostrę Faustynę i wyprowadził ją z zagrożeń bez większych skutków ubocznych.

Paweł wnosi na rękach Faustynę. Urodziła się cztery lata po Mateuszu, w lutym 2012 roku. Wyspana po popołudniowej drzemce i głodna, tuli się do piersi mamy. Dla Mateusza to sygnał, że można zakończyć samodzielną zabawę w sąsiednim pokoju i przyłączyć się do rozmowy. W ręku ściska pistolet, ale na prośbę mamy przynosi zaraz skrzypce. I żółty niczym złoto medal ze szkoły muzycznej. Słucham więc *Kowboja*, *Kurek*, a na koniec brawurowo wykonanej *Rudej wiewiórki*. Za chwilę skrzypce przynosi Paweł, samouk, i grają już w duecie. Potem mama wyciąga skądś gitarę i jest trio. Faustyna według sobie znanego rytmu uderza w mały bębenek.

– *Błogosław, duszo moja, Pana* – zarządza Paweł i podaje ton, teraz na harmonii.

Błogosław, duszo moja, Pana.
Wszystko, co we mnie, Jego Najświętsze imię!
Błogosław, duszo moja, Pana,
Jego dobroci nigdy nie zapominaj!

Tę pieśń Joanna i Paweł śpiewali po raz pierwszy, gdy w 2007 roku wracali do domu po długim majowym weekendzie, nie wiedząc jeszcze, że są już rodzicami Mateusza.

– Jeszcze raz. Wszyscy – teraz podaje ton mama. – Jak dawno tego nie graliśmy – dziwi się.

Błogosław, duszo moja, Pana.
Wszystko, co we mnie, Jego Najświętsze imię!
Błogosław, duszo moja, Pana,
Jego dobroci nigdy nie zapominaj!

Joanna: – Nasza historia to walka o moje nawrócenie, walka ze zniewoleniami i uzdrawianie więzi międzypokoleniowych.

Paweł: – Walka o nasze nawrócenie i nasze uzdrowienie. Długo czułem, że jestem z tym wszystkim sam. Myślałem: „A co będzie, jak Asia zeświruje i tak będzie już do końca życia?”. Przez to cierpienie otwierałem się na Boga. To w tym cierpieniu rodziła się ufność: „Jezu, ufam Tobie”. Uwierzyłem naprawdę słowom Jezusa.

Ta historia – twierdzą oboje – się nie zakończyła.

Joanna: – Walka wciąż się toczy. Ma dalszy ciąg w mojej rodzinie. Jesteśmy na etapie przerywania zniewoleń, i to jest największy cud.

Paweł: – Moje rany też zostały uzdrowione. Przebaczyłem mamie. Raz w miesiącu jedziemy sto kilometrów do ośrodka, gdzie mieszka. Czasem tylko myślę: „Dlaczego ona mnie nie odwiedzała, gdy byłem w sierocińcu?”.

Joanna: – Doświadczenie szpitala psychiatrycznego sprawiło, że nic nie jest już dla nas problemem. Zostaliśmy uzdrowieni z wszelkich lęków egzystencjalnych. Coraz mniej potrzebujemy. Kiedyś chcieliśmy mieć domek na wsi, ale chodzimy z dziećmi do ogrodu botanicznego, gdzie się świetnie bawimy.

Paweł: – Nie boimy się zmiany pracy. Jest ta – dobrze. Będzie inna, też będzie dobrze. Nie boimy się, że zabraknie nam pieniędzy, chociaż żyjemy na krawędzi wydolności finansowej.

Joanna: – Mamy poczucie Bożej obfitości, opieki. Wszystko dostajemy w darze.

– Jesteśmy szczęśliwi. I jesteśmy otwarci na życie. Marzymy o chociaż jeszcze jednym dziecku – mówią zgodnie.

Po powrocie do domu otwieram psałterz na Psalmie 103:

Błogosław, duszo moja, Pana,
i całe moje wnętrze – święte imię Jego!
Błogosław, duszo moja, Pana,
i nie zapominaj o wszystkich Jego dobrodziejstwach!
On odpuszcza wszystkie twoje winy,
On leczy wszystkie twe niemoce,

On życie twoje wybawia od zguby,
On wieńczy cię łaską i zmiłowaniem,
On twoje dni nasyca dobrami:
odnawia się młodość twoja jak orła (...)

PS W grudniu 2013 roku Joanna zadzwoniła z radosną wiadomością: jest w ciąży! Przeczuwała, że to będzie córka. Sześć tygodni później poroniła. Dziecku dano na imię Klara Dominika.

Mateusz 27 kwietnia, w święto Bożego Miłosierdzia i dzień kanonizacji Jana Pawła II, przystąpi do wczesnej Pierwszej Komunii Świętej.

Imiona bohaterów na ich życzenie zostały zmienione.

Z Jezusem przy studni

Kiedy ksiądz, którego imienia już dzisiaj nie pamięta, z lekkim wyrzutem w głosie zapytał ją: „A ile lat święta Monika modliła się o nawrócenie syna? ”, wiedziała, że musi wytrwać.

– Chociaż ani ze mnie święta Monika, ani z Branislava święty Augustyn. – Darina Ciberej uśmiecha się szczerze.

Poza tym nie tylko syn się odmienił. Ona też.

Siedzą na dwóch krańcach niewielkiej sofy w pokoju gościnnym klasztoru Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia w słowackich Koszycach. Matka w okularach, z krótko ostrzyżonymi włosami, o chłopięcej sylwetce, która ujmuje jej lat. Syn szczupły, jasny, z brodą, którą skubie w zakłopotaniu albo w zamyśleniu. Kruchy.

Każde osobno, a duchowo zawsze sobie bliscy. Chyba najbardziej z całej rodziny, chociaż wprost żadne o tym nie powie, bo przecież jest jeszcze ojciec Branislava i dwie jego siostry, za których teraz modlą się oboje. Rodzina jakich wiele, nie tylko na Słowacji. W ich rodzinie najbardziej brakowało miłości. Ale czy mogli ją dać dzieciom ci, którzy pobierając się, sami nie mieli z czego czerpać? Nie mieli z czego dawać, bo w ich rodzinnych domach też był deficyt miłości. Dzisiaj Branislav już o tym wie, lecz okupił to bolesnymi doświadczeniami. W wieku dwudziestu

sześciu lat ma za sobą uzależnienia od gier komputerowych, alkoholu, narkotyków, pornografii, autoerotyki. Na krótko uwikłał się także w okultyzm.

Zaczęło się w szkole podstawowej od PlayStation. Zamiast iść na lekcje, całe dnie spędzał przy komputerze, wstając tylko wtedy, gdy był głodny. Przestał też chodzić do kościoła, zresztą cała rodzina – są grekokatolikami – rzadko praktykowała.

– W grach wideo uciekałem od świata, którego nie potrafiłem zrozumieć, odnaleźć się w nim. Gdy miałem trzynaście lat, zacząłem pić alkohol, w wieku piętnastu lat zacząłem palić marihuanę, półtora roku później sięgnąłem po pervitin, potem ecstasy, a na koniec, około osiemnastego, dziewiętnastego roku życia, po LSD – wylicza Branislav, na przemian skubiąc albo głaszcząc jasną brodę.

Po kryjomu wyciągał matce pieniądze z portmonetki, by kupić kolejną działkę, włóczył się nocami po koszyckiej starówce. Rodzice widzieli, ale nie chcieli wiedzieć. Nie potrafili przyznać się przed sobą, że ich syn jest narkomanem. Rzadkie nocne awantury niczego nie zmieniały.

– Często byłam wzywana do szkoły, bo wciąż skarżono się na niego. Ale on nigdy nie był dla mnie przykry, zawsze był dobry. – Matka jakby tłumaczy się ze swojej pobłażliwości.

Może nie miała siły na stanowczość? Może czekała na reakcję męża?

Był rok 2002, gdy Branislav z powodu narkotyków został wyrzucony ze szkoły zawodowej. Przez rok nigdzie się nie uczył. Nie pracował. Wtedy Darina zaczęła się modlić za syna.

– Moja matka dała mi książeczkę z różnymi modlitwami: za dzieci, za rodzinę, za zmarłych. Zaczęłam je odmawiać – opowiada o początkach.

W książeczce były też inne modlitwy – koronka, litanie, nowenna – wszystkie w duchowości Bożego Miłosierdzia. Darina Ciberej ani o kulcie

Bożego Miłosierdzia, ani o świętej Faustynie nic wówczas nie wiedziała. Do kościoła chodziła rzadko. Ale codziennie modliła się o przemianę Branislava. Syn natomiast sięgał po coraz mocniejsze narkotyki. Był rok 2005, gdy zaczął brać LSD, po którym wpadał w coraz cięższe psychodeliczne transy.

– Chciałem z tym skończyć. Wiedziałem już, że to jest zło, że jestem uzależniony i że muszę z tym coś zrobić. – Branislav miał w sobie wolę zmiany, musiał jeszcze znaleźć źródło siły.

Trwało to trzy lata. Ratunku szukał bowiem po omacku. Przez jakiś czas stosował praktyki okultystyczne. Uczył się, jak „zbawić" się samemu, „opuszczał" ciało, by łączyć się z ciałami astralnymi, składał ofiary dobrym duchom. Jednak zamiast czuć się lepiej, pogrążał się w ciemności. Dalej nie pracował i nie uczył się. Dużo natomiast czytał. Poznawał teksty założycieli różnych sekt, naukę Buddy. Kiedyś sięgnął też po Pismo Święte, które leżało na półce od czasu jego Pierwszej Komunii Świętej.

– Otworzyłem je i przeczytałem, że Jezus umarł i zmartwychwstał. Ale to nie była reinkarnacja, w którą wówczas wierzyłem. To było zupełnie coś innego, inna droga. Szybko zrozumiałem, że Jezus jest inny od wszystkich, o których dotychczas czytałem. On podjął cierpienie. I najważniejsze: zrozumiałem, że On mnie miłuje. Miłość to było to, czego przez całe życie nieświadomie szukałem, czego pragnąłem – wyznaje Branislav.

Zmiana nie była jednak nagła. To był proces. W 2007 roku, gdy matka – o czym nie wiedział – już od pięciu lat modliła się o jego przemianę, Branislav miał na tyle sił, aby sam, bez terapii rzucić narkotyki. Kilka miesięcy później odszukała go Radka, z którą kiedyś razem kupowali narkotyki u dealerów. Ona wcześniej wyszła z nałogu i przystąpiła do Wspólnoty Świętego Jana Chrzciciela. Dziewczyna zaprosiła Branislava na spotkanie grupy, gdzie wreszcie poczuł się duchowo dobrze. Przychodził na

spotkania, lecz nie był to jeszcze decydujący zwrot. Jeszcze nie umiał powiedzieć, że Jezus jest jego Bogiem, lecz był już na tej drodze. 30 marca 2008 roku, a była to niedziela Bożego Miłosierdzia, pojechał ze znajomymi na jednodniową pielgrzymkę do sanktuarium w Łagiewnikach.

Przed tą podróżą nie wiedział nic o Bożym Miłosierdziu i o świętej Faustynie. Tak jak matka, która szeptała modlitwy do Bożego Miłosierdzia, nie wiedząc nic o samym kulcie. Branislav dowiedział się o istocie kultu Bożego Miłosierdzia w autobusie, w drodze z Koszyc do Łagiewnik.

– Był ranek, gdy wszedłem do bazyliki. Kościół był pełen ludzi modlących się na kolanach. To zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Potem była msza święta po polsku. Nie rozumiałem nic, ale to było tak silne przeżycie, że przez cały czas płakałem – mówi, powolnym ruchem głaszcząc brodę. – Byłem bardzo poruszony. Bardzo chciałem przyjąć Jezusa.

Branislav poszedł do Komunii Świętej. Po raz pierwszy od ośmiu lat. Po powrocie do Koszyc ktoś zwrócił mu uwagę, że powinien był wcześniej przystąpić do spowiedzi. Poszedł. Nie, nie sądzi, że Komunia w Łagiewnikach była świętokradztwem. To była głęboka – najgłębsza – potrzeba serca. Wypływała z samego jądra jego jestestwa. Płacz był oczyszczający. Doskonały żal za grzechy.

– W drodze do Łagiewnik mówiono mi, że tam spotkam Jezusa. I spotkałem Go. To był niezwykły moment: wzruszenia, szczęścia, radości. – Na to wspomnienie Branislav uśmiecha się szeroko. – Od tamtej chwili jestem przy Chrystusie.

Codziennie chodzi na mszę świętą, służy do niej jako ministrant. Trzyma patenę księdzu, któremu wcześniej, gdy uczył go religii, przeszkadzał na lekcjach, ostentacyjnie kładąc nogi na ławkę. Po pielgrzymce do Łagiewnik ktoś zaprosił go na spotkanie grupy

Stowarzyszenia Apostołów Bożego Miłosierdzia „Faustinum”, ktoś inny dał duży obraz Jezusa Miłosiernego, który zawiesił w swoim pokoju.

– Długo bałem się patrzeć Mu w oczy. Unikałem Jego wzroku – mówi, powoli głaszcząc brodę. –Wstydziłem się grzechów.

Branislav dużo modlił się przed wizerunkiem Jezusa, który dziś wisi już w innym miejscu mieszkania Ciberejów. Do sanktuarium w Łagiewnikach jeździ dwa, trzy razy w roku. Rozeznał już, że kult Bożego Miłosierdzia to nie jest jego duchowość. Jednak wie, co mu zawdzięcza.

– Tylko Boże Miłosierdzie mogło spowodować zmianę w moim życiu.

Dziś jest związany z neokatechumenatem, modli się u dominikanów, salezjanów, czasem chodzi na nabożeństwa greckokatolickie. Gdy czyta Pismo Święte, często w samotności płacze. Tak zachwycają go słowa Jezusa, sceny z Jego życia. Najbardziej wzrusza się, gdy czyta rozmowę Jezusa z Samarytanką.

– To jest moment, w którym grzeszna kobieta odnajduje Zbawiciela. Odnajduje w Nim Tego, który jest prawdziwym sensem jej życia. Czasem stawiam się na miejscu Samarytanki. Wyobrażam sobie, że to ja stoję przy studni i rozmawiam z Jezusem – wyznaje, powolnym ruchem głaszcząc delikatnie brodę. – Doświadczam, że Bóg mnie kocha takim, jaki jestem. On wie, kim jestem, zna mnie. Ludzie nie widzą mojego wnętrza.

Rok po Branislavie w niedzielę Bożego Miłosierdzia pojechała do Łagiewnik Darina Ciberej. Dziękowała za przemianę syna, ale też za to, że otrzymała o wiele więcej, niż prosiła. Swoją ufnością wymodliła nie tylko nawrócenie syna. Ona sama doznała duchowej przemiany. Darina jest dziś gorliwą czcicielką Bożego Miłosierdzia i członkiem wspierającym stowarzyszenia „Faustinum”.

Darina i Branislav. Święta Monika i święty Augustyn. Historia nigdy nie powtarza się w identyczny sposób. Święta Monika była już gorliwą

chrześcijanką, gdy modliła się o nawrócenie pierworodnego Augustyna przez kilkanaście lat jego hulaszczego życia. Zmarła niebawem po tym, jak syn w wieku trzydziestu trzech lat przyjął chrzest. „Dajcie mi modlące się matki, a uratuję świat” – mówił później biskup Augustyn z Hippony.

Branislav zaraz po nawróceniu chciał wstąpić do seminarium duchownego. Jakiś ksiądz poradził mu jednak, aby poczekał, sprawdził powołanie. Od tamtej pory minęło pięć lat. Dziś Branislav codziennie po pracy w świetlicy dla młodzieży i po mszy świętej odwiedza osiemdziesięcioletniego malarza Istvana. Opiekuje się nim, ale Istvan jest też dla niego wspaniałym partnerem do rozmów o sztuce i życiu. Spiera się z nim, kłóci, rozpoznając w jego trudnym charakterze swoje wady, które próbuje poskromić. Dużo czyta. Co dalej?

– Przez lata szukałem źródła miłości i znalazłem je – mówi Branislav. – Ale miłość jest wymagająca. Chce wszystkiego. Mam jeszcze w sobie lęk przed taką miłością.

Dziesięć cudów generała

–Był ze mną przez cały czas. Był we wrześniu 1939 roku, gdy zostałem skazany przez bolszewików na śmierć. Był w partyzantce i w powstaniu warszawskim. Towarzyszył mi w niewoli i gdy byłem ranny. Podróżował ze mną po świecie, kiedy przez trzydzieści lat służyłem w brytyjskiej armii, aż przywiozłem go tutaj, z powrotem do Polski – generał Janusz Brochwicz-Lewiński, słynny „Gryf”, w krótkich zdaniach zawiera historię swojego życia, która jest materiałem na kilka sensacyjnych filmów wojennych i szpiegowskich.

Główną rolę w tej opowieści odgrywa mały biało-niebieski obrazek. To wizerunek Jezusa Miłosiernego, z podpisem „Jezu, ufam Tobie”. Przez kilkadziesiąt lat, od 1939 roku, Janusz Brochwicz-Lewiński nie rozstawał się z nim. Miał go zawsze przy sobie. Tracił wszystko, ale nigdy obrazek Jezusa. Dziś wypłowiały, posklejany, włożony za szybę i oprawiony w ramki wisi w eksponowanym miejscu w warszawskim mieszkaniu „Gryfa”. Jak najcenniejszy klejnot. Tuż obok szabli generała brygady, którą otrzymał wraz z nominacją w 2008 roku, oraz Orderu Virtuti Militari za bohaterską walkę w powstaniu warszawskim.

– Ten obrazek i związana z nim opieka duchowa mojej matki sprawiły wiele cudów. Uratowały mi życie w sytuacjach, z których nie miałem prawa

wyjść żywy. Kilkakrotnie chcieli mnie zabić sowieccy agenci, dwa razy próbowano mnie otruć. A ja żyję. On żyje i ja też żyję, a powinienem być pięć albo i dziesięć razy w piachu – opowiada barwnie generał, który zasług wojennych i wojskowych nie przypisuje wyłącznie sobie.

„Gryf” we wrześniu 2013 roku skończył dziewięćdziesiąt trzy lata. Chodzenie sprawia mu trudność, ale pamięć i humor połączone z dystansem wobec wieku i jego ograniczeń dopisują. Wiek nie odebrał mu elokwencji, manier przedwojennego dżentelmena i chłopięcego uroku. Widać go szczególnie w momentach, gdy na wspomnienie żołnierskich wyczynów uśmiecha się zawadiacko.

Obrazek Jezusa Miłosiernego w przededniu wybuchu drugiej wojny światowej dała mu matka, Jadwiga z Piechocińskich Brochwicz-Lewińska. Jej piękna twarz spogląda ze zdjęć w mieszkaniu „Gryfa”. Na jednym z nich, dużych rozmiarów, pozuje w balowej toalecie, z perłami na szyi. Zdjęcie zostało zrobione w 1929 roku, gdy miała dwadzieścia dziewięć lat. Jej o pięć lat starszy mąż Stanisław był profesorem literatury i języków nowożytnych na uniwersytetach w Wilnie i Krakowie. Jedyny syn Janusz miał wówczas dziewięć lat. Ich życie rodzinne, ich świat zrujnowała wojna. Po jej wybuchu już nigdy nie spotkali się razem: matka, ojciec i syn.

Janusz Brochwicz-Lewiński poszedł na wojnę 30 sierpnia 1939 roku. Był akurat na wakacjach w majątku dziadków Piotrowszczyzna niedaleko Wołkowyska na Grodzieńszczyźnie, gdy otrzymał rozkaz powrotu do stacjonującego w Grodnie 76. Pułku Piechoty. Został tam przydzielony w maju tego samego roku, gdy po maturze, a przed wyjazdem na studia do Szwajcarii wstąpił do wojska, bo tak nakazywała rodzinna tradycja i patriotyczne wychowanie. Przed odjazdem do pułku w Grodnie matka dała mu obrazek Jezusa Miłosiernego z podpisem „Jezu, ufam Tobie”. Nigdy wcześniej nie widział takiego wizerunku Jezusa.

– Matka powiedziała: „Ten obrazek będzie cię chronił. On jest poświęcony, noś go przy sobie”. I tak zrobiłem – opowiada generał o ostatniej przed wybuchem wojny rozmowie z matką. – Włożyłem go do legitymacji wojskowej, którą nosiłem w kieszeni munduru.

Wizerunek Jezusa na obrazku był nieudolną kopią obrazu namalowanego przez Eugeniusza Kazimirowskiego w Wilnie w 1934 roku. Generał zapamiętał, że matka otrzymała obrazek od proboszcza z Wołkowyska, który powiedział jej, że ma on wielką moc. Proboszcz parafii pod wezwaniem Świętego Wacława ksiądz Jerzy Żamejć miał z kolei otrzymać go od księdza Michała Sopoćki, kierownika duchowego siostry Faustyny, który bywał w Wołkowysku, gdyż był tu w czasie wojny 1920 roku kapelanem wojskowym.

Jadwiga Brochwicz-Lewińska, która w pamięci syna zachowała się jako kobieta pobożna i miłosierna, dając mu obrazek Jezusa Miłosiernego, zapewniła, że będzie się za niego modlić gorąco. Na pewno ufała Bogu, skoro powierzyła Mu jedynego syna, a ufność jest fundamentem kultu Bożego Miłosierdzia. Nie wiadomo natomiast, czy już wówczas znała modlitwy przekazane przez siostrę Faustynę wraz z orędziem o Bożym Miłosierdziu. Jest to jednak mało prawdopodobne, zwłaszcza że na rewersie obrazka została umieszczona modlitwa do Chrystusa Króla, o której skądinąd wiadomo, że była bliska księdzu Sopoćce.

– O tym obrazku i orędziu Bożego Miłosierdzia nie wiedziałem wtedy nic. Wiedziałem tylko, że obrazek został poświęcony z tą intencją, aby mnie ochronił w czasie wojny. Okazało się, że robił to o wiele dłużej – mówi generał.

Cud pierwszy

17 września 1939 roku, w dniu wkroczenia Armii Czerwonej do Polski, podchorąży Brochwicz-Lewiński skończył dziewiętnaście lat. Trzy dni później grupa żołnierzy, którą dowodził w rejonie Baranowicz, po zaciętej walce została rozbita.

– Bolszewicy zabijali jeńców przez kilka dni i nocy, szczególnie oficerów wyższych stopniem. Przystawiali nagan do potylicy i strzelali – opowiada o sowieckich metodach traktowania jeńców wojennych.

Piętnastu oficerów oskarżonych o zadanie Sowietom szczególnie dotkliwych strat postawiono przed sądem polowym NKWD. Był wśród nich młody Brochwicz. Pijany enkawudzista wydał na wszystkich wyrok śmierci.

– Wtedy stał się pierwszy cud: uciekłem z niewoli. Nie wiem, co się stało, ale po zabiciu dziesięciu osób ostatniej piątki, w której byłem, nie rozstrzelano na miejscu. Bolszewicy wsadzili nas do pociągu, aby przetransportować na tereny sowieckie i tam zabić. Na stacji granicznej w miejscowości Niegoriełoje pociąg zatrzymał się na bocznicy. Jeden z oficerów zauważył, że dwie deski w podłodze wagonu były tak zniszczone, że można je było wyrwać. Uciekliśmy. Każdy poszedł w innym kierunku. Moim celem był Brześć nad Bugiem. Miałem w kieszeni kompas, którego Sowieci nie zabrali mi w czasie pobieżnej rewizji, dobre wojskowe buty, płaszcz, parę zapałek i papierosów oraz mały nóż. Po drodze mijałem lasy, strumyki, opustoszałe sady. Żywiłem się tym, co znalazłem – jakąś gruszką albo jabłkiem, ogórkiem, pomidorami – bo bochenek chleba, który dostałem na podróż pociągiem, oszczędzałem. Przez dwa tygodnie musiałem iść tak, aby nie wpaść w ręce ludzi, gdyż wiedziałem, że jak mnie złapią, to oddadzą milicji i będzie po mnie.

Obrazek Jezusa Miłosiernego miał przy sobie, w kieszeni munduru. Wreszcie doszedł do Bugu, który był wówczas granicą radziecko-

niemiecką. Na drugi brzeg, pod osłoną nocy, przerzucił go jakiś rybak. Równie ostrożnie jak wcześniej, ale teraz kryjąc się przed Niemcami, obrał kierunek na Warszawę. Dotarł po dwóch miesiącach od ucieczki z sowieckiego pociągu, który wiózł go na śmierć.

Cud drugi

Jeszcze w 1939 roku Janusz Brochwicz-Lewiński znalazł się w Lublinie. Pracował jako magazynier w niemieckiej firmie handlującej materiałami budowlanymi i węglem. Szef, ranny na froncie zachodnim, był zadowolony z młodego Polaka, który świetnie mówił po niemiecku. Brochwicz natomiast dzięki tej pracy miał dobre papiery. Przydały się szczególnie, gdy pół roku później nawiązał kontakt ze Związkiem Walki Zbrojnej i jako dowódca plutonu, pseudonim „Gryf”, w soboty i w niedziele wyjeżdżał w podlubelskie lasy szkolić żołnierzy. I wtedy gdy przeprowadzał akcje sabotażu. W 1943 roku jednego z jego podwładnych złapało Gestapo. Torturowany na zamku w Lublinie, podał nazwisko i adres zamieszkania Brochwicza. Gestapo przygotowało w mieszkaniu Brochwicza kocioł.

– W przerwie obiadowej jeździłem rowerem do domu, by coś zjeść i odpocząć. Ale tego dnia, kierowany jakimś instynktem, zostałem w biurze. Nie pojechałem. Po przerwie jeden z robotników powiedział: „Szefie, niech pan uważa, bo przed pana domem stoją gestapowcy. Mają samochód ciężarowy i mały łazik”. – Generał przypomina sobie ostrzeżenie, które uratowało mu życie. – Gdybym pojechał na obiad do domu, trafiłbym na zamek, a stamtąd w najlepszym razie do obozu, ale najpewniej postawiliby mnie pod ścianą i dostałbym kulę w łeb.

Brochwicz zaczekał do zakończenia pracy, spakował teczkę, wsiadł na rower i spokojnie ruszył za miasto. Pojechał do oddalonej o piętnaście kilometrów leśniczówki. Dwa dni później był już w leśnym oddziale partyzanckim. Ocalał.

Od 1943 do 1944 roku walczył w oddziale majora Hieronima Dekutowskiego, słynnego „Zapory". Dowodził pięćdziesięciopięcioosobowym plutonem, który był częścią Kedywu, czyli oddziałów AK do specjalnych zadań. Wiosną 1944 roku na rozkaz pułkownika Emila Fieldorfa „Nila", który wcześniej wizytował jego oddział partyzancki, przyjechał do Warszawy. Został instruktorem wyszkolenia bojowego Batalionu „Parasol".

Będąc w partyzantce, Janusz Brochwicz-Lewiński dwukrotnie spotkał się ze swoją matką Jadwigą. Raz w Lublinie, po raz drugi w Puławach. Ale „Gryf" – gawędziarz, który przez ostatnie lata setki razy opowiadał o swoich losach wojennych i powojennych – starannie omija temat matki i rodziców.

– To są intymne sprawy między matką a synem. Pozostaną moją własnością – odpowiada oburzony, gdy próbuję dowiedzieć się o szczegółach tych dwóch spotkań. – Nie wszystko jest na sprzedaż! Po chwili dodaje jednak kilka zdań:

– To jest tragiczna postać, która utraciła więcej niż syn – mówi o matce. – Dostatni dom, męża, który przeżył gehennę gdzieś w sowieckim łagrze, pracując w kopalni złota. Wyciągnięty cudem przez kolegów z armii Andersa, schorowany, zmarł w Londynie w 1952 roku. Nigdy go więcej nie widziała. Podobnie jak syna, który uszedł z życiem i poszedł na tułaczkę, na poniewierkę. Ciągle, przez całe życie drżała o niego.

Kiedy generał mówi o matce, głos mu się łamie. Widać wzruszenie. Nawet się nie domyśla, jak bliskie mi jest jego doświadczenie.

Cud trzeci

Gdyby generał Brochwicz-Lewiński robił ranking cudów swojego życia, ten byłby na pierwszym miejscu. Wydarzył się w ósmym dniu powstania warszawskiego.

Kilka dni wcześniej, 2 sierpnia 1944 roku, Brochwicz z 4. Plutonem 1. Kompanii Batalionu AK „Parasol” był w kościele Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia przy ulicy Żytniej, który był najbliższy miejsca zbiórki powstańców na Woli.

– Poprosiliśmy kapelana „Parasola”, aby odprawił dla nas mszę świętą, zanim zacznie się akcja – mówi generał.

Nie wiedział wtedy, że postać Jezusa Miłosiernego na obrazku, który miał w kieszeni powstańczej kurtki, ukazała się zakonnicy z tego zgromadzenia. Nie wiedział, że była nią siostra Faustyna, która modliła się w tym kościele i mieszkała w tym klasztorze. Nie wiedział też, że Jezus powiedział Faustynie, iż „dusza, która czcić będzie ten obraz, nie zginie. Obiecuję także, już tu na ziemi, zwycięstwo nad nieprzyjaciółmi, a szczególnie w godzinę śmierci. Ja sam bronić jej będę jako swej chwały”. Orędzie Jezusa przekazane siostrze Faustynie znali wówczas nieliczni. Jeszcze mniej osób wiedziało o *Dzienniczku* i wizji Faustyny, w której ujrzała zagładę Warszawy.

Po raz drugi w kościele przy Żytniej Janusz Brochwicz-Lewiński znalazł się sześćdziesiąt lat później, w 2005 roku, gdy powrócił do Polski z emigracji. Poznał to miejsce. Pamiętał dobrze, gdzie stała jego grupa szturmowa 2 sierpnia 1944 roku w czasie mszy świętej o godzinie 10.00. W okolicach tego kościoła walczył w nocy z 6 na 7 sierpnia 1944 roku. Było to już po słynnej obronie pałacyku Michla, którą dowodził, a która była jednym z największych powstańczych zwycięstw. Za tę akcję,

utrwaloną w słynnej piosence *Pałacyk Michla, Żytnia, Wola...* dostał Order Virtuti Militari. Był pierwszym powstańcem uhonorowanym tym najwyższym odznaczeniem wojskowym. Ordery, awanse i nagrody otrzymało wielu jego przodków używających herbu Brochwicz. Walczyli już u boku Bolesława Krzywoustego na Pomorzu, a potem księcia Henryka Pobożnego pod Legnicą. Wyjeżdżali na wyprawy krzyżowe, bili się pod Grunwaldem. W czasie drugiej wojny światowej Brochwicze stali po dwóch stronach frontu. Wywodzący się z nadreńskiej gałęzi rodu Walter von Brauchitsch do 1941 roku był naczelnym dowódcą wojsk lądowych Wehrmachtu. Natomiast generał brygady Antoni Bolesław Brochwicz-Lewiński, stryj Janusza, był ministrem obrony w Rządzie RP na uchodźstwie.

Dla Janusza Brochwicza-Lewińskiego walki powstańcze zakończyły się 8 sierpnia 1944 roku, gdy dowódca Batalionu „Parasol” kapitan Adam Borys „Pług” skierował jego pluton na cmentarz ewangelicki. Niemcy rozstawili tam stanowiska ogniowe, zadając powstańcom wiele strat.

– Dowódca chciał, abym Niemców stamtąd wyrzucił i dał im po skórze – tłumaczy generał rozkaz „Pługa”. – Na początku dobrze nam szło. Oni jednak mieli tę przewagę, że byli w mundurach terenowych, mieli karabiny z lunetami i polowali na dowódców. Strzelali w serce albo w brodę. Jeden ze strzelców wypatrzył mnie. Strzelił mi w brodę. – Generał pokazuje miejsce, w które uderzył pocisk. – Rąbnął tu, ale kula wyszła tu. – Pokazuje prawy policzek z blizną. – W chwili gdy dosięgała mnie kula, obróciłem głowę. Akurat w tym momencie. Gdybym tego nie zrobił, kula przeszyłaby mnie na wprost i wyszła tu. – Pokazuje potylicę. – I byłoby po mnie. Do widzenia.

Generał wie, co mówi. Nieraz widział ludzi zabitych takimi strzałami. Wie, że właściwie nie powinien żyć. To, że przeżył, było cudem. Trzecim

cudem. Kiedy leżał ranny na cmentarzu, przeszedł śmierć kliniczną. Dotknął innej czasoprzestrzeni.

– Po ugodzeniu pociskiem miałem poczucie, jakby coś podrzuciło mnie do góry jak piłkę. Upadłem na płytę grobowca, zacząłem krwawić i straciłem przytomność. Wtedy wyszedłem z ciała. Zostało ono na dole, na cmentarzu, a ja pofrunąłem do góry. Widziałem niebieskie niebo, piękne słońce i szeroki zielony wąwóz, w którym fruwałem. Nic mnie nie bolało. Było zielono, ciepło i przyjemnie. Nagle przed oczami ujrzałem film z mojego życia. Widziałem moment, gdy jako dziecko wpadłem do dołu z wapnem i zostałem wyciągnięty na pół martwy; chwilę gdy w czasie łowienia ryb wpadłem do wody. Widziałem twarz matki i twarz ojca, jakieś przeżycia szkolne, trochę wydarzeń z wojska i partyzantki. To było tak wyraźne, jakbym patrzył na ekran w kinie. W pewnym momencie film się skończył. Poleciałem dalej. Musiałem jednak się zatrzymać, bo to był już koniec zony – generał często wtrąca obce słowo określające strefę. – Za nią musiała być jakaś druga zona, po której przejściu – tak sobie wyobrażam – nie ma już powrotu na ziemię. Spojrzałem w dół. Zobaczyłem tunel, na którego końcu leżało moje ciało. Widziałem swoją powłokę, taką małą. – Generał pokazuje palcami kilkucentymetrowy odcinek. – I nagle jakaś potężna siła wcisnęła mnie w tę powłokę. Stałem się normalnym, dużym człowiekiem. W jednej chwili zaczęło mnie wszystko boleć. Na szczęście znowu straciłem przytomność. Obudziłem się na łóżku w szpitalu.

„Gryf” nie wie, jak długo był nieprzytomny. Wie tylko, że po zranieniu, z ogromną dziurą w głowie, jak mówi, „wielkości spodka od herbaty”, został przewieziony do szpitala powstańczego przy ulicy Freta na Starówce. Sanitariuszka, która robiła mu opatrunek, podobno zemdlała.

– Wyglądałem jak baran, którego rżną w łeb. Jeszcze miałem pół głowy – generał Brochwicz opowiada z humorem najtragiczniejsze wydarzenie

w życiu. – W szpitalu doktor zszył tę dziurę i tyle, nic więcej nie mógł pomóc. Szczęka była rozwalona pociskiem w trzech miejscach. Język miałem spalony. Byłem spuchnięty do tego stopnia, że koledzy, którzy przychodzili mnie odwiedzić, nie poznawali mnie. Przechodzili obok łóżka. Wyglądałem jak King Kong. Jak duża małpa – śmieje się. – Twarz spuchnięta, oczu nie było widać. Przez prawie sześć tygodni nie mogłem mówić. Nie jadłem, tylko piłem. Leżałem bez ruchu. Nie wiem, jak sobie dawali ze mną radę.

Jeszcze bardziej niezrozumiałe jest to, jak w tym stanie przeżył ewakuację ze Starówki do Śródmieścia. 31 sierpnia 1944 roku wszedł do kanałów, mimo iż wpuszczano tylko tych, którzy mogli iść o własnych siłach. Dwóch nieznanych mu powstańców wlokło go zanurzonego po szyję w brunatnej mazi. Przez dwadzieścia sześć godzin, bo tyle zajęło im przejście kanałami około tysiąca ośmiuset metrów. Na powierzchnię wyciągali go linami. Obrazek z napisem „Jezu, ufam Tobie” miał przy sobie. Wielu powstańców „Parasola” było przekonanych, że „Gryf” zginął na cmentarzu ewangelickim, a Virtuti Militari zostało mu przyznane pośmiertnie. Pogląd ten utrwalił w książce *Ziele na kraterze* Melchior Wańkowicz, którego córka Krysia, łączniczka „Parasola”, zginęła 6 sierpnia 1944 roku. Ale „Gryf” żył.

Cud czwarty

Po kapitulacji powstania 5 października 1944 roku – a była to także szósta rocznica śmierci siostry Faustyny – podporucznik Brochwicz-Lewiński trafił do obozu przejściowego w Lambsdorf. Stąd w grudniu 1944 roku został przewieziony do oflagu Murnau 7A w Niemczech. Tę nazwę:

„Murnau 7A”, i datę 5 października 1944 zapisał na rewersie obrazka Jezusa Miłosiernego. Gdy pod koniec kwietnia 1945 roku Amerykanie wyzwolili oflag, miał początki gangreny. Alianci natychmiast wsadzili go do sanitarki, która obrała kurs na lotnisko wojskowe koło Monachium, skąd miał odlecieć do szpitala wojskowego w Paryżu. Ale wojna jeszcze trwała, Niemcy się bronili. W okolicach Würzburga sanitarkę zaatakował niemiecki myśliwiec. Samochód przeszyła salwa z karabinu maszynowego.

– Pociski trafiły w rannego oficera, który w sanitarce leżał nade mną. Z góry lała się na mnie krew. Byłem nią tak przemoczony, że szofer musiał mi dać coś do przebrania.

W Monachium wsadzono Brochwicza do samolotu do Paryża. Gdy wreszcie znalazł się w 94. Wojskowym Szpitalu Amerykańskim, okazało się, że oddział transplantacji kości został już ewakuowany. Po tygodniowym leczeniu penicyliną wypisano go. Pod koniec maja 1945 roku był już w Londynie, u generała Tadeusza Bora-Komorowskiego, naczelnego wodza. Został przydzielony do 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej, która stacjonowała w Szkocji. Tam, w szkockim szpitalu, przeszedł operację transplantacji kości – z biodra do szczęki. Było to już trzynaście miesięcy po tym, jak został ranny, dlatego lekarze nie mieli specjalnych nadziei na rewelacyjne efekty. Dziwili się, że w takim stanie w ogóle żyje. Był dla nich dowodem niebywałych możliwości ludzkiego organizmu.

W szpitalu Brochwicz spędził pół roku. Dzisiaj po dziurze w szczęce „wielkości spodka od herbaty” została tylko nieduża blizna. I pamięć generała o cudownym ocaleniu życia. Wiele lat po wydarzeniach na cmentarzu ewangelickim w Warszawie generał rozmawiał z lekarzami w Wielkiej Brytanii i w Niemczech o tym, co przeżył podczas śmierci klinicznej. – Mówili, że mieli takie przypadki jak mój. Każda z tych osób

miała identyczne doświadczenia: film z życia, brak bólu i podróż w przestrzeni. Dla mnie to, co przeżyłem, oznacza, że istnieje życie po życiu. Umieramy tylko jako ciało. A to, co z niego wychodzi, żyje wiecznie. To znaczy, że w przestworzach musi być dużo, dużo ludzi, których my, na ziemi, nie widzimy.

Cud piąty

Po zakończeniu wojny porucznik Janusz Brochwicz-Lewiński został na Zachodzie. Musiał zostać.

– Gdybym wrócił, byłbym w piachu jak Pilecki, Fieldorf, jak „Zapora” – wymienia nazwiska bohaterów. – Jak inni, którzy walczyli o Polskę i za nią ginęli, bo chcieli, aby była wolna.

O tym, aby nie wracał, bo zginie, napisała mu także matka w liście przemyconym przez Szwajcarię. Pisała, iż modli za niego. Nieustannie. Jadwiga Brochwicz-Lewińska po wojnie zamieszkała u rodziny w Szczecinie. Gdy nastał stalinizm, musiała się ukrywać. Pochodzenie oraz pobyt syna i męża na Zachodzie dawały aż nadto powodów, by ją zamknąć w więzieniu. Ale również po nastaniu politycznej odwilży esbecy nachodzili ją, zmuszali, by pisała do syna listy, namawiając, aby wrócił do Polski. A ona modliła się, by został za granicą. Modliła się, by Jezus Miłosierny go ochraniał. Początkowo listy były bardzo rzadkie, przekazywane w strachu przez łańcuch pośredników, okrężną drogą. Z czasem było ich więcej. Generał przechowuje wszystkie listy od matki w swoim mieszkaniu w Hamm w Niemczech. W jednym z nich, zabranym do Warszawy, matka pisała: „Synku mój drogi, ten kwiatek jest z procesji Bożego Ciała. Taka tęsknota w duszy mej, tak myślami często jestem

z Tobą i stale o Ciebie się modlę, prosząc Boga o zdrowie dla Ciebie, by Cię chronił od zła wszelkiego”. Nie spotkali się już nigdy. Gdy zimna wojna w Europie się zakończyła, pisali do siebie częściej. Z czasem syn mógł przez znajomych przekazywać matce pieniądze. Ona przysyłała mu w listach religijne obrazki i modlitwy. Na jednym z nich z wizerunkiem Matki Bożej Licheńskiej napisała: „Synku Kochany, codziennie odprawiam w Twojej intencji siedem mszy św.”.

„Gryf”, który w październiku 1947 roku wstąpił do armii brytyjskiej obrazek Jezusa Miłosiernego wciąż miał przy sobie. Towarzyszył mu w Palestynie, Sudanie, Egipcie, Syrii, na Gibraltarze, na Malcie, w Grecji, Rumunii i wielu innych miejscach, gdzie bywało równie niebezpiecznie jak w czasie wojny. Jego obecności i modlitwom matki przypisuje kolejne cudowne ocalenia życia.

– Kilka razy byłem w sytuacjach, z których nie mogłem wyjść cało, a wychodziłem. Cuda się działy, naprawdę.

Piąty cud w życiu Janusza Brochwicza-Lewińskiego wydarzył się w kwietniu 1947 roku w Palestynie, która była wówczas pod protektoratem brytyjskim.

– W Hajfie stała się rzecz paskudna. Żydowska organizacja terrorystyczna Irgun Cwai Leumi kierowana przez Menachema Begina i organizacja Stert Gang złapały jedenastu brytyjskich żołnierzy. Młodych chłopców, dziewiętnastoletnich rekrutów, którzy poszli wieczorem do restauracji na piwo. Wzięli ich do niewoli i powiesili na ulicznych latarniach. Brytyjczycy byli wściekli. Kilka dni później byłem na patrolu. Z drugim oficerem chcieliśmy obejrzeć kilka domów, w których terroryści mieli kryjówki, aby następnego dnia wykurzyć ich czołgami. I wtedy zostaliśmy napadnięci przez dziesięciu terrorystów. Obaj mieliśmy karabiny maszynowe i pistolety. Udało mi się zabić trzech napastników. Reszta

uciekła. Byłem wtedy bardzo blisko śmierci – mówi lakonicznie, choć dłuższa opowieść pewnie i tak nie oddałaby dramatyzmu sytuacji.

Janusz Brochwicz-Lewiński przez dwadzieścia z trzydziestu ośmiu lat służby w armii brytyjskiej był agentem wywiadu. Wysokiej klasy agentem. O tym okresie opowiada niechętnie.

– Nie wiem, kto i do czego użyje moich informacji. Kto da rozkaz, by tego frajera puścić na tamten świat – mówi.

Co innego, gdybym chciała usłyszeć na przykład o tym, jak od 1954 do 1960 roku służył w Pułku Przybocznym Huzarów Gwardii Królowej Elżbiety II. O tym, jak ochraniał królową, a wcześniej króla Jerzego VI oraz księżniczkę Małgorzatę, której styl bycia, łącznie ze słabością do mocnych trunków, miło wspomina.

Cud szósty

Przez wiele lat Janusz Brochwicz-Lewiński jako oficer brytyjski mieszkał w Niemczech. Najpierw gdy służył w brytyjskiej strefie okupacyjnej, a następnie w stacjonujących tam brytyjskich jednostkach wojskowych, najdłużej w Hamm w Północnej Nadrenii.

Szósty cud wydarzył się natomiast w Lubece w 1948 roku, gdy ochraniał brytyjsko-rosyjską linię demarkacyjną.

– Robiłem dobrą robotę – to częste określenie generała.

Dobra robota polegała na łapaniu bolszewickich agentów, którzy z terenu Niemiec Wschodnich, gdzie była rosyjska centrala szpiegowska, przechodzili do Bundesrepubliki. W tej „robocie” bardzo przydawała się jedna z wielu umiejętności generała: świetna znajomość języków obcych,

w tym słowiańskich. Była pomocna w przesłuchiwaniu uciekinierów ze Wschodu i wyłapywaniu agentów. Takie zadanie wykonywał też pewnej nocy w listopadzie 1948 roku.

– Była piąta rano, gdy jechałem łazikiem po wale nad rzeką Łabą, wzdłuż której przebiegała linia demarkacyjna. Wracałem zmęczony po przesłuchaniu kilku osób zatrzymanych przez patrol. Wielokrotnie jeździłem tą trasą. Nagle w moim kierunku poszła seria pocisków – opowiada o scenie jakby wyjętej ze szpiegowskiego filmu. – Rosjanie wzięli mnie na cel.

Z tej pułapki nie miał prawa wyjść żywy. Mechanicy naliczyli w jego samochodzie osiemnaście dziur.

Cud siódmy

Pięć lat później, 2 stycznia 1953 roku, Janusz Brochwicz-Lewiński miał poważny wypadek samochodowy. Jest przekonany, że była to próba zamachu na jego życie.

– Stacjonowałem w jednostce w Iserlohn w Westfalii, ale mieszkałem w miejscowości oddalonej o pięćdziesiąt kilometrów. Do pracy dojeżdżałem fordem zodiakiem. Tego dnia jechałem wolno, gdyż było ślisko. Miałem zapalone światła, dobre opony. Znałem drogę, wszystkie zakręty na niej. – Generał dobrze pamięta tamten poranek. – Nagle z bocznej ulicy wyskoczył na mnie wielki dziesięciotonowy samochód. Uderzył mnie w bok. Mój samochód się przewrócił, wpadł do rowu. Zostałem w aucie zakleszczony. Powinienem być trupem na miejscu.

Ale przeżył. Nie pierwszy raz. Był bardzo pokaleczony, miał rozbitą głowę, połamane żebra. Mocno krwawił.

– Gdy przyjechała straż ogniowa i rozcinała wóz, żeby mnie z niego wyciągnąć, słyszałem, jak mówiono, że umieram. Lekarz w sanitarce wiozącej mnie do szpitala wojskowego mówił, że jestem tak wykrwawiony, że nie dojadę żywy. A ja z tego wyszedłem.

W szpitalu spędził dwa miesiące, z czego cztery tygodnie na oddziale intensywnej opieki. W wypadku stracił obrazek z wizerunkiem Jezusa. Ale nie na długo. Przyniosła mu go pielęgniarka, uprzednio oczyściwszy z krwi.

– Wiele razy traciłem wszystko, co miałem, lecz obrazek zawsze odnajdywałem. Może dlatego, że był w legitymacji wojskowej, a potem w legitymacji wywiadu? – zastanawia się. – Patrzyłem na ten obrazek całe życie i dziękowałem Opatrzności Bożej, że takie cuda się z nim działy.

Cud ósmy i dziewiąty

Cuda zdarzały się nie tylko wtedy, gdy był czynnym oficerem brytyjskiej armii i gdy jako agent balansował na granicy życia i śmierci.

– Dwa razy chciano mnie wykończyć tu, w Warszawie. – „Gryf” zawiesza głos. – Zostałem otruty. Raz w restauracji i raz w domu. W restauracji zamówiłem pieczeń, długo na nią czekałem. Nie smakowała mi, miała lekarski smak. Zjadłem niedużo, resztę zostawiłem na talerzu. Wyszedłem z restauracji, a po dziesięciu minutach zaczęło mi się w głowie kręcić tak, jak kręci się zabawka-bąk. Nie mogłem chodzić, w domu trzymałem się ściany – opowiada. – Przeżyłem tylko dzięki temu, że nie zjadłem całej pieczeni. Inaczej bym zdechł. – Generał używa czasem mocnych, żołnierskich słów.

Za drugim razem trucizna miała znajdować się w czekoladkach, które ktoś przyniósł mu w prezencie.

– Po dwudziestu minutach od wyjścia gościa dostałem silnych boleści. Zostałem sparaliżowany – nie mogłem ruszyć ani ręką, ani nogą. Byłem sztywny. Nie mogłem pójść do łazienki. Zdołałem się tam doczołgać i miałem szczęście, że zacząłem wymiotować. Leżałem chyba z dziesięć godzin, zanim powoli zaczęło puszczać i mogłem znowu się ruszać.

Generał uprzedza pytanie:

– Nie było mowy, abym zaangażował w to policję. Musiałem przetrwać i wykurować się sam. Ktoś planował, abym powoli wykitował. Wiedziałem, że grupie osób zależy, abym zniknął z horyzontu. Może bały się, że wiem za dużo o ich prawdziwej przeszłości? O ich działalności agenturalnej? Może bały się, że ich zdemaskuję?

Cud dziesiąty

– Powrót generała do Warszawy to też sprawa Jezusa Miłosiernego – mówi Agnieszka Bogucka, szefowa warszawskiego oddziału Wspólnoty Polskiej, która ma ogromny udział w ponownym zamieszkaniu Janusza Brochwicza-Lewińskiego w Polsce. – Kiedy wreszcie w 2002 roku generał zgodził się przyjechać na obchody rocznicy wybuchu powstania warszawskiego, był tak chory, że przez cztery z pięciu dni pobytu nie mógł brać udziału w uroczystościach. We wrześniu, przy okazji wizyty w Niemczech, odwiedziłam generała w Hamm. Zobaczyłam, że żyje bez opieki. Gdyby się nie zdecydował na powrót do Polski, myślę, że już by nie żył. – Agnieszka Bogucka mówi z przekonaniem osoby, która od lat czuwa nad zdrowiem generała. Jest też jego nieoficjalnym menedżerem, ale przede wszystkim wielkim przyjacielem.

Janusz Brochwicz-Lewiński chciał wrócić do Polski, ale jednocześnie się tego obawiał. Jako oficer brytyjskiego wywiadu, który wyłapywał radzieckich szpiegów i wiedział o agenturalnej przeszłości wielu prominentnych postaci III RP, zdawał sobie sprawę, że ma tu wielu wrogów. Niemniej od 2002 roku, gdy przyleciał do Warszawy po raz pierwszy po pięćdziesięciu ośmiu latach, bywał tu coraz częściej. W 2004 roku zdecydował się przeprowadzić na stałe. Miał wówczas osiemdziesiąt cztery lata. To nie jest dobry wiek na zmianę miejsca zamieszkania, a tym bardziej na zmianę kraju, nawet gdy jest nim dawno opuszczona ojczyzna. Do takiej decyzji trzeba było wiele odwagi, której nigdy mu nie brakowało. Ale trzeba było też ufności w Bożą opiekę, której dowodów przez całe życie miał aż nadto.

– Gdy w 2002 roku wysłałam do generała zaproszenie na obchody rocznicy powstania, przysłał mi list, w którym był ten obrazek. – Agnieszka Bogucka wskazuje na ścianę. Na obrazek Jezusa Miłosiernego! – Pamiętam, że gdy go zobaczyłam, usiadłam z wrażenia.

W liście generał nie napisał nic o obrazku. Na moje pytanie, dlaczego go wysłał, odpowiedział:

– Po prostu to zrobiłem.

Ale dla Agnieszki Boguckiej to był znak. Wiedziała, że musi się zaopiekować generałem. Teraz ona. Jadwiga Brochwicz-Lewińska nie żyła bowiem już od kilkunastu lat. Zmarła w 1985 roku, na kilka lat przed upadkiem muru berlińskiego. Miała osiemdziesiąt pięć lat. Zmarła w tym samym roku, w którym „Gryf” przeszedł na emeryturę. Gdy zakończył wojskowo-wywiadowczą służbę, w czasie której chroniła go modlitwa matki.

W małej kuchni w warszawskim mieszkaniu generała wisi kalendarz z wizerunkiem Jezusa Miłosiernego. Kupił go dawno, w niedzielę Bożego

Miłosierdzia w 2005 roku, gdy po raz pierwszy od czasów powstania odwiedził kościół przy ulicy Żytniej w Warszawie. Lata mijają, a kalendarz wisi. „Gryf” lubi ten wizerunek Jezusa Miłosiernego, mimo że w pokoju ma olejny obraz dużych rozmiarów, namalowany przez profesjonalnego artystę, a ofiarowany mu przez żołnierzy jednostki GROM. Gdy się modli, siada jednak w kuchni.

– Ten wizerunek Jezusa jest dla mnie ołtarzem – wyznaje z chłopięcym uśmiechem. – Nie położę się spać, dopóki nie porozmawiam z moim Jezusem.

To już tak źle z księdzem? Nie, tak dobrze

Kiedy w kwietniu 2000 roku poznał w Rzymie księdza Ronalda Pytla, którego uzdrowienie zostało uznane za cud potrzebny do kanonizacji siostry Faustyny, miał trochę pretensji do świętej, że to nie jego, Feliksa, wybrała do tej misji. W końcu chorobę miał podobną. Uznał jednak, że miała do tego prawo. Zresztą i on doznał cudu. Nie uzdrowienia, ale cudu życia. Ponad dwadzieścia lat temu czekał na przeszczep serca. Zrezygnował z oczekiwania w kolejce na dawcę. Miał jednak przeszczep, ale innego typu – duchowy.

– Jezu, ufam Tobie – słyszę w słuchawce telefonu głos księdza Feliksa Folejewskiego, gdy dzwonię, by umówić się na spotkanie. „Jezu, ufam Tobie!” jako powitanie: dzień dobry, cześć, Szczęść Boże.

Mieszkanie księdza Folejewskiego w klasztorze Pallotynów przy ulicy Skaryszewskiej w Warszawie urządzone jest tak, jak na apostoła Bożego Miłosierdzia przystało. Po obu stronach dużego krzyża wiszą obrazy Jezusa Miłosiernego i świętej Faustyny. Obok portret Heleny Kowalskiej przed wstąpieniem do zakonu i nieduża kopia obrazu Rembrandta *Powrót syna marnotrawnego* – wizualizacja najpiękniejszej biblijnej przypowieści o Bogu bogatym w miłosierdzie. Dużo zdjęć członków rodziny i przyjaciół, którym ksiądz Feliks towarzyszył w przejściu do nowego życia. Ich lista

z każdym rokiem się wydłuża, a zdjęć za szybą kredensu przybywa. On sam, dziś osiemdziesięciolatek, żyje dzięki cudowi Bożego Miłosierdzia. Dwie trzecie jego serca są martwe. Tylko jedna trzecia pracuje i ciągnie cały mięsień sercowy. Zresztą ta jedna trzecia też jest nie bardzo zdrowa, bo wielokrotnie była łatana, sztucznie wzmacniana. Ale to księdza nie skłania do tego, by zwolnić tempo, wieść życie bardziej spokojne, kanapowe. Przed rokiem w niedzielę Bożego Miłosierdzia wygłosił dziesięć kazań o miłości miłosiernej Boga. W Wielkim Poście prowadził trzy serie rekolekcji. W połowie ostatniej musiał poprosić o pomoc współbrata, ale zwolnił tylko do niedzieli Bożego Miłosierdzia.

Orędzie o Bożym Miłosierdziu ksiądz Folejewski głosi przez całe kapłańskie życie, czyli od ponad pół wieku. Najintensywniej od roku 1993, przełomowego w jego życiu. Zapowiedzią misji było hasło, które umieścił na obrazku prymicyjnym w 1959 roku: „Jezu, ufam Tobie”. Do pełnego zrozumienia i przyjęcia tego, co naprawdę znaczą te słowa, dochodził długo.

Po raz pierwszy obraz Jezusa Miłosiernego zobaczył 31 sierpnia 1949 roku w budynku Niższego Seminarium Duchownego Stowarzyszenia Apostolstwa Katolickiego, czyli księży pallotynów, w Wadowicach. Przyjechał tam z drugiego krańca Polski, z Suwałk. Miał piętnaście lat. Każdemu z czterech kolegów, którzy z nim przyjechali, towarzyszył ktoś z rodziców. On był sam. Rodzice uznali, że sobie poradzi. Matka była zajęta wychowaniem dziewięciorga jego rodzeństwa, a ojciec pracą na kolei. Kiedy Feliks po przyjeździe do Wadowic niepewnie postawił w hallu seminarium dużą tekturową walizkę, podszedł do niego ksiądz Kazimierz Skrzypczak i powiedział: „Nie martw się. Przyzwyczaisz się i będzie ci dobrze”.

Chyba było mu dobrze, a na pewno przyzwyczaił się, bo z pięciu suwalskich chłopców po roku został tylko on. W Suwałkach nie bardzo się temu dziwiono. Sąsiedzi Folejewskich widzieli, że Felka od dziecka ciągnęło do ołtarza. Jako ministrant pilnie służył do mszy. Księdzu Feliksowi trudno wskazać moment, w którym zapragnął być księdzem. Ale na pewno na długo przed tym, gdy jako dwunastolatek miał ważny sen. Jeden z tych, które zapamiętuje się na całe życie.

– Szedłem ulicą, a za mną podążał diabeł. Taki jak w jasełkach. Zacząłem uciekać, a on mnie gonił. Biegłem ile sił w nogach, lecz diabeł był coraz bliżej. W pewnej chwili spostrzegłem przed sobą kościół, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Był duży, z czerwonej cegły, neogotycki. Uradowany wbiegłem do środka i natychmiast się przeraziłem, gdyż kościół był ogromny. Martwiłem się, czy zdążę dobiec do ołtarza, bo diabeł wpadł za mną i dalej mnie gonił. Resztkami sił dobiegłem. Wtedy otworzyło się tabernakulum i wyszedł z niego Chrystus. Przepiękny – w czerwonym królewskim płaszczu, z sercem na piersiach, takim jak na obrazach Serca Jezusowego. I ten Chrystus zakrył mnie swoim czerwonym płaszczem, przytulając do serca. Na tym sen się skończył. A ja do dzisiaj powtarzam: „Jeśli nie będziesz trzymać się Chrystusa, to cię diabli wezmą”.

Z wadowickiego seminarium Feliks Folejewski zapamiętał obraz Jezusa Miłosiernego i to, że już wtedy zaczytywał się w *Apelu miłosierdzia*, małej książeczce, której autorką była siostra Józefa Menéndez ze Zgromadzenia Sióstr Najświętszego Serca Jezusa. Ta Hiszpanka na początku XX wieku, otrzymawszy jeszcze przed siostrą Faustyną Kowalską objawienia Jezusa o Bożym Miłosierdziu, pisała, że: „Bóg pragnie, aby ludzie wierzyli w Jego Miłosierdzie, oczekiwali wszystkiego od Jego dobroci i nigdy nie wątpili w Boże przebaczenie” [20]. Orędzie o Bożym Miłosierdziu w formie przekazanej przez siostrę Faustynę Kowalską kleryk Folejewski poznał

w 1952 roku, gdy wstąpił do wyższego seminarium duchownego księży pallotynów, a bardziej szczegółowo w 1955 roku, gdy przyjechał studiować teologię do seminarium w Ołtarzewie pod Warszawą. Pallotyni, obok księży marianów, mają ogromne zasługi w szerzeniu kultu Bożego Miłosierdzia, na długo zanim został uznany przez Kościół. Robili to już w czasie drugiej wojny światowej w Polsce i za granicą. W 1948 roku na prośbę sióstr z Łagiewnik generał zakonu pallotynów ksiądz Krzysztof Turowski wyznaczył nawet postulatora i wicepostulatora procesu informacyjnego siostry Faustyny Kowalskiej. Postulatorem został ksiądz Alojzy Żuchowski, ale pracy nie dokończył, gdyż nie było po temu ani atmosfery w Kościele (do Stolicy Apostolskiej napływało coraz więcej pytań i skarg w związku z błędami w spontanicznie rozwijającym się kulcie Bożego Miłosierdzia), ani warunków w Polsce (zaczynał się stalinizm i walka Kościoła o przetrwanie). W Ołtarzewie Feliks Folejewski słuchał wykładów duchownych, którzy stali się propagatorami kultu Bożego Miłosierdzia, między innymi księży Edmunda Boniewicza, Stanisława Wierzbicy, Michała Kordeckiego. O tym, jak dużą wagę już wówczas ołtarzewscy pallotyni przywiązywali do orędzia o Bożym Miłosierdziu, świadczy figura Jezusa Miłosiernego ustawiona w seminaryjnym kościele w 1951 roku. To ostatnia, wykonana w piaskowcu, praca znanego rzeźbiarza profesora Wojciecha Durka. W 1956 roku kleryk Feliks Folejewski zawiesił na niej wotum.

– To było srebrne serduszko. Zewnętrzny znak wewnętrznego powierzenia się Bożemu Miłosierdziu. Nie wiedziałem, że jest to zapowiedź tego wszystkiego, co będzie się działo z moim fizycznym sercem. A zwłaszcza przeżywania mojego życia jako daru Bożego Miłosierdzia.

Przez niemal trzydzieści lat pracy kapłańskiej ksiądz Feliks Folejewski nie miał żadnych problemów z układem krążenia. Jako wykładowca w seminarium w Ołtarzewie, ojciec duchowny kleryków, duszpasterz grupy Rodzina Rodzin prowadził rekolekcje, pielgrzymki, wędrował po górach. Żył bardzo aktywnie, w ciągłych rozjazdach, w pośpiechu. Pierwsze oznaki choroby wieńcowej poczuł jesienią 1979 roku podczas zawodów sportowych w seminarium. Uczestniczył, jak co roku, w biegu na sto metrów. Ale po raz pierwszy zdarzyło się, że dobiegł ostatni. I bardzo zmęczony. Wkrótce po jednym z wykładów studenci wynieśli go z sali. Jeszcze nie wiedział, co mu jest. W styczniu 1980 roku pojechał do sióstr do Łagiewnik, by wygłosić ośmiodniowe rekolekcje. Tam dostał zapalenia tęczówki i zapalenia żył. Do Ołtarzewa wrócił chory. A miało być jeszcze gorzej. Dwa miesiące później przeszedł pierwszy zawał serca. Nie miał jeszcze czterdziestu sześciu lat. Do szpitala trafił ze stanem przedzawałowym. 10 marca 1980 roku nastąpił pierwszy zawał. 27 marca przeszedł kolejny – rozległy, w nomenklaturze lekarskiej zwany pełnościennym. To wtedy doświadczył śmierci klinicznej.

– Widziałem przed sobą światło w formie kręgu, które miało kolor lipcowego miodu – opowiada o przeżyciach, które są znane nielicznym. – Nie czułem strachu. Przeciwnie, miałem poczucie ulgi. Nic mnie nie bolało. Szedłem w kierunku tego światła. Miałem świadomość, że jestem. Jestem – podkreśla. – W pewnym momencie wszystko się zatrzymało. Obudziłem się.

Salowa, pani Helenka, nazajutrz powitała go słowami: „Kłóciłam się z Panem Bogiem, że ksiądz nie może umrzeć”.

– Nigdy nie pytałem Boga: dlaczego? Nie wadziłem się o to – zapewnia ksiądz Feliks. – Nie mam wątpliwości, że ten zawał był mi wtedy potrzebny. To była Boża ingerencja. Ona ocaliła moje życie duchowe, moją

drogę kapłańską. Tamtego dnia powtórnie narodziłem się duchowo. A za to, że przeżyłem, Bogu dziękuję. Otrzymałem raz jeszcze życie na kredyt – mówi z pokorą.

Wysoki, postawny nie wygląda ani na swoje osiemdziesiąt lat, ani na człowieka schorowanego.

Od tamtego dnia, gdy doświadczył śmierci klinicznej, minęły trzydzieści cztery lata. Zawał serca, który wówczas przeszedł, nie był ostatni. Do kolejnego, równie rozległego, doszło dwa i pół roku później, 31 grudnia 1982 roku. Kończyła się akurat kapituła prowincjalna zgromadzenia w Ołtarzewie. Nie było dziełem przypadku – wierzy ksiądz Feliks – że na sali był lekarz, dziś arcybiskup Henryk Hoser, który wrócił z Rwandy. I że wezwana karetka pogotowia przyjechała na tyle szybko, że jeszcze przytomny powiedział, by wieźć go nie do szpitala w pobliskim Pruszkowie – wiadomo, w Sylwestra oddziały pracują na pół gwizdka – ale prosto do szpitala przy ulicy Spartańskiej w Warszawie. Na pewno dziełem przypadku nie mogło być i to, że z dyżuru schodziła właśnie doktor Blanka Mamot, której pacjentem był w 1980 roku. Lekarka, widząc nieprzytomnego księdza Feliksa, poszła z powrotem na oddział.

Ksiądz Folejewski do klasztoru wrócił dopiero w lipcu 1983 roku. Po operacji wszczepienia bajpasów. Najpierw długo leżał w szpitalu kardiologicznym w Aninie, a w maju został przewieziony do kliniki w Badkreuzingen koło Freiburga w Niemczech. Było to możliwe dzięki współpracy między Kościołami w Polsce i w Niemczech oraz pomocy katolików niemieckich. W Polsce leczenie metodą bajpasów dopiero się rozpoczynało, w Niemczech lekarze mieli już w tej dziedzinie praktykę. Operującemu go profesorowi Paulowi Schmuzigerowi ksiądz Feliks powiedział, że jego serce jest w ręku Boga, a podczas operacji będzie w rękach profesora. „Moje ręce też są w ręku Boga” – usłyszał

w odpowiedzi. Operację przeszedł 16 czerwca 1983 roku, akurat w dniu, w którym Jan Paweł II rozpoczynał w Warszawie drugą pielgrzymkę do Polski.

Bajpasy pomogły, ale przecież nie uleczyły. Po nieco większym wysiłku, a chyba zawsze po rekolekcjach, które poświęcał Bożemu Miłosierdziu, ksiądz Feliks trafiał na oddział intensywnej opieki medycznej szpitala kardiologicznego w Aninie. Powodem były częstoskurcze. Właściwie we wszystkie uroczystości kościelne, które dla każdego kapłana są dniami intensywnej pracy, lądował na OIOM-ie. Kiedyś pielęgniarka oddziałowa w Aninie Krystyna Nowak przytomnie stwierdziła: „I po co ksiądz dobrodziej wychodzi, przecież zaraz do nas wróci”. Rzeczywiście, wracał. Często. Mimo choroby i ryzyka, jakie niosła daleka podróż, w kwietniu 1993 roku pojechał na beatyfikację siostry Faustyny do Rzymu. Faustynki – jak mówi o niej czule. Po dwudziestu ośmiu latach od rozpoczęcia w Krakowie procesu beatyfikacyjnego przez arcybiskupa Karola Wojtyłę on sam już jako papież Jan Paweł II 18 kwietnia 1993 roku ogłosił siostrę Faustynę Kowalską błogosławioną.

– W czasie uroczystości na placu Świętego Piotra poddałem Jezusowi taką myśl: „Panie Jezu, jeśli dasz mi siły, to wszystkie je poświęcę na głoszenie Bożego Miłosierdzia”.

Wzorem w tej dziedzinie dla księdza Feliksa był Francuz ojciec Mateo, wielki apostoł Serca Jezusowego według objawień świętej Małgorzaty Alacoque. Wydawało mu się jednak, że Jezus jego myśli nie podjął, bo niedługo po powrocie z Rzymu znów znalazł się w szpitalu w Aninie. W czerwcu lekarze orzekli, że jedynym ratunkiem dla niego jest przeszczep serca. Rozpoczęły się przygotowania do zabiegu. I czekanie na dawcę. Ksiądz Feliks ma rzadką grupę krwi, A2Rh–, mógł więc długo czekać, ale dzięki temu miał więcej czasu na podjęcie decyzji. Bo niby czekał na

przeszczep, modlił się za człowieka, który miał dać mu swoje serce, a jednocześnie nie bardzo chciał się na to zgodzić.

– Nie odpowiadało mi to psychicznie – wyznaje. – Wiedziałem, że po przeszczepie też trzeba będzie odejść, że to jest czasowe rozwiązanie.

Operacja miała się odbyć w szpitalu kardiologicznym w Krakowie-Prokocimiu. Miał jeszcze na tyle siły, że lekarze się zgodzili, aby pojechał do Łagiewnik na ośmiodniowe indywidualne rekolekcje.

– Siedziałem w kaplicy naprzeciwko obrazu Jezusa Miłosiernego i się modliłem: „Panie Jezu, ja wiem, że nie ma żadnego problemu, żebyś jednym promieniem Twego serca przeczyścił moje zamknięte tętnice. Panie Jezu, jeżeli chcesz, to je prześwietl. Wiem, że możesz”. Ale Jezus nie chciał. Miał prawo nie chcieć – mówi z pokorą.

Na chwilę przerywamy rozmowę. Ksiądz znika w sąsiednim pokoju. Przynosi zeszyt o nieco spłowiałych kartkach. To zapis myśli, które towarzyszyły mu podczas rekolekcji w Łagiewnikach w 1993 roku.

– Nie zaglądałem do tego od kilkudziesięciu lat – mówi zadowolony, że znalazł je szybko. Na głos czyta urywki odręcznych notatek.

27 września, poniedziałek, drugi dzień rekolekcji: „Zjawia się ból wieńcowy. Znany towarzysz mojej drogi. Różne myśli. A może to znak, że musi być przeszczep? Koronka do Bożego Miłosierdzia. (...) Będę żył tak, jak Pan zechce. Na przeszczep się nie godzę. Ratowanie życia za wszelką cenę, to mi nie odpowiada. Najważniejszy jest Jezus, a nie plany, propozycje”.

29 września, środa, czwarty dzień rekolekcji: „Fizycznie czuję się słabo. (...) Nawet w takiej sytuacji bólu przeszczep serca nie jest dla mnie rozwiązaniem. Raczej jeśli Pan chce, to niech mnie zabierze do siebie. To nie jest lęk przed operacją, ale przekonanie, że najważniejszy jest Jezus, a nie długowieczne życie. Czuję obecność przenikającą Jezusa. Modlitwa,

skupienie, pokój trwa godzinami. Jest mi dobrze przed Panem. Światło Jego łaski. Dziś słyszałem rozmowę, słowa Jezusa i moje odpowiedzi na modlitwie (...)”.

30 września, czwartek, piąty dzień rekolekcji: „Jezu, ufam Tobie. O mój Boże, gotów jestem na wszelką Twą wolę, jakkolwiek mną pokierujesz, błogosławić będę. Wciąż wraca troska, żeby rozpoznać, żeby nie wybrać fałszywie kierunku życia, wciąż jawi się odpowiedź na propozycje przeszczepu serca. Jedno wiem na pewno, że są to rekolekcje życia. Bóg jest mi wszystkim. Zawierzam się Jemu”.

Szóstego dnia rekolekcji, 1 października, wieczorem ksiądz Folejewski był jak co dzień w kaplicy przed obrazem Jezusa Miłosiernego. Modlił się o pokój serca i o światło: co robić? Godzić się na przeszczep czy nie?

– I wtedy usłyszałem wewnętrzny głos: „Twój przeszczep serca będzie miał na imię »Jezu, ufam Tobie«”.

Te słowa, wryte w umysł i w serce – nie w to obolałe, ale w samo jądro jego jestestwa – towarzyszą mu nieustannie.

W notesie tego dnia zapisał: „Z tych rekolekcji wychodzę całkowicie przemieniony przez miłość Bożą. Dusza moja poważnieje i mężnieje. Rozpoczyna nowe życie, chociaż na zewnątrz to życie niczym się nie będzie różniło. Tu dokonuje się operacja przeszczepu serca oraz odpowiedź Chrystusa. Uzdrowienie duchowe było mi konieczne, dokładnie widzę, rozumiem plan Boży. Od błogosławionego 12 czerwca [początek pobytu w szpitalu w Aninie – przyp. E.Cz.] trwa zdrowienie. Szczyt tutaj, w Łagiewnikach, w sanktuarium Bożego Miłosierdzia. Tu dokonuje się operacja przeszczepu serca poprzez zaufanie. (...) Boski lekarz wiedział, że stołem operacyjnym będzie ołtarz w cudownym miejscu. Teraz widzę jasno, przecież te słowa z *Dzienniczka* cały czas mi towarzyszyły. Czytałem je innym, były światłem. Teraz wiem, że spełniło się to, co Jezus powiedział s.

Faustynie: »Sam jestem sprawcą wyjazdu twojego. Wiedz o tym, że oko moje śledzi każdy ruch serca twego z wielką uwagą. Biorę cię na tę osobność, abym sam kształtował serce twoje według przyszłych zamiarów swoich. Czego się lękasz, jeżeli jesteś ze mną?« [21]. Tylko Ty, Panie, tylko Ty. Przy Twoim Sercu dojrzała ma dusza”.

To był moment przełomowy. Za cztery dni, 5 października, wypadała rocznica śmierci beatyfikowanej w kwietniu 1993 roku siostry Faustyny. Po raz pierwszy w sanktuarium w Łagiewnikach i w całej Polsce obchodzono jej liturgiczne wspomnienie. W sanktuarium trwały przygotowania do uroczystości.

Ostatniego dnia rekolekcji ksiądz Folejewski napisał: „O mój Boże, rozważając wszystkie dobrodziejstwa przy Najświętszym Sercu Twoim, odczuwam ogromną potrzebę szczególnej wdzięczności”.

– Jak to dobrze, że ja tych notatek nie zniszczyłem – zauważa zdumiony.

Nazajutrz, po skończonych rekolekcjach, 3 października 1993 roku, ksiądz Folejewski pojechał do kliniki w Prokocimiu, by powiedzieć lekarzom: „Dziękuję. Przeszczepu nie będzie”.

– Ja nie doświadczyłem cudownego uzdrowienia, ale cudu życia. Cud Bożego Miłosierdzia polega u mnie nie na uzdrowieniu, bo moje serce jest wciąż bardzo słabe, ale na tym, że normalnie żyję i pracuję. Od tego czasu minęło już ponad dwadzieścia lat – mówi.

Lekarz Ewa Bujnowska, kardiolog, zna księdza Folejewskiego jeszcze dłużej. Poznała go bodaj w 1980 roku, w szpitalu przy ulicy Goszczyńskiego w Warszawie. Od 1983 roku, gdy po kolejnym zawale pojawił się w instytucie kardiologii w Aninie, przez wiele lat była jego lekarzem prowadzącym. Choć jest już na emeryturze, nadal czuwa nad jego zdrowiem.

– Serce księdza jest bardzo chore. Jest ogromnie uszkodzone, zdeformowane, ma słabą kurczliwość. Geometria komory z powodu tętniaka jest tak zmieniona, że zdolność pompowania krwi jest wybitnie upośledzona. Nie wiadomo, w jaki sposób przy takim stanie serca od ponad trzydziestu lat możliwe jest utrzymanie krążenia, które pozwala na ponadprzeciętną aktywność – mówi doktor Bujnowska. – Oczywiście jest możliwe, że nastąpiła adaptacja do wysiłku i wytworzyło się krążenie oboczne. Znane są podobne przypadki, ale nie każdemu jest to dane. Przy tak uszkodzonym sercu jak to księdza i tak intensywnym życiu, jakie on prowadzi, najczęściej następuje kolejny zawał, który może spowodować zatrzymanie serca i zgon albo prowadzące do śmierci lub kalectwa ciężkie zaburzenia rytmu, którym nie zawsze podoła wszczepiony kardiowerter. U księdza Feliksa tego nie ma. Mam wrażenie, że jest to rzecz nadprzyrodzona. Graniczy z cudem, że przy tak słabym sercu ksiądz przeżył liczne zabiegi: bajpasy, stenty, wszczepienia kardiowerterów, i że może pracować nawet bardziej intensywnie niż przeciętny zdrowy człowiek. Tak, można to uznać za cud – puentuje.

Ksiądz Folejewski nie ma wątpliwości, że jego życie w chorobie to cud Bożego Miłosierdzia. I efekt wysiłków wielu lekarzy i pielęgniarek.

– Wciąż się uczę, co znaczy: „Jezu, ufam Tobie”. Uczę się od siostry Faustynki i świętego Jana Pawła II – wymienia najlepsze wzory.

Z wizytą Jana Pawła II, wielkiego czciciela Bożego Miłosierdzia, w sanktuarium w Łagiewnikach w sierpniu 2002 roku związany jest drugi ważny sen księdza Feliksa.

– Sen miał trzy odsłony. W pierwszej widziałem grupę osób ze wspólnoty Rodzina Rodzin, którą kiedyś prowadziłem. Jedna z osób mówiła o mnie wiele zła i trochę dobra. Słyszałem to i byłem zdruzgotany.

„Jak ja się im teraz pokażę?”, myślałem. Nastąpiła druga odsłona: widziałem te same osoby, ale pośrodku nich stał Jezus Miłosierny, który opowiadał o mnie i dobro, i zło, ale oni słyszeli i nie słyszeli, widzieli i nie widzieli. Nie słyszeli i nie widzieli tego, co oddałem Bogu w sakramencie pokuty. W trzeciej odsłonie widziałem siebie, jak z radością odmawiam Koronkę do Miłosierdzia Bożego. Odmawiałem ją tak głośno przez sen, że obudziłem mojego współlokatora – śmieje się. – Rano, o godzinie 10.00 Jan Paweł II w bazylice Bożego Miłosierdzia odprawił mszę świętą, a podczas kazania powiedział: „Przyszliśmy tutaj do tego łagiewnickiego sanktuarium, ażeby na nowo w Chrystusie odsłonić oblicze Miłosiernego Boga – Ojca wszelkiej pociechy, ażeby oczyma duszy w głębi spojrzenia Chrystusa zobaczyć całe swoje życie i światło łaski, po tylekroć nam udzielane w przeszłości i dziś, i w dzień ostatni” – ksiądz Feliks cytuje z pamięci. – Wiedziałem, że te słowa są dla mnie.

– Czym jest Boże Miłosierdzie? – pytam księdza Feliksa.

– Miłosierdzie jest cudem Boga pochylającego się nad człowiekiem, wydobywającego dobro spod różnych nawarstwień zła po to, aby uczynić nas piękniejszymi.

Ksiądz Folejewski mówi, że szczytem zaufania Bogu są słowa siostry Faustyny zapisane w *Dzienniczku*: „Dasz mi zdrowie, dziękuję. Dasz chorobę, dziękuję. Dasz mi długie życie, dziękuję. Dasz mi śmierć, dziękuję”.

– Ja jeszcze tego nie umiem, ciągle się uczę. Dla mnie słowa: „Jezu, ufam Tobie”, znaczą, że za wszystko dziękuję. Jeżeli nie dziękuję, to znaczy, że nie ufam, czyli uważam, że Bóg daje mi coś złego. To nie jest łatwe. Powiedzenie słów: „Jezu, ufam Tobie”, z pełną świadomością ich znaczenia jest niezwykle trudne. My czasem powtarzamy lekko: „Jezu, ufam Tobie”, „Jezu, ufam Tobie”, bo lekarze, psychologowie nie pomogli,

to może Jezus pomoże. Często ludzie mnie pytają: „Jak się ksiądz czuje? ”, ja zawsze odpowiadam: „Jezu, ufam Tobie”. „To już tak źle z księdzem? ” – chcą wiedzieć. Mówię: „Nie, tak dobrze”.

---

20 E.K. Czaczkowska, *Siostra Faustyna. Biografia Świętej*, Kraków 2012, s. 255.

21 M. Faustyna Kowalska, *Dzienniczek. Miłosierdzie Boże w duszy mojej*, paragraf 797.

Przy Magdzie stoi anioł

W centrum siedzi młoda dziewczyna na wózku inwalidzkim. Uśmiecha się. To Magda. Obok niej stoją mama Elżbieta, ojczym Andrzej i siostra Małgorzata. Nie byłoby w tym zdjęciu nic zaskakującego, gdyby nie to, że Magda nie ma części czaszki. Fragmentu lewej półkuli mózgu. Została ścięta jak maczetą. Nie jest to trik fotografa ani wynik obróbki zdjęcia w Photoshopie. Tak wyglądała Magda Śladowska w szpitalu w Baltimore w USA latem 2003 roku.

Spotkałyśmy się dziesięć lat później, w gorące sierpniowe popołudnie 2013 roku, w Krakowie. Magda siedzi naprzeciwko mnie z całą głową. I śmieje się.

– Ona mówi, pani Ewo. Magda mówi. To jest cud. A przecież wycięli jej ośrodek mowy. Była jak warzywo – Elżbieta Kolańska, mama Magdy, mówi dużo, za dwie.

– To jest cud Pana Boga – precyzuje Magda.

Nikt, kto nie zna jej historii, nie domyśli się, że Magda nie mówiła. I że nigdy nie miała mówić. Że Magda nie chodziła. I nie miała chodzić. Że miała bezwładne ręce. I nie miała nimi poruszać.

Gdy w 2002 roku dwudziestotrzyletnia Magdalena Śladowska, studentka krytyki teatralnej Uniwersytetu Jagiellońskiego, jechała na

stypendium do USA, wiedziała, że odmieni ono jej życie. Nie domyślała się, jak bardzo.

– Magda była utalentowana muzycznie i aktorsko, miała doskonałe pióro – pisała sztuki teatralne i poezje, śpiewała w scholi, prowadziła ze mną dyskusyjny klub filmowy w duszpasterstwie akademickim przy kościele Świętej Anny... – wylicza ojciec Michał Legan, paulin, który przyjaźni się z Magdą od czasów, gdy spotkali się w szkole średniej.

Na targi edukacyjne w Krakowie Magda wpadła w ostatniej chwili, tuż przed ich zakończeniem. Bez trudu zainteresowała sobą przedstawiciela Towson University w Baltimore, który szukał w Europie młodych talentów.

– Interesowały mnie musicale. Chciałam zobaczyć, jak wystawiają je Amerykanie, i robić to z powodzeniem w Polsce – przypomina sobie dawne plany.

Dostała stypendium. Do USA pojechała pod koniec lipca 2002 roku. W pośpiechu. Jak zawsze miała dziesiątki zajęć. Tuż przed wyjazdem wzięła jeszcze udział w nagraniu teledysku do piosenki *Zaufaj Panu już dziś*, którą Kościół krakowski przygotował na przyjazd Jana Pawła II i konsekrację nowej bazyliki Bożego Miłosierdzia w Łagiewnikach. Ale w papieskiej pielgrzymce już nie uczestniczyła. Zabrała natomiast z Łagiewnik obrazki z wizerunkiem Jezusa Miłosiernego i świętej Faustyny. Rozdawała je później studentom w Baltimore.

– Studiowałam reżyserię. Bardzo to było ciekawe.

Nie trwało jednak długo. Wieczorem 5 lutego 2003 roku Magda wybrała się z przyjaciółmi na imieniny koleżanki Dobrochny. Jechali w piątkę toyotą yaris. Prowadził Kubańczyk Santiago. W pewnej chwili skręcił w prawo, ale zaaferowany rozmową nie włączył kierunkowskazu. Jadący za nimi SUV nie miał szans wyhamować. Uderzył w toyotę w miejscu, w którym siedziała Magda.

– Z wypadku nie pamiętam nic. Zupełnie nic.

Czwórka pozostałych pasażerów wyszła bez szwanku. Nieprzytomną Magdę helikopter zabrał do szpitala.

Następnego dnia Elżbieta Kolańska odebrała telefon z amerykańskiego konsulatu w Krakowie. Depesza, która nadeszła ze Stanów, brzmiała dramatycznie: „Magdalena Śladowska uległa wypadkowi samochodowemu 5 lutego 2003 roku w Baltimore Maryland. Jest pacjentką jednostki intensywnej opieki R. Adams Cowley Shock Trauma Center w Baltimore. Jej stan jest niestabilny i krytyczny, na granicy życia".

Babcia Magdy Zofia, która modli się w sąsiednim pokoju, tamtego dnia zachowała największą przytomność umysłu. „I co, będziesz płakać? Módl się!" – niemal krzyknęła do córki.

Nazajutrz Elżbieta Kolańska była już w USA. Pod budynkiem uniwersytetu, w którym Magda studiowała, stali studenci, znajomi i nieznajomi, palili świeczki, kładli kwiaty. Czuwali.

– Magda była nieprzytomna. Leżała podłączona do respiratora. Głowę miała uszkodzoną i opuchniętą. Z powodu wysokiego ciśnienia oczy wychodziły jej na wierzch. Lekarze powiedzieli, że nic nie da się zrobić – wspomina Elżbieta pierwszą rozmowę z lekarzami w obecności przedstawicieli szkoły, w której uczyła się córka.

Później dowiedziała się, że lekarze planowali pobrać od Magdy narządy do przeszczepów.

Matka zaczęła walczyć o życie córki.

– Profesor Bizhan Aarabi, z pochodzenia Arab, powiedział mi, że nic nie da się zrobić. Zapytałam go: „A gdyby na tym łóżku leżał twój syn, to co byś zrobił? Przeprowadziłbyś operację?". Powiedział: „Tak". „To rób operację, a my będziemy się modlić" – przypomina sobie decydującą rozmowę.

Po przyjeździe Elżbieta powiesiła nad łóżkiem Magdy obrazek Jezusa Miłosiernego. Taki sam jak te, które Magda pół roku wcześniej przywiozła z Łagiewnik. Matka nieprzerwanie czuwała przy łóżku córki. I nieprzerwanie się modliła. Odmawiała Koronkę do Miłosierdzia Bożego na zmianę z Różańcem i Nowenną do Miłosierdzia Bożego.

Operacja trwała czternaście godzin. Lekarze usunęli obumarłe tkanki mózgu i uszkodzoną kość czaszki. To ustabilizowało wysokie ciśnienie śródczaszkowe. Tylko tyle mogli zrobić.

– Po operacji lekarz powiedział mi: „Usunęliśmy ośrodek mowy". A ja go pytam: „Czy ona będzie mówić?". Lekarz zdziwiony upewnił się: „Ale ty wiesz, co do ciebie mówię?". „Wiem, co do mnie mówisz, ale czy Magda będzie mówić?" – relacjonuje Elżbieta zaskakującą wymianę zdań. – Nie wyobrażałam sobie, że córka mogłaby nie mówić.

Dziewczyna była nadal w śpiączce. Leżała podłączona do wielu urządzeń podtrzymujących życie, z monitorami gotowymi odnotować nawet najmniejsze drgnienie funkcji organizmu. Przy łóżku czuwała matka. Modliła się głośno.

– Nie wszystkim to się podobało. Szpital zaangażował dla mnie tłumaczkę, która była buddystką. Gdy modliłam się głośno, mówiła z wyrzutem: „Co ty robisz? Tutaj jest Ameryka!". A ja jej odpowiadałam, że właśnie dlatego, że tu jest Ameryka, niech ona wykonuje swoje obowiązki i nie wtrąca się do mnie. Przy łóżku Magdy czuwał też... Magda, jak miał na imię ten chłopiec zaangażowany uczuciowo?

– Jason.

– Jason. Ty masz lepszą pamięć ode mnie – mówi Elżbieta nie tyle zdumiona, ile zadowolona. Po chwili zwraca się do mnie: – On przychodził o 9.00 i wychodził o 20.00. Całe dnie siedział przy łóżku Magdy albo leżał na podłodze. Robił notatki, zapisywał wszystko, co mówili lekarze

i pielęgniarki. To był bardzo dobry chłopiec. Ale nie mamy już z nim kontaktu.

Nad łóżkiem córki Elżbieta Kolańska wieszała nowe obrazki z wizerunkiem Jezusa, Maryi, świętej Faustyny, Ducha Świętego – takie, jakich wiele widać za szybą kredensu w ich krakowskim mieszkaniu. Obok pojawiły się zdjęcia z rodzinnego albumu, fotografie Magdy przed wypadkiem, z audiencji u Jana Pawła II... Miały pobudzić pracę jej zmysłów, a poprzez powrót do znanych momentów życia pomóc się wybudzić. Ale poprawy nie było. Od operacji minął miesiąc. Monitory nie odnotowały żadnej, nawet najmniejszej, zmiany. Lekarz poinformował matkę, że Magda zostanie przewieziona do ośrodka dla osób w śpiączce.

– „Ale Magda wstanie” – oświadczyłam stanowczo lekarzowi. Byłam totalnie przerażona tym, co powiedział. Nie przyjmowałam tego do wiadomości – opowiada Elżbieta Kolańska o decydujących minutach życia Magdy. – Zaczęłam się bardzo gorąco modlić. Oddałam Magdę Panu Jezusowi. Powiedziałam: „Panie Jezu, jeżeli zechcesz, to tylko Ty możesz ją uratować. Ty wiesz najlepiej, jak Magda Ciebie kocha i jak Ciebie kochała”. Po tych słowach zaczęłam odmawiać Koronkę. I w tym momencie Magda się obudziła! Zaczerpnęła powietrza, a monitor respiratora zaczął pokazywać jakieś cyferki.

Każde zdanie, każde słowo opisujące tamtą sytuację matka Magdy przeżywa na nowo. Tak musi być. I tak zostanie do ostatniego wspomnienia tamtej chwili.

– *There is an angel standing next to Magda!* Przy Magdzie stoi anioł! – krzyknęła pielęgniarka, po którą pobiegła matka. – Magda do nas wraca!

Pielęgniarka zawołała lekarza. Magda powoli się wybudzała. Powiedzieć, że lekarze byli zaskoczeni, szczególnie neurochirurg profesor Bizhan Aarabi, to mało. Byli zszokowani. Oczywiście wciąż nie było

wiadomo, w jakim Magda będzie stanie, ale wracała do życia. Zamiast do ośrodka dla osób w śpiączce przewieziono ją do Kernan Hospital. Tam szybko zaczęła odzyskiwać funkcje życiowe. Już po tygodniu mówiła pierwsze słowa, jeszcze niewyraźnie, jak dziecko, ale z każdym dniem było widać postępy. Coraz więcej sobie przypominała, coraz więcej poznawała.

– To wszystko od Pana Boga. Otworzył moje serce i wszystko zaczęło funkcjonować. – Magda nie przestaje się uśmiechać.

Wspomina z wdzięcznością doktora – Afroamerykanina, którego nazwiska nie jest w stanie sobie przypomnieć.

– On podawał mi dłoń, jakby mówiąc: „Nie obawiaj się, wszystko jest i będzie *okay*". Czułam, że w tym geście są myśli jego i anioła. Pamiętam też, gdy mówił: „Gdy się stoi naprzeciwko Magdy, widać, ale niezbyt wyraźnie, że lewa część jej czaszki jest lekko obniżona w stosunku do prawej".

– Z medycznego punktu widzenia Magda nie powinna żyć, pamiętać, mówić. Ona została wyrwana śmierci w ostatniej chwili dzięki wytrwałej modlitwie wielu osób i sile wiary jej mamy – ojciec Michał Legan nieraz rozpatrywał to, co się stało, w kontekście duchowym.

O uzdrowienie Magdy modlili się studenci z duszpasterstwa akademickiego, dominikanie i jadwiżanki wawelskie – jedną z nich była polonistka Alicja Rutkowska, która uczyła Magdę w szkole średniej. Modlili się paulini z ojcem Michałem Leganem, siostry Zgromadzenia Matki Bożej Miłosierdzia w Łagiewnikach, w których kaplicy Magda bywała przed wyjazdem do Stanów, modlili się członkowie Ruchu Światło-Życie, z którym związana była jako nastolatka. Modliła się babcia Zofia, przyrodnia siostra Małgosia, ojczym Andrzej. I modliła się matka.

– Lekarze byli zaskoczeni szybkimi postępami Magdy. Nie potrafili wytłumaczyć, dlaczego jej organizm tak szybko się regeneruje. Przyjeżdżali

profesorowie z innych ośrodków medycznych w Stanach, oglądali Magdę, analizowali jej przypadek – opowiada Elżbieta Kolańska.

– Pan Bóg otwierał mi serce i mózg. Moja świadomość się otwierała. Codziennie coraz więcej widziałam i czułam – wyjaśnia Magda z perspektywy wiary, nie medycyny.

– To jest łaska Boża, że po usunięciu zniszczonych komórek mózgowych inne obszary mózgu się uaktywniły i przejęły ich funkcje. To jest cud, że Magda chodzi, mówi, pamięta. – Małgorzata Kolańska, przyrodnia siostra Magdy, studentka IV roku farmacji na Uniwersytecie Śląskim, łączy obie perspektywy: medyczną i duchową.

Magda mówi wolniej niż przed wypadkiem, czasem szuka w pamięci jakiegoś słowa. Ale nie tylko mówi i pisze po polsku oraz po angielsku. Pamięta też sporo z łaciny, trochę niemieckiego, francuskiego, rosyjskiego, których to języków uczyła się przed wypadkiem.

– Magda jeszcze w szpitalu zaczęła być moim tłumaczem – mówi z dumą matka. – Tłumaczyła to, co mówili do mnie lekarze. Oni nie mogli w to uwierzyć, więc wie pani, co zrobili? – zawiesza głos. – Zatrudnili licencjonowaną tłumaczkę, której zadaniem było sprawdzanie, czy Magda dobrze tłumaczy. Wyglądało to tak: lekarz mówił po angielsku, Magda tłumaczyła jego słowa na język polski, lekarz pytał tłumaczkę: „*Okay?*”, ona odpowiadała: „*Perfect*”.

Profesor Bizhan Aarabi, dyrektor oddziału neurochirurgicznego szpitala Shock Trauma, współpracownik Wydziału Medycyny Uniwersytetu Maryland, który przez półtora roku opiekował się Magdą, napisał: „Magdalena przeszła cudowne uzdrowienie funkcji organizmu (...). Umiejętność mówienia jest u Magdaleny niemal nienaruszona”. Te słowa pochodzą z oświadczenia, jakie w sierpniu 2004 roku wydał dla Towson

University, gdzie Magda zamierzała kontynuować studia. Podjęła je, ale na tamtym etapie okazało się to jednak zbyt trudne.

– Profesor Aarabi przyznał, że w swojej dwudziestoletniej praktyce lekarskiej nigdy nie miał takiego przypadku. Uznał, że uzdrowienie Magdy nie jest jego zasługą, ale innej Siły. I od tego czasu zaczął się odnosić do niej z szacunkiem. Podobnie jak wiele innych osób – mówi Elżbieta Kolańska.

Obie opowiadają, że gdy rozeszła się wieść o cudownym uzdrowieniu studentki z Polski, zaczęli ją odwiedzać pacjenci szpitala, lekarze i pielęgniarki, studenci – wszystkich narodowości, religii i kultur. Wciąż wspominają chór baptystów, który dał dla Magdy koncert w szpitalu. Z wdzięcznością mówią o Cecylii Barczyk, znanej wiolonczelistce, która najpierw klęczała przy łóżku Magdy z różańcem, a potem dała na jej rzecz koncert w polskim konsulacie w Waszyngtonie. Niektórzy przychodzili, licząc, że skoro Magda tak wiele może u Pana Boga, również im wyjedna łaski.

– Dla mnie był to już czas refleksji, myślałam o sobie i o Bogu. Był to czas modlitwy. – Magda przypomina sobie pierwsze miesiące po wybudzeniu ze śpiączki.

Szybko zaczęła mówić, ale wciąż jeździła na wózku inwalidzkim. I nadal nie miała części czaszki. Fragmenu lewej półkuli mózgu z usuniętym ośrodkiem mowy. Nosiła specjalny ochronny hełm, który mama obwiązywała kolorowymi chustami. Lekarze przygotowywali się do zabiegu rekonstrukcji czaszki. Siedem razy plastikowy implant był odrzucany przez jej organizm. Każdą operację od kolejnej dzieliło pół roku. Za ósmym razem implant się przyjął. Jest świetnie zrobiony. Na zewnątrz w ogóle nie widać, że część czaszki jest sztuczna. Magda ma wprawdzie po lewej stronie czoła guz, nieco większy niż typowy obrzęk po uderzeniu, ale

może go przykryć włosami. Swoimi włosami – ciemnymi i gęstymi, które rosną równo na całej powierzchni głowy.

– Zrobili to świetnie – przyznaje Elżbieta Kolańska. – Jestem pełna uznania dla wysokiej jakości pracy amerykańskich lekarzy i pielęgniarek. Spędziłyśmy w Baltimore ponad cztery lata. Magdzie, a także mnie, stworzono bardzo dobre warunki życia. Na jej operacje i leczenie wydano ponad osiemset tysięcy dolarów. – Matka Magdy może długo opowiadać o amerykańskim systemie opieki medycznej.

Do Polski obie wróciły w 2007 roku. Magda jeszcze na wózku inwalidzkim, ale niedługo później z niego wstała. Wróciła jej pełna sprawność w rękach i nogach.

– Nie mogłaś klęknąć, pamiętasz? Modliłaś się do świętego Rafała i sztywność minęła – mówi matka.

– Tak, to było już w Polsce.

Dziś Magda chodzi na spacery z kijami do *nordic walking*, by poprawić kondycję i schudnąć.

– Wciąż nas czymś zaskakuje – mówi jej siostra Małgorzata. – Znów gra na pianinie i to obiema rękami. Zaczęła uczyć się włoskiego, bo podoba jej się melodia tego języka.

Ci, którzy dawniej znali Magdę, nie odnajdą w niej jednak tamtej dziewczyny, którą oglądam na zdjęciu w legitymacji studenckiej – ruchliwej, żywiołowej, szczupłej, kreatywnej, z tysiącem zajęć, kontaktów i pomysłów. Ale widzą, że życie Magdy jest cudem. Niezwykłe jest przebywanie z trzydziestoczteroletnią dziś Magdą, osobą radosną i życzliwą światu. Widać, że źródło radości jest w jej wnętrzu.

– Przed wypadkiem angażowałam się w wiele spraw. Działałam w różnych ruchach, w duszpasterstwie akademickim, śpiewałam w chórze. Mój plan zajęć był bardzo napięty. Byłam wszędzie, a jednocześnie miałam

w sobie pustkę. Brakowało mi czasu na to, co najważniejsze: na modlitwę i lekturę Pisma Świętego. Nie miałam serca otwartego na Pana Boga – ocenia siebie sprzed lat. – Bóg mnie wyciągnął z duchowego dołka. Moje życie jest teraz dużo lepsze. Mam silną wiarę. I czuję się przez Boga bardzo kochana.

Siostra Magdy przyznaje, że po wypadku często zadawała sobie pytanie, dlaczego Magdę to spotkało. Właśnie ją.

– Byłam nawet obrażona na Pana Boga. Ale od Magdy i od mamy nigdy nie usłyszałam żadnej pretensji do Niego.

Magda codzienne jest na mszy świętej, czyta Biblię, odmawia brewiarz, wszystkie części Różańca, Koronkę...

Matka: – Cały dzień ma wypełniony modlitwami.

Córka: – Mam natchnienia z nieba i Boży plan zajęć.

Matka: – Gdy ktoś poprosi ją o modlitwę, to jest pewne, że będzie się za niego modliła. I dużo rzeczy wymodliła dla innych.

W jednym z wierszy sprzed wypadku Magda Śladowska napisała: „Być bez Jezusa to nie być”.

Kiedy się żegnam, w sąsiednim pokoju dziewięćdziesięciopięcioletnia babcia Magdy nadal się modli. Krucha fizycznie, skulona z różańcem w ręku. Trzy kobiety. Silne. Rozmodlone. Na takich stoi Kościół. I świat.

On jest w moich rękach

Była godzina 21.00, może trochę później, gdy czerwony ford escort pokonywał kolejny ostry zakręt w górach Osogowo, tuż za granicą dzielącą Jugosławię i Bułgarię. Wąska, wyboista droga biegła pod górę. Było ślisko. Zuk jechał szybko. Stracił panowanie nad kierownicą. Samochód wpadł na drzewo, odbił się od niego i zaczął spadać. Muhammed, który był tak gruby, że nie zapinał pasów, zdołał wyskoczyć z auta. Zuk poleciał z samochodem w przepaść. Trzysta metrów w dół. Na górze słychać było wybuch, a chwilę później widać słup ognia. Muhammed nie zszedł. Z powodu szoku albo strachu. Był pewien, że kolega nie mógł przeżyć. Zuk natomiast zapamiętał, że gdy spadał, ktoś przyszedł mu z pomocą. Wziął go na ręce. Wyniósł z płonącego auta. Zuk zapamiętał jego twarz i sylwetkę. Poznał go dopiero trzy lata po wypadku, który wydarzył się 27 maja 1991 roku.

– Trzy dni byłem nieprzytomny – opowiada. – Obudziłem się w szpitalu w Sofii. Potem dowiedziałem się, że majacząc, powtarzałem słowo „Dziękuję”. Dziękowałem komuś za uratowanie życia. Mówiłem po polsku. Dlatego personel szpitala sprowadził pracownika polskiego konsulatu, który zapytał mnie, skąd jestem. Odpowiedziałem, że jestem Albańczykiem z Kosowa. „Ale mówisz po polsku”. „Ale jestem z Kosowa”.

Zuk Karol Spanca, brunet o lekko siwiejących włosach i ostrych rysach twarzy, relacjonuje rozmowę, która przed laty dla niego również była niezrozumiała. Kiedy prowadzi mnie od furtki do domku letniskowego na obrzeżach Skierniewic, lekko utyka na jedną nogę. To również pozostałość po wypadku samochodowym, ale innym, sprzed roku.

Gdy w 1991 roku Zuk Spanca leżał w szpitalu w Sofii, w jego rodzinnej Okrašticy w Kosowie trwały przygotowania do pogrzebu. Po tym jak do wsi wrócił Muhammed z informacją o śmiertelnym wypadku, bliscy Zuka natychmiast pojechali na miejsce zdarzenia, w okolice Kyustendil w Bułgarii. Zobaczyli tylko kupę popiołu. Wzięli garść i wrócili do Kosowa. Wtedy, a była to niedziela 29 maja 1991 roku, nadszedł telegram z Sofii. Zuk żyje! Rodzina zamiast na cmentarz, pojechała do szpitala. Zuk wyszedł z niego już po dwóch tygodniach. Ale staw biodrowy miał ciągle w gipsie. Lekarze zapowiedzieli, że do końca życia będzie chodził o kulach. Leczył się jeszcze w Skopje w Macedonii, następnie kurował w sanatorium w kosowskim mieście Peć. Na stałe mieszkał w Okrašticy, gdzie siedemnaście hektarów dobrej ziemi, po części zajętej przez pastwiska, a po części plantacje warzyw, dawało pracę i wyżywienie kilku pokoleniom Spanców. Rok później na Bałkanach wybuchła wojna.

Dwudziestoośmioletni Zuk, który miał za sobą służbę w jugosłowiańskiej armii, dostał powołanie do wojska. Pomimo tego, że był inwalidą, chodził o kulach. Zuk nie chciał iść na wojnę, ale nie tylko z powodu niepełnosprawności.

– Nie potrafię zabijać ludzi – tłumaczy z prostotą. – Dlatego prosiłem Boga, abym nie musiał iść na wojnę.

Modlił się o to gorąco do Allaha. Był przecież dobrym muzułmaninem. Bóg zawsze był u niego na pierwszym miejscu. To pozwoliło mu przeżyć dziesięć koszmarnych lat u dziadków w Turcji, do których został oddany

tuż po urodzeniu wraz z bratem bliźniakiem. Zamiast miłości chłopcy dostawali codziennie pracę do wykonania, która była ponad ich siły. Wiara pomogła też żyć Zukowi po śmierci brata, który zmarł po zjedzeniu cukierków rozdawanych przez serbską milicję.

– Ja przeżyłem, bo nie uległem. Nie zmusili mnie do ich zjedzenia.

Zuk wierzył w jedynego Boga, modlił się pięć razy dziennie, pościł w ramadanie, dawał jałmużnę. Nie zdążył tylko odbyć pielgrzymki do Mekki, co należy do pięciu obowiązków wyznawców islamu. 13 września 1992 roku Zuk Spanca miał się stawić w koszarach w Sarajewie.

– W przeddzień wieczorem byłem już w łóżku, gdy usłyszałem głos, który powiedział: „Wstawaj”. Zerwałem się, ale nikogo nie było. Położyłem się więc, myśląc, że mi się przyśniło. Ale po raz drugi jakiś głos obudził mnie: „Wstawaj”. Zapytałem siostrę, która przyjechała do nas w odwiedziny i spała w tym samym pokoju, czy słyszała jakiś głos. Lekceważąco odpowiedziała, że odkąd miałem wypadek samochodowy, to ciągle coś mi się wydaje. Pomyślałem, że może rzeczywiście jestem chory – opowiada, przygotowując wrzątek na herbatę. – Nie minęło wiele czasu, gdy po raz trzeci usłyszałem: „Wstawaj, bo cię czeka długa i ciężka droga”. Wtedy już wiedziałem, że Bóg nie chce, abym poszedł na wojnę. Wstałem, spakowałem walizkę, włożyłem ulubiony czerwono-czarny sweter, wziąłem pieniądze i poszedłem.

Do Mitrowicy oddalonej o dziesięć kilometrów doszedł o kulach. Tam wsiadł do autokaru jadącego do Skopje. W Elezhan, miejscowości na pograniczu Macedonii i Kosowa, autobus zatrzymała serbska milicja. Mundurowi kontrolowali dokumenty. Jeden z nich długo przypatrywał się dokumentom Zuka. W jugosłowiańskich dowodach nie wpisywano narodowości, a jego imię i nazwisko nie wskazywały na albańskie pochodzenie. Imię ma rodowód hiszpański. Stamtąd przybył do Kosowa

pradziadek Zuka, także Zuk o przezwisku Span, co dało początek nazwisku Spanca. Gdy milicjant poszedł sprawdzić papiery Zuka, ten uciekł do lasu. Później dowiedział się, że wszyscy pozostali pasażerowie zostali zabici na miejscu.

Po ośmiu dniach wędrówki o kulach Zuk dotarł do Skopje. Po drodze żywił się tym, co znalazł na polach i w ogrodach, pił wodę ze źródeł. Ze stolicy Macedonii przez zieloną granicę dostał się do Bułgarii, a stamtąd do Rumunii. Planował przez Węgry i Czechosłowację dotrzeć do Polski. W Bukareszcie wsiadł do pociągu zmierzającego z Istambułu przez Budapeszt do Wiednia. Jednak po przejechaniu granicy węgierskiej został zatrzymany i odstawiony do Bułgarii.

– W Sofii udało mi się kupić bilet na samolot do Warszawy. Cztery dni czekałem na lot. 16 października 1992 roku o godzinie 16.00 wylądowałem na Okęciu. – Zuk dobrze pamięta tę datę.

Dotarł do Polski po trzydziestu trzech dniach wędrówki.

– Cieszyłem się z wolności. Chodziłem pijany szczęściem. Jakiś taksówkarz zatrzymał się i zapytał, skąd przyjechałem i dokąd jadę. Okazało się, że jego żona przed wojną na Bałkanach często jeździła do Kosowa. Zaprosił mnie do siebie, nakarmił, dał nowe ubranie. Przegadaliśmy całą noc. Rano zawiózł mnie do Skierniewic.

– Dlaczego przyleciałeś do Polski?

– Od wypadku moje myśli były skierowane ku Polsce. Miałem jakiś drogowskaz w sobie. Polska była dla mnie jak Ziemia Obiecana. – Zuk dopiero kilka lat później zrozumiał, z jakiego powodu.

Wcześniej był w Polsce kilkakrotnie. Przyjeżdżał do fabryki w Ursusie pod Warszawą po części do dwóch traktorów, których Spancowie używali w gospodarstwie. Po polsku znał kilka słów: proszę, dziękuję, dzień dobry.

Nic więcej. W Skierniewicach mieszkali znajomi jego rodziców, którzy zatrzymywali się u nich w domu, jadąc na wakacje do Czarnogóry.

Zuk był szczęśliwy, że dotarł do celu. Ale początki w Polsce były trudne. Tuż po przyjeździe wysłał telegram do Shkurty, którą poznał rok wcześniej w sanatorium w miejscowości Peć. Zachęcał, aby przyjechała do Polski, bo tu będzie miała lepsze warunki leczenia. Shkurta przyleciała 19 listopada 1992 roku. Została jego żoną.

Oboje byli gorliwymi muzułmanami. Oboje byli po ciężkich wypadkach. I oboje doświadczyli w Jugosławii dyskryminacji z powodu narodowości.

– Przez trzy lata studiowałem w Belgradzie prawo. Jako Albańczyk z Kosowa dostawałem dwieście dinarów stypendium, a studenci z Serbii dwadzieścia pięć tysięcy dinarów. Kiedy na zebraniu mieszkańców akademika powiedziałem, że to niesprawiedliwe, wyleciałem ze studiów. Dostałem wilczy bilet.

Ze Shkurtą nie udało mi się spotkać. Gdy rozmawiałam z Zukiem po raz pierwszy, sądził, że żona się zgodzi. Zapraszał nawet na słodki albański deser, który serwuje gościom. Ale po tym gdy żona z córkami wróciły z wakacji w Kosowie u muzułmańskiej rodziny, było już wiadomo, że spotkania nie będzie. Drogi duchowe, a może i małżeńskie, Zuka i Shkurty, choć chwilami zbieżne, często się rozchodzą. Wiem zatem o niej tyle, ile powiedział mi Zuk i ile kiedyś, raz jeden, sama opowiedziała o sobie [22].

Shkurta, młodsza od Zuka o dziesięć lat, przed przyjazdem do Polski studiowała w Klinie pedagogikę. Podczas studenckiej demonstracji w 1981 roku serbska milicja otworzyła ogień. Shkurta dostała w kręgosłup. Lekarze usunęli kulę, która tkwiła między kręgami, ale Shkurta była sparaliżowana od pasa w dół. Trzy miesiące spędziła w szpitalach. Najtrudniej było w Belgradzie. Lekarze i pielęgniarki traktowali ją źle tylko dlatego, że była

Albanką. Ale Shkurta była silna. Kiedy kręgosłup bolał ją tak, że nie mogła już tego znieść, śpiewała albańskie piosenki, co doprowadzało personel do jeszcze większej złości. Nie była więc specjalnie zdziwiona, gdy którejś nocy ordynator przyszedł jej powiedzieć – z wyczuwalną satysfakcją w głosie – że nigdy nie będzie chodziła. Nigdy nie ruszy nawet nogą. Serb akcentował słowo „nigdy”. Shkurta odpowiedziała, że wierzy, iż stanie jeszcze na nogi. Gdy lekarz zaprzeczał, podała mu nawet datę, kiedy to nastąpi: „Za miesiąc, we wtorek, o dwunastej w nocy”. Kiedy nadszedł termin, Shkurta nieludzkim wprost wysiłkiem poruszyła palcem u prawej nogi. Lekarzowi powiedziała, że stało się to tylko dzięki interwencji Boga. Jemu też zawdzięcza to, że z czasem zaczęła chodzić. Wprawdzie wsparta na kuli, ale porusza się sama.

W belgradzkim szpitalu przeżyła jeszcze jedną niezwykłą rzecz. Pewnej nocy, gdy się modliła, a inne pacjentki na sali spały, zobaczyła coś, czego nigdy w życiu nie widziała. „Wyglądało to tak, jakby jedna z gwiazd nagle zbliżyła się do szpitalnego okna i rozświetliła całą salę. Zmrużyłam oczy, tak mocne światło biło, i wtedy usłyszałam w swoim wnętrzu głos: »Jesteś w moich rękach. Prowadzę cię. Nie lękaj się. Jestem z tobą«. Byłam tak oszołomiona, że nic nie rozumiałam, a głos mówił dalej, że poprowadzi mnie daleko, gdzie poznam prawdę i znajdę Go.

Po przyjeździe do Polski zamieszkała z Zukiem w Skierniewicach w wynajętym mieszkaniu za pieniądze, które Zuk przywiózł z Kosowa. W maju 1993 roku pieniądze się skończyły. Mieszkanie też. Shkurta, która była w ciąży, trafiła z powikłaniami do szpitala. Zuk cieszył się, że żona ma dach nad głową. Sam szukał pracy na czarno i jakiegoś lokum. Doświadczył nędzy. Ale też pomocy ludzi.

– Nie mam nic, a jednocześnie mam wszystko – mówi Zuk, zataczając rękami szeroki krąg, obejmujący także drewniany domek, w którym

siedzimy od kilku godzin i w którym z minuty na minutę marznę coraz bardziej.

W pobliskiej daczy znajomych Zuk spędził kilka najtrudniejszych miesięcy 1993 roku. Wkrótce znajomy znajomej, Marian Olszewski, dał mu klucze do dwupokojowego mieszkania po zmarłej matce. Po kilku latach, gdy mieli już kartę stałego pobytu, dostali mieszkanie z kwaterunku, a po kilku następnych ktoś zamienił się z nimi na większe mieszkanie, rezygnując z dopłaty.

– Ta działka też nie jest moja – mówi Zuk o pięknie wypielęgnowanym kawałku ziemi z grządkami kwiatów i warzyw. – Właściciele mają dom z ogrodem, działka nie jest im potrzebna, dlatego oddali mi ją w opiekę.

Dla Zuka to miejsce wytchnienia i modlitwy. W Polsce, Zuk odszedł od islamu.

Pierwsza przyjęła chrzest Sylwia, córka Zuka i Shkurty, urodzona w lipcu 1993 roku.

– Żona nie chciała jej ochrzcić, ale ja uznałem, że skoro mieszkamy w Polsce, to dzieci powinny wyrastać w religii, która jest tutaj wyznawana – tłumaczy.

Wszystkie formalności załatwiał sam. Ale 2 kwietnia 1994 roku, gdy proboszcz parafii Świętego Jakuba Józef Wasiak chrzcił Sylwię, Shkurta była w kościele. W tym geście więcej było jednak uległości żony, która – jak nakazuje muzułmańskie wychowanie – zawsze winna iść za mężem, niż wewnętrznej zgody. Dlatego już nazajutrz Shkurta przestała się do Zuka odzywać. Zamilkła. On modlił się i szukał rady, co robić. Tydzień później zdesperowany znów poszedł do kościoła Świętego Jakuba, w centrum miasta.

– W Skierniewicach nie było meczetu, więc szedłem tam, gdzie mieszka Bóg – tłumaczy.

W kościele trwała spowiedź.

– Zobaczyłem księdza, podszedłem do konfesjonału, powiedziałem: „Dzień dobry”, aż księdzu z wrażenia spadły okulary. Zapytał: „Co się dzieje?”. Ja na to: „Mam problem”. „A ci nie mają problemu?” – odpowiedział kapłan pytaniem i wskazał na kolejkę ludzi. – Zuk dziś śmieje się sam z siebie.

Wówczas nie wiedział, czym jest spowiedź, co to jest konfesjonał. I nie było mu wcale do śmiechu. Od konfesjonału poszedł do głównego ołtarza. Płakał. Uklęknął i modlił się tak, jak umiał. Modlitwami do Allaha.

– W pewnej chwili skierowałem głowę w prawo. Na bocznym ołtarzu stał nieduży obraz. Oniemiałem. Zobaczyłem twarz i sylwetkę tego, który mnie uratował z wypadku! To był mój wybawca! – Wspomnienie tamtej chwili jest w Zuku wciąż żywe.

Widział mężczyznę w białej szacie, z którego piersi wychodziły dwa promienie: czerwony i blady. Na dole obrazu był podpis: „Jezu, ufam Tobie”. Zuk się rozpłakał.

Zauważył to siedzący w konfesjonale po przeciwnej stronie ołtarza ksiądz Wiesław Wójcik. Podszedł i zaproponował rozmowę po mszy świętej. Zuk nie powiedział o obrazie. Był zbyt wstrząśnięty odkryciem. Mówił o problemie z żoną.

– Ksiądz poradził mi: „1 sierpnia wyrusza pielgrzymka do Matki Bożej w Miedniewicach. Idź tam. Matka Boża wszystko załatwi”.

Zuk nie wiedział, co to jest pielgrzymka, co to są Miedniewice, ale czuł, że musi tam pójść. Tym bardziej że żona nadal milczała. 1 sierpnia rano wszystko stawało na przeszkodzie, by wyjść z domu: córka się rozchorowała, kanalizacja zepsuła, mieszkanie zalewały nieczystości. Uznał, że tym bardziej musi iść szukać ratunku. Przy kościele zauważył, że każdy z pielgrzymów ma jakiś ekwipunek. On miał tylko kule. Wtedy też

dowiedział się, że Miedniewice to sanktuarium oddalone od Skierniewic o dwadzieścia trzy kilometry. Na pierwszym postoju w Rawce miał ręce zdarte do krwi. Pomogły mu siostry zakonne, które namawiały go, by resztę drogi przebył autem. Ale Zuk uparł się, by iść. Na miejsce dotarli około godziny 14.00. W głównym ołtarzu barokowego kościoła Franciszkanów zobaczył niedużych rozmiarów cudami słynący drzeworyt przedstawiający Świętą Rodzinę. Starym zwyczajem pielgrzymi na kolanach obchodzą ołtarz, za którym umieszczone są kopie cudownego obrazu – można ich dotknąć.

– Gdy inni obeszli już na kolanach ołtarz i poszli do źródełka, pomyślałem, że teraz ja spróbuję. Odłożyłem kule. Kiedy sięgnąłem ręką obrazu, zrobiło mi się gorąco, zaczął lać się ze mnie pot. W jednej chwili zapomniałem wszystkie muzułmańskie modlitwy. Nie pamiętałem żadnej.

– Ani jednej?

– Zapomniałem wszystkie. Od tego momentu przez tydzień wyświetlał mi się przed oczami ekran, a na nim teksty modlitw katolickich: „Ojcze nasz”, „Zdrowaś Mario”, „Wierzę w Boga”, „Aniele Boży”, „Wierzę w Ciebie, Boże żywy”, modlitwa o wiarę, nadzieję i miłość... – wymienia. – Po tygodniu, gdy nauczyłem się ich na pamięć, ekran zniknął.

Od tamtej pory Zuk codziennie rano po przebudzeniu odmawia każdą z tych modlitw.

Gdy 1 sierpnia 1994 roku wracał wieczorem do domu, zastanawiał się, co zastanie po porannym kataklizmie. Na wiadukcie kolejowym blisko bloku, w którym mieszkał, zobaczył grupę ludzi. Kilkadziesiąt osób.

– Wyszli mi naprzeciw żona z córką i sąsiedzi. Witali mnie kwiatami. – Zuk przeżył szok tym większy, że do tamtego dnia sąsiedzi nie kontaktowali się z nimi, nie odpowiadali nawet na jego „Dzień dobry”. – Po tym jak rano wyszedłem na pielgrzymkę, do naszych drzwi zapukała

sąsiadka. Pomogła żonie usunąć skutki awarii, potem zrobiła zakupy. A gdy inni w bloku dowiedzieli się, że poszedłem na pielgrzymkę, wyszli po mnie. To był Boży cud – dopowiada.

Od tamtego dnia, 1 sierpnia 1994 roku, zaczęła się przyspieszona droga Zuka i Shkurty do Jezusa i Kościoła. Kilka dni po powrocie z Miedniewic Zuk postanowił pójść z pieszą pielgrzymką na Jasną Górę. Ponad dwieście kilometrów z Warszawy do Częstochowy o kulach. Szef firmy, w której wtedy pracował, nie dał mu jednak urlopu. Zuk zrezygnował więc z pracy i poszedł. Kiedy wrócił, znalazł nową pracę. Taki scenariusz powtarzał się przez kolejne trzy lata: nie dostawał wolnego na pielgrzymkę, rezygnował z pracy, a po powrocie znajdował nowe zajęcie.

W 1994 roku Zuk ze Shkurtą przystąpili do Odnowy w Duchu Świętym. Przygotowywali się do chrztu. Nie było im łatwo. Shkurta słabo znała polski. Zuk lepiej, ale dopiero uczył się łacińskiego alfabetu.

– Chcieli z nas, katechumenów, zrobić bardzo uczone osoby, ale jak człowiek nie ma wiary, to przecież i wiedza nie pomoże. – Zuk mówi, że takie podejście bardzo go bolało.

Zanim przyjęli chrzest, Zuk przeszedł poważną operację, a Shkurta doświadczyła ważnego przeżycia duchowego. Szła za mężem, niemniej często zastanawiała się, czy jako gorliwa muzułmanka powinna zmienić religię. Islam uznaje Jezusa za proroka, największego przed urodzeniem Mahometa, ale nie za Boga. Kiedyś zapytała więc Boga, czy wolno jej zmienić wiarę. „Boże, Ty wszystko wiesz. Powiedz mi” – prosiła. W nocy, leżąc w łóżku, pod zamkniętymi powiekami zobaczyła twarz Jezusa w cierniowej koronie, który się do niej łagodnie uśmiechał.

23 maja 1996 roku w szpitalu w Piekarach Śląskich Zuk przeszedł operację stawu biodrowego. Był moment, w którym na sali operacyjnej ważyło się jego życie. Stracił wiele krwi. Tak wiele, że zabrakło jej

w szpitalu. Myślał, że to już koniec, kiedy lekarz powiedział twardo, dla otrzeźwienia uderzając go w policzek, że skoro nie umarł tam, w górach, to i tu w szpitalu nie umrze. Krew grupy 0Rh–, którą przywieziono aż z Kosowa, została dostarczona w ostatniej chwili. Zuk przeżył. Ale ze szpitala wyszedł o kulach. Lekarze bezradnie rozkładali ręce. Orzekli – podobnie jak ci w szpitalu w Sofii – że do końca życia będzie niepełnosprawny.

Gdy w szpitalu w Piekarach Śląskich ważyła się sprawa życia i śmierci Zuka, Shkurta w mieszkaniu w Skierniewicach czuła ogromny niepokój. Przesuwając gałką radioodbiornika, natrafiła na Radio Maryja. Usłyszała modlitwę, której nie znała. To był Różaniec. Jej melodia, słowa urzekły ją. Najpierw na kolanach, a potem leżąc krzyżem na podłodze, przez całą noc odmawiała „Zdrowaś Mario”. Prosiła Boga o zdrowie męża. W pewnej chwili usłyszała w sercu głos: „Bądź o niego spokojna. On jest w moich rękach. Tej modlitwy bardziej potrzebujesz ty niż on”.

Trzy tygodnie później, 16 czerwca 1996 roku, Zuk i Shkurta Spancowie przyjęli chrzest oraz Pierwszą Komunię Świętą. On obrał imię Karol, na cześć Karola Wojtyły, który został wybrany na papieża 16 października, czyli tego dnia, w którym Zuk kilkanaście lat później przyleciał do Polski. Ona otrzymała imię Anna. Zuk był szczęśliwy. Na uroczystość zapraszał każdego, kogo spotkał na ulicy. Przyszło osiemdziesiąt osób. Kilka dni później, 24 czerwca, Karol i Anna przyjęli sakrament bierzmowania, a 26 czerwca wzięli ślub kościelny. Wszystkie sakramenty otrzymali w kościele Świętego Jakuba, tam gdzie Zuk Karol w obrazie Jezusa Miłosiernego rozpoznał swojego Wybawcę.

– Od tego momentu wszystko zaczęło się zmieniać na lepsze – mówi Zuk i ma na to dowody.

W sierpniu po raz trzeci poszedł w pieszej pielgrzymce z Warszawy na Jasną Górę. Zaledwie nieco ponad dwa miesiące po operacji biodra i diagnozie, że nigdy nie będzie w pełni sprawny. Ale lekarze mylili się. W wigilię uroczystości Wniebowzięcia NMP, 14 sierpnia, o godzinie 11.27 w kaplicy Matki Bożej na Jasnej Górze odłożył kule. Zostały w kaplicy jako wotum wdzięczności. Do domu wrócił na własnych nogach. Podobnie w następnych latach. W sumie był pieszo w Częstochowie piętnaście razy, do Sanktuarium Świętej Rodziny w Miedniewicach wędrował siedemnaście razy.

Do wielu dobrych wydarzeń 1996 roku doszło jeszcze jedno: 16 października Zuk i Shkurta otrzymali kartę stałego pobytu. Pięć lat później, 16 października 2001 roku otrzymali od gminy mieszkanie. Natomiast 16 października 2002 roku polskie obywatelstwo.

Dziś Zuk jest kościelnym w garnizonowej parafii Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Skierniewicach. Codziennie jest na mszy świętej, codziennie przyjmuje Eucharystię. Do rodziny w Kosowie już nie jeździ. Krewni nie chcą się pogodzić z tym, że przyjął chrześcijaństwo, on zaś z pielęgnowaną przez nich chęcią zemsty na Serbach. Poróżnili się, gdy będąc u nich kilka lat temu, zaczął mówić o przebaczeniu i miłosierdziu. Do Kosowa jeździ natomiast Shkurta z córkami, a wpływ rodziny na nie niepokoi Zuka.

– Czuję się w Polsce bardzo dobrze. Jakbym się tutaj na nowo urodził. To jest moja ojczyzna. Moja Ziemia Obiecana.

– Kim jest dla ciebie Jezus?

– On jest moim doradcą, najbliższym przyjacielem. Codziennie rano rozmawiam z Nim, On nadaje kierunek mojemu życiu – mówi Zuk, który wie, że jest w Jego rękach.

22 Historię Shkurty przytaczam za książką Grzegorza Górnego *Ludzie z doliny śmierci*, Kraków 2013, s. 213–222.

Bóg przychodzi w snach

Diabeł był sympatyczny. A na pewno wytworny. W czarnym dobrze skrojonym fraku, z czarną muszką u szyi, ze złotymi spinkami przy mankietach białej koszuli. Brunet o gęstych brwiach z długimi, zakręconymi wąsami. Jedynie wzrok, nieco ironiczny, i uśmiech, lekko szyderczy, mogły niepokoić. Albo ekscytować. Podobnie jak niewielkie różki ledwo wystające z czarnej czupryny, których właściciel zgrabnym ruchem nalewał wino do kieliszka zalotnej dziewczynie w zielonkawej, a może bladoróżowej sukience. Koloru sukienki Jan Ben Radecki już nie pamięta. Zapamiętał natomiast wymiary obrazu, który namalował na desce: półtora na półtora metra. Wizerunek diabła miał zawisnąć przy wejściu do kawiarni Mefisto w Rynku Głównym we Wrocławiu pod numerem 26, gdzie dziś mieści się galeria malarstwa. Właściciel knajpki był z jego dzieła zadowolony. Robota była dobra. I szybka. Jan Ben malował obraz cztery dni. Non stop. Ale miało się opłacić. Zażyczył sobie dwukrotnie wyższego honorarium niż zwykle, lecz ku swojemu zaskoczeniu pieniądze otrzymał od ręki. Zleceniodawca zaprosił jeszcze Bena na koniak do pobliskiej kawiarni Tip-Top. Chciał uczcić transakcję i pokazać Benowi dekoracje nad barem, aby podobne namalował w jego lokalu. Ben nie mógł zabawić

długo. Przyrzekł żonie, że wróci do domu na obiad. Miała być na nim teściowa, która tego dnia przyjeżdżała do Wrocławia.

Był piątek 16 czerwca 1978 roku. Południe. W Tip-Topie grupa podchmielonych opryszków zaczepiała klientów baru.

– W pewnym momencie okrążyli mnie ze wszystkich stron i coś potwornie ciężkiego spadło mi na twarz. Zdążyłem zobaczyć dużą roboczą rękawicę, w której musiało być jakieś żelazo albo cegła. Poczułem straszliwe pieczenie w całej głowie. Upadłem. – Ben ze spokojem opowiada dramatyczne wydarzenie sprzed trzydziestu pięciu lat.

Spotkaliśmy się w oddalonej o sto kilometrów od Wrocławia wsi Tarce Osiedle, gdzie Jan Ben Radecki jest kustoszem ufundowanej przez siebie kaplicy Miłosierdzia Bożego pod wezwaniem Świętej Faustyny. Z Jarocina łatwo tu trafić. Dwa kilometry za miastem, w kierunku Konina, trzeba skręcić w prawo, na Hilarów, a stąd już prosto – najpierw asfaltem, a potem szeroką drogą, która lipcową porą prowadzi wśród wysokich zbóż. Osada jest niewielka, ledwie dwadzieścia zabudowań. Jadąc zbyt szybko, można przeoczyć niski, otulony zielenią drzew dom Bena, ale nie sposób ominąć stojącej tuż obok kaplicy. Jan Ben i tutaj, w Tarcach, czasem sięga po pędzel. Ale tematyka jego płócien zmieniła się diametralnie. Na werandzie w oczekiwaniu na nasycenie kolorami stoi szkic Jezusa modlącego się na pustyni. To prezent dla wnuka, który za dwa tygodnie bierze ślub.

Jan, zwany przez bliskich i znajomych Benem, mówi dużo i szybko. Przedstawia mi Tajgę. To wielki berneński pies pasterski. Kudłaty, czarny, w duże biało-brązowe łaty. Ben w czerwonej sportowej koszuli, energiczny, wyprostowany, wygląda na znacznie mniej niż wynikające z metryki siedemdziesiąt sześć lat. I to pomimo siwej brody i siwych, ale jak zawsze półdługich, kręconych włosów. Taki styl miał zawsze, także wtedy, gdy 16 czerwca 1978 roku czyjaś potężna łapa spadła mu na twarz w kawiarni Tip-

Top.W karetce pogotowia stracił przytomność. Miał pękniętą czaszkę, wstrząs i udar mózgu, złamaną szczękę i nos, skruszone kości prawego oczodołu, wybite zęby.

– Leżał zakrwawiony, opuchnięty, nieprzytomny – wspomina jego córka Viola Setkowicz, która miała wówczas siedemnaście lat. – Z przerażeniem patrzyłam, jak z ust wypływa mu czerwonobrunatna maź, a lekarz mówił do mnie i mamy: „Same panie widzą, że nie ma ratunku. Musicie przygotować się na najgorsze. To tylko kwestia czasu”. Po chwili, bez przekonania, dodał: „No, chyba że zdarzy się cud”.

Jan Ben Radecki leżał w szpitalu klinicznym przy ulicy Kilińskiego we Wrocławiu. Był w stanie śmierci klinicznej. Wieczorem jego żona i córka wróciły ze szpitala do domu. Nie wiadomo, w którym momencie ta historia zaczęła się toczyć dwutorowo. W dwóch czasoprzestrzeniach.

– Ja też wyszedłem ze szpitala. – Ben obserwuje moją reakcję. – Pamiętałem, że przyrzekłem żonie, iż wrócę do domu na obiad z teściową. Biegłem więc ulicami Wrocławia, tak jakbym był w pełni sił. Biegłem, a właściwie płynąłem, unosząc się lekko w powietrzu, bez dotykania stopami ziemi. Płynąłem środkiem jezdni. Było pusto. Świeciły lampy. Dotarłem do naszego domu przy ulicy Grabiszyńskiej. Na drugie piętro wbiegłem tak, jak miałem w zwyczaju – przeskakując po dwa schodki i podciągając się na poręczy. Złapałem za klamkę, otworzyłem drzwi do mieszkania. W przedpokoju było ciemno. Zapaliłem światło i wszedłem do pokoju. Na kanapie spała żona. Byłem trochę zdziwiony, bo przecież miała czekać z obiadem.

Mirka, żona Bena, życzliwie spogląda z fotografii. Miła, nieco korpulentna blondynka. W 2003 roku zmarła na zawał serca, kilkanaście lat wcześniej pokonawszy złośliwego raka z licznymi przerzutami. Viola

pamięta, że tamtego tragicznego wieczoru, gdy wróciły ze szpitala, ona, spłakana, dość szybko zasnęła w swoim pokoju, a matka położyła się w gościnnym, na kanapie.

– Mama na pewno zamknęła drzwi do mieszkania. Na dwa zamki. Tak robiła każdego wieczoru. Była roztrzęsiona, to prawda, ale nazajutrz była pewna, że sprawdzała, czy drzwi są zamknięte, bo w dzień odebrała anonimowy telefon z pogróżkami. Ktoś ostrzegał, by nie obciążała nikogo za pobicie ojca, bo może mieć połamane nogi albo przydarzy się jej coś gorszego. Na pewno wyłączyła światło. Przy włączonym nigdy nie zasnęła – zapewnia Viola Setkowicz. – Mama opowiadała później, że we śnie usłyszała uderzenie dzwonu – jedno, drugie, trzecie, wreszcie huk stał się tak potężny, że bała się, iż popękają jej bębenki w uszach. Zerwała się na nogi i spojrzała na zegar. Była druga w nocy. Zobaczyła, że w przedpokoju pali się światło. Poszła je zgasić i ujrzała otwarte na oścież drzwi wejściowe do mieszkania. Wystraszyła się, obeszła mieszkanie, lecz nic niepokojącego nie zauważyła. Zgasiła światło, ale nie mogła już zasnąć – wspomina Viola.

– Kiedy żona wstała, mnie już tam nie było – kontynuuje Ben. – Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że moje ciało zostało w szpitalu przy ulicy Kilińskiego. Wydawało mi się, że znajduję się w naszym mieszkaniu. W momencie gdy lekko zdezorientowany, zobaczyłem żonę śpiącą, nagle coś porwało mnie w górę. Jakby jakiś wir o sile rakiety kosmicznej wchłonął mnie niczym pyłek i pociągnął wzwyż. Na chwilę straciłem świadomość. Nic nie widziałem i nic nie czułem. Ogarnęła mnie ciemność. Pamiętam, że byłem skulony, w pozycji embrionalnej. Poczułem ciepło, które przyjemnie mnie ogrzewało, coraz mocniej i mocniej. Nic nie widziałem, ale czułem coraz większą rozkosz. Nagle zobaczyłem, że stoję przed obliczem Boga.

– Skąd to wiesz?

– Tam się wszystko wie od razu. Wszystko rozumie.

– Ale przecież Boga nikt nigdy nie widział.

– Tak, nie widział, ale w ciele. Ja już byłem poza swoim ciałem. Widziałem Jasność. Potężne Światło, którego nie mogłem ogarnąć. To Światło było żywe. Patrzyło na mnie. Każda iskierka tego światła patrzyła. Przenikała wszystko. To było prawdziwe oblicze Boga, które myśli, patrzy i mówi. Ale wszystko to odbierałem wyłącznie telepatycznie.

Ben próbował potem tę Jasność namalować. W centrum dużego płótna umieścił jądro Światła otoczone wirującym bezkresnym błękitem. *Wieczna Światłość* – tak zatytułował obraz.

– Z tej Jasności płynęła Moc, która emanowała wielką czułością, dobrocią i miłością. Ona opływała mnie, obejmowała i przenikała, a moja dusza rozpływała się ze szczęścia – opowiada. – Czułem niezwykłą błogość, rozkosz, jakiej nigdy wcześniej nie doznałem. Mogłem tak stać i wieki całe wpatrywać się w tę cudną i niepojętą Światłość. Ale nagle w jednej chwili ten błogi stan został przerwany. Przed moimi oczami pojawił się film. Ujrzałem całe moje życie. Od narodzenia, klatka po klatce, scena za sceną przebiegały mi przed oczami wszystkie wydarzenia. Działo się to błyskawicznie. Klatki się na siebie nakładały, ale jednocześnie każdą mogłem zobaczyć oddzielnie i wyraźnie. Każdy swój czyn. Początkowo na sceny z dzieciństwa i wieku młodzieńczego patrzyłem z dużym spokojem, często nawet uprzedzałem w myślach to, co miało nastąpić. Byłem spokojny do chwili pojawienia się na ekranie moich pierwszych grzechów. Nie spodziewałem się, że wszystko będzie aż tak odkryte i obnażone. Zestawienie moich niegodziwych czynów z Jasnością pełną miłości, którą poznałem przed chwilą, paliło wstydem. Jakby rozpalone żelazo przenikało moje wnętrze. Płonąłem żywym ogniem, niewidzialnym, lecz bolesnym i straszliwie palącym. To było nie do wytrzymania. Czułem też, że ktoś za

mną stoi. Nie widziałem go, ale wiedziałem, że to szatan, który oskarża mnie przed Bogiem. Wiedziałem też, że on swoimi oskarżeniami nic nie może wskórać. Wszystko zależało od Boga. Czułem, że jestem cały w rękach Boga i nic złego nie może mi się stać. Za każdym razem gdy ukazywały się moje grzechy, a ja płonąłem, w tej samej chwili odczuwałem miłosne tchnienie Boga. Jak niewidzialna fala przenikało ono moją duszę i ogniste palenie znikało. Ta sytuacja powtórzyła się kilkakrotnie. Nagle po mojej lewej stronie ujrzałem dwie postaci, które jakby schodząc z góry, zbliżały się do mnie. Na przedzie szła ciotka Tekla, zmarła przed dwudziestu laty najstarsza siostra mojej mamy, która bardzo mnie kochała. Za nią podążała daleka kuzynka, której imienia nie pamiętałem. Nagle wszystko stanęło. Znieruchomiało. Otworzyłem oczy. Leżałem na łóżku w szpitalu, a nade mną pochylała się żona. Ocierała mi twarz z krwi.

To była sobota 17 czerwca 1978 roku.

– Ojciec zdaniem lekarzy był w tak beznadziejnym stanie, że go nawet nie umyto. Jak go dzień wcześniej przywieziono, tak nadal leżał we krwi. A on odzyskał przytomność – mówi Viola Setkowicz.

Jan Ben Radecki wyszedł ze szpitala po kilku tygodniach, by jeszcze kilka razy do niego wracać. Przez kilka miesięcy chodził o lasce, gdyż po wstrząsie mózgu miał zaburzenia równowagi. Dręczyły go silne bóle głowy. Długo wisiała nad nim groźba trepanacji czaszki z powodu krwiaków, które jednak dzięki opiece szwagra lekarza udało się rozpuścić za pomocą leków. Rehabilitacja trwała dwa lata, dłużej niż wyroki w zawieszeniu, które sąd wymierzył sprawcom napadu.

Dla Sabiny Radeckiej, matki Jana, zwanego w dzieciństwie Januszkiem, powrót syna do życia był cudem. Z tej okazji zamówiła dziękczynną mszę świętą. Od czterdziestu lat jej serce było zatrute słowami wróżbity, który w 1945 roku zatrzymał się w ich domu w Krasnymstawie. Ona, tak jak jej

matka i matka matki, i tysiące innych pobożnych katoliczek nie wiedziały, a może nie chciały wiedzieć, że wróżby łamią pierwsze przykazanie Dekalogu: „Nie będziesz miał bogów cudzych przede Mną”. Sabina Radecka zawsze pragnęła widzieć syna w księżowskiej sutannie. Zapytała więc gościa o los Januszka, który cztery lata po córce urodził się w dzień świętego Jana Chrzciciela, 24 czerwca 1937 roku. „Będzie miał trzy wypadki, a ostatni śmiertelny” – usłyszała, nie takiej oczekując odpowiedzi.

Od tego dnia matka i babcia Januszka żyły w ciągłym strachu o niego. Nie spuszczały go z oka w czasie chłopięcych zabaw, nie pozwalały na szkolne wycieczki ani na harcerskie obozy. Januszek pierwszy poważny wypadek miał już w 1946 roku, po przeprowadzce rodziny do Lublina, gdy spadł z rowerem z wysokiej skarpy, co skończyło się wstrząsem mózgu i złamaniem nosa. Drugi wypadek wydarzył się rok później we Wrocławiu, dokąd rodzina przeniosła się z powodu awansu ojca, który został tam komendantem Milicji Obywatelskiej. Januszek spadł z balkonu i złamał nogę w udzie, którą lekarze na trzy miesiące włożyli w gips. Efektem był zanik mięśni i długa rehabilitacja. W 1947 roku dziesięcioletni Jan Radecki miał już więc za sobą dwa poważne wypadki. Mama i babcia z drżeniem czekały na to, co miało nadejść. Minęło piętnaście lat. W 1962 roku potrącił go samochód. Niegroźnie, ale pękło mu biodro. Dwa miesiące leżał w gipsie. To był trzeci wypadek! Ale Jan żył. Pan Bóg – jak widać – miał swoje plany, których nie znał nikt. A na pewno nie ów wróżbita, który w 1945 roku próbował odczytać przyszłość chłopca.

– Pan Bóg dopuścił w moim życiu następny wypadek, w 1978 roku, abym się nawrócił i zmienił swoje życie. Dzięki łasce Bożej przeżyłem po to, by otrzymać nowe życie, duchowe – mówi Ben, zastrzegając, że nie od razu się nawrócił. – To był proces. Miałem świadomość tego, co przeżyłem podczas śmierci klinicznej, ale jednocześnie trudno było mi to zrozumieć.

Trudno uwierzyć w życie po śmierci, bo do tej pory wszystko tłumaczyłem sobie w sposób materialistyczny.

Dlatego musiało minąć trochę czasu, zanim Ben opowiedział rodzinie i przyjaciołom o tym, co przeżył. Żona słuchała ze zrozumieniem. Inni mówili, że mu się to wszystko śniło albo przywidziało z powodu wstrząsu mózgu. Kiedy już stanął na nogi, z mniejszymi oporami, lecz przecież nadal niezbyt chętnie chodził z żoną do kościoła. Nawet dziękował Bogu za ocalenie życia. Ale to nie była jeszcze wewnętrzna rewolucja.

Jan wychowany przez pobożne matkę i babcię, które uczyły go modlitw i prowadziły do kościoła, wzrastał też w cieniu wierzącego, lecz niepraktykującego ojca. Im więcej miał lat, tym bardziej szedł jego śladami i oddalał się od Boga.

– Do ostatniego wypadku wiodłem życie grzeszne, hulaszcze. Nie przestrzegałem Dekalogu oprócz drugiego przykazania. Miałem jakiś niewytłumaczalny lęk przed wymawianiem imienia Bożego bez szczególnej potrzeby.

Wiodło mu się dobrze. Po skończeniu szkoły muzycznej i przerwaniu nauki w szkole plastycznej pracował jako liternik w zakładzie produkującym szyldy. Wieczorami i w weekendy malował w domu obrazy i szyldy, które sprzedawał na czarno, albo – co lubił bardziej – grał na fajfach w knajpie Leśniczówka. Z czasem dorobił się własnego zakładu i własnego zespołu muzycznego. Grali na weselach, zabawach, sylwestrach. Ben najchętniej grał na klarnecie, rzadziej na pianinie, gitarze albo perkusji. To był czas, gdy liczyły się dla niego tylko pieniądze, balangi, knajpy i dziewczyny. Uważał, że wszystko można załatwić przez wódkę.

– We mnie siedział wtedy diabeł. – Ben stawia duchową diagnozę. – Długo o tym nie wiedziałem, ale po wypadku w 1978 roku coraz bardziej uświadamiałem sobie, że jest we mnie jakieś zło. Siedzi we mnie jakiś głos,

który namawia i przymusza do złego. Pod jego dyktando robiłem rzeczy, które prowadziły ku zatraceniu duszy i ciała. Byłem cały pod władzą diabła. Szatan doprowadził do takiego zatracenia mojej duszy, że oddałem mu hołd, malując jego portret, aby mógł być wywyższony publicznie. To był jego triumf.

Jan Ben Radecki po ostatecznym nawróceniu, które nastąpiło dziewięć lat później, w 1987 roku, długo się zastanawiał, od kiedy czuł w sobie ten wewnętrzny przymus. Przypomniał sobie wydarzenie z dzieciństwa.

– Miałem wtedy pięć, sześć lat. Mama z moją siostrą wyszły rano do sklepu, a ja zostałem w łóżku z ojcem. W pewnej chwili zobaczyłem nad sobą pochyloną kobietę ubraną na niebiesko, która unosiła się na jasnym obłoku. Wystraszyłem się. Natychmiast nakryłem się kołdrą, zacząłem szczypać ojca, ale on nie reagował. Gdy wróciła mama, zobaczyła, że cały się trzęsę jak w febrze. „Widziałem panią, widziałem panią” – powtarzałem bez końca. To jedyne, co mogłem z siebie wydobyć. Rodzice w panice chcieli mnie zawieźć do felczera, ale przyszła babcia i powiedziała: „Zostawcie go, wiem, co mu jest. Nic innego, tylko zobaczył diabła. Ja znam na niego metodę”. Do rondelka wsypała jakieś zioła, wbiła jajko i to wszystko podgrzała. A potem chodziła wokół mnie, okadzała dymem i coś mówiła pod nosem. A ja się trząsłem. Wreszcie babcia stwierdziła: „Będzie spał jak niemowlę i przejdzie mu”. Rzeczywiście, spałem do wieczora i przeszło mi.

Babcia Jana Bena Radeckiego była jedną z tych wiejskich znachorek czy zamawiaczek, które jeszcze dziś można spotkać na Podlasiu.

– Babcia, zamiast wygonić ze mnie złego ducha, chyba go we mnie wtedy wcisnęła. Diabeł był we mnie aż do mojego duchowego pogrzebu w Neviges. – Jan wciąż trzyma mnie w napięciu. – Od momentu mojego

fizycznego uzdrowienia po śmierci klinicznej Bóg, aby uzdrowić mnie duchowo, przychodził do mnie w snach.

Dwa sny pamięta do dziś w szczegółach. Pierwszy miał w 1980 roku, dwa lata po napadzie w knajpie Tip-Top.

– Śniło mi się jakieś nieznane miasto. Byłem w jego centrum, chodziłem uliczkami. Był wieczór, dużo ludzi na ulicach, w kawiarniach i restauracjach. Słyszałem muzykę, gwar i śmiechy. Przez otwarte drzwi jakiegoś lokalu ujrzałem, jak barman nalewa gościom piwo. Przed witryną jakiejś restauracji zobaczyłem grupkę ludzi. Z ciekawości podszedłem bliżej. Za oknem dwóch kucharzy w białych kitlach i wysokich czapkach wyrabiało ciasto na pizzę. Na umówiony znak jednocześnie podrzucali w górę placki ciasta, które się w powietrzu krzyżowały i spadały na dłonie kucharzy. Z tyłu za nimi trzeci kucharz wsuwał gotowe pizze do półokrągłego pieca, którego front obłożony był czerwoną cegłą. W Polsce nie było wtedy ani takich pizzerii, ani takich kucharzy. Ci za szybą wciąż formowali nowe placki ciasta i żonglowali nimi w powietrzu. Za każdym razem ludzie bili im brawo. Podszedłem jeszcze bliżej, by lepiej się im przyjrzeć. Byłem już przy samej witrynie, niemal dotykałem jej nosem, gdy jeden z kucharzy podniósł głowę. Spojrzał na mnie. Natychmiast się cofnąłem. Wystraszyłem się. Miał czarne oczy i długie podkręcone wąsy. Uśmiechał się do mnie szyderczo. Obudziłem się przerażony. Nie mogłem już zasnąć. Rano powiedziałem żonie, że przyśnił mi się diabeł.

Jakieś dwa tygodnie później Ben z kuzynką Mariolą, jej narzeczonym Markiem i kolegą narzeczonego Jurkiem pojechali do RFN do pracy. Był październik 1980 roku. W samym środku kryzysu ekonomicznego w Polsce i w momencie rozluźnienia polityki paszportowej PRL każdy, kto mógł, wyjeżdżał do pracy na Zachód. Pojechali maluchem z Wrocławia do Aachen nad granicę holenderską, gdzie dla całej czwórki miała być praca

i mieszkanie. Nie było nic. Po dwóch tygodniach szukania pracy i spania we czworo w maluchu pojechali do Rattingen, w okolicy Düsseldorfu. Tam mieszkał ktoś, kto na pewno miał im pomóc. Po drodze wstąpili do katedry w Kolonii, gdzie z ostatnich fenigów złożyli ofiarę w intencji znalezienia pracy. Do Rattingen dotarli nocą. Pierwszą spotkaną osobą była Polka, która akurat wyszła z psem na spacer. Całą czwórkę zaprosiła do domu, nakarmiła, dała nocleg. Nazajutrz dzięki pomocy męża tej kobiety wszyscy dostali pracę na budowie i mieszkanie w Düsseldorfie, a Ben dodatkowo zamówienia na obrazy.

– Gdy zarobiliśmy pierwsze pieniądze, wybraliśmy się wieczorem na stare miasto w Düsseldorfie. To była sobota, początek listopada. Spacerowaliśmy uliczkami, a ja miałem wrażenie, że to miejsce znam, że już widziałem te kawiarnie i restauracje. I tę grupkę ludzi, która stała przed witryną restauracji. Ale gdzie? Kiedy? Podszedłem bliżej i naprawdę oczom nie wierzyłem. Przecież ja to już widziałem: za oknem dwóch kucharzy w białych kitlach i czapkach przygotowywało ciasto na pizzę. Żonglowali plackami w powietrzu, a ludzie bili im brawo. Za nimi stał półokrągły piec, z frontem obłożonym czerwoną cegłą, do którego trzeci kucharz wsuwał pizze na łopacie. Coraz bardziej nerwowo myślałem: „Gdzie ja to widziałem? Przecież nie w Polsce”. Podszedłem więc jeszcze bliżej, pod samą witrynę, i gdy niemal dotykałem jej nosem, jeden z kucharzy podniósł głowę i spojrzał na mnie. Wystraszyłem się. Czarne oczy, czarne długie i podkręcone wąsy. I ten szyderczy uśmiech. Od razu sobie przypomniałem: to przecież był mój sen! W nocy nie mogłem zasnąć. Bo jak to możliwe, myślałem, żeby śniło mi się wcześniej to, co dopiero nastąpi, i to z takimi szczegółami? Czy to oznacza, że to nie ja sam zaplanowałem moją podróż do tego miejsca? Z Wrocławia przez Aachen do Rattingen i Düsseldorfu?

A jeśli nie ja to, kto i dlaczego? Czy to znaczy, że nie jestem sam? – Ben powtarza myśli i pytania, które nie dawały mu wówczas spokoju.

Nie wiedział jeszcze, że zbliża się do przekroczenia granicy między ciemnością a jasnością. A Bóg poprzez sny powoli otwiera mu oczy na inną rzeczywistość.

Jesienią następnego roku do Bena dołączyła żona Mirka. Ben zajmował się renowacją starych mebli i obrazów, z czasem dorobił się własnej pracowni. Przez dwa lata odnawiał meble na zamku w Meinbergu koło Schweinfurtu. I coraz częściej rozmyślał na temat wiary i Boga. Regularnie, już bez ociągania się, chodził z żoną na msze święte do polskich parafii. Śpiewał w chórze, był lektorem.

W 1987 roku miał drugi ważny sen.

– Śnił mi się mój pogrzeb. Leżałem w otwartej trumnie niesiony głową do przodu. Wiedziałem, że idzie za mną kondukt żałobny, ale nikogo nie widziałem. Patrzyłem w niebo. Była piękna pogoda, świeciło słońce. Mijaliśmy lasy, pagórki, pola obsiane zbożem. Czułem się tak lekko, jakbym płynął. Byłem szczęśliwy. Doszliśmy do jakichś gór, widziałem ich ostre szczyty. W pewnym momencie coś mnie odwróciło o sto osiemdziesiąt stopni i płynąłem już nie głową, lecz nogami do przodu. W skałach zobaczyłem bramę, przepłynąłem przez nią. Z boku stał jakiś budynek: płaski dach, półokrągłe ściany, filary, nad każdym z nich okno. „Co za dziwne budownictwo” – zdążyłem pomyśleć, gdy zaczęło ciągnąć mnie w dół, pod skały. Wewnątrz była świątynia. Panował w niej mrok, ale na ścianach dostrzegłem ikony. Nadal unosiłem się w powietrzu nogami do przodu, ale już bez trumny. W pozycji horyzontalnej objechałem świątynię wkoło i popłynąłem w dół, nad schodami. Tam znajdowała się druga świątynia. Na jednej ze ścian od sufitu do podłogi zobaczyłem dużą czarną płaszczyznę. Płynąłem w jej kierunku. Nagle, gdy byłem blisko tej czerni,

skręciłem, ustawiając się do niej bokiem. W tym momencie ze środka mnie, z moich wnętrzności wyszła czarna ludzka postać. Jak wycięta z kartonu, ale ruszała się. Postać weszła w tę czarną czeluść. W pierwszej chwili pomyślałem, że muszę iść za nią, jednak coś skręciło mnie jeszcze bardziej w prawo, w kierunku okna. Bił przez nie potężny snop słonecznego światła. Przez okno popłynąłem do góry, do światła. Wtedy się obudziłem.

Ben dobrze zapamiętał ten sen. Własnego pogrzebu przecież się nie zapomina.

Na stole stawia talerz świeżych truskawek. Są słodkie. Siedzimy przy stole w kuchni. Dlaczego wszystkie ważne rozmowy o życiu i o śmierci najlepiej wychodzą w kuchni? Tajga łasi się do nóg pana, chce wyjść na zewnątrz. Wróci niebawem z brzuchem zmoczonym w letnich kałużach. Za oknem przejaśniło się, siąpi jeszcze drobny kapuśniaczek, ale za chwilę będziemy mogli wyjść do kaplicy.

Tymczasem Ben wraca do opowieści o wydarzeniu, które całkowicie odmieniło jego życie. Niedługo po tym jak miał sen, Polska Misja Katolicka w Düsseldorfie zorganizowała pielgrzymkę do Sanktuarium Maryjnego w Neviges. Niedaleko, trzydzieści kilometrów od Düsseldorfu. Siedem godzin wędrówki.

– Znajomi z parafii namawiali mnie, bym poszedł. Nie chciałem. Mówiłem, że nie pójdę, bo nie lubię, bo nie chodzę, bo tylko stare baby chodzą na pielgrzymki. Ale mój przyjaciel Krawiec, tak go nazywaliśmy, zaparł się. Powiedział, że beze mnie nie pójdzie. Zapisał mnie, w końcu przyszedł do mojej żony. Mirka zaczęła prosić, żebym poszedł chociaż dla niego.

Wyruszyli rankiem 20 czerwca 1987 roku. W szesnaście osób. Benowi od razu bardzo się spodobało.

– Śpiewaliśmy pieśni oazowe, pogoda była piękna, świeciło słońce. Czułem wielką radość. Szliśmy bocznymi drogami, przez pola i lasy, mijaliśmy pagórki. Krajobraz coś mi przypominał. Kiedy przewodnik pokazał mi folder ze zdjęciami okolicy sanktuarium Neviges, aż się cofnąłem. Oczom nie wierzyłem. Ja to miejsce przecież znałem! Zapytałem przewodnika, czy tam są też skały. „Są spiczaste budowle z betonu na pamiątkę Namiotów Spotkania, które Izraelici zbudowali po wyjściu z Egiptu i zawarciu przymierza z Bogiem”. „Czy jest dolna świątynia?” „Jest”. „A dziwna półokrągła budowla z filarami, a nad każdym z nich okno?” – dopytywałem. „To dom pielgrzyma z arkadami”. Przewodnik był zdziwiony moimi pytaniami. A ja powiedziałem, że dalej nie idę, bo to miejsce mi się już śniło i widziałem we śnie swój pogrzeb. To tak jakbym szedł po własną śmierć. Zaczął się śmiać, a za nim inni. W tym momencie przypomniałem sobie słowa ojca, który powtarzał mi: „Synu, od przeznaczenia nie uciekniesz”. Modliłem się i prosiłem Boga, by nie zabierał mnie teraz, bo co żona zrobi sama, jak sobie poradzi beze mnie. Doszliśmy do Neviges. Wszystko było takie, jak widziałem we śnie. Ta sama brama, przez którą weszliśmy do kościoła, te same ikony na ścianach. Zapytałem przewodnika o dolną świątynię. „Zaraz tam pójdziemy do spowiedzi” – powiedział. Zeszliśmy schodami w dół, a tam zobaczyłem długą czarną kotarę, sięgającą od sufitu do podłogi. Za nią stał konfesjonał. Wszedłem za kotarę. Przystąpiłem do spowiedzi. I wtedy wyszedł ze mnie diabeł – Ben mówi z emfazą, bez cienia wątpliwości. – Jestem pewny, że był we mnie. Wszedł, gdy byłem dzieckiem, wzrastał ze mną, wrósł we mnie korzeniami. Może inaczej nie można go było ze mnie wyrzucić jak przez śmierć kliniczną? – zawiesza głos. – Gdy wyszedł ze mnie, poczułem się lekki, szczęśliwy. Wolny!

– Czy jasne okno ze snu też było w Neviges? – pytam.

– Tak, po spowiedzi poszliśmy schodkami w górę do kaplicy adoracji Najświętszego Sakramentu, która tak jak w moim śnie znajdowała się po prawej stronie od konfesjonału. Kiedy otworzyliśmy drzwi, zalało nas światło. Jasność. W kaplicy było dużo lamp, a przez duże okna wpadały promienie letniego słońca. Tam po raz pierwszy zacząłem na głos chwalić i wielbić Boga. Dziękować Mu za wszystko. Od tamtej pielgrzymki i tamtej spowiedzi wiem, że należę do Boga, nie do szatana. Wiem, że Bóg do tej chwili mnie przygotowywał. W Neviges moje życie się zmieniło o sto osiemdziesiąt stopni. Tego dnia przestałem pić, palić, przeklinać. Kiedy wróciłem do domu, żona, którą nieraz karciłem, nawet wyzywałem, nie poznawała mnie. „Jak ty do mnie miło mówisz”, dziwiła się, a ja całowałem ją po stopach, bo dopiero wtedy odkryłem, że w domu mam anioła.

Viola Setkowicz od dawna obserwowała przemianę ojca.

– Zaczęła się już po wypadku, w czasie rekonwalescencji, gdy jeszcze mieszkał w Polsce. Mniej przeklinał, był spokojniejszy. Wcześniej znałam go jako rozpustnika – lubił kobiety i alkohol, na życie patrzył z przymrużeniem oka. Później, gdy zamieszkał w Niemczech, zmienił się jeszcze bardziej. Zobaczyłam zupełnie innego ojca: był miły, grzeczny, modlił się, zakładał grupy modlitewne. Przemiana była gruntowna.

Zza chmur wyjrzało wreszcie słońce. Wychodzimy do ogrodu. W trawie połyskuje woda, której nadmiaru ziemia nie jest w stanie wchłonąć. Przy płocie od strony kaplicy stoi niemal czterometrowej wysokości rzeźba. To Chrystus w cierniowej koronie, ze skrępowanymi rękami wyciągniętymi w niebo. U dołu stoi siostra Faustyna. Ben wyrzeźbił Jezusa i Sekretarkę Bożego Miłosierdzia w jednym kawałku dębowego drewna, którego szukał długo. Kaplicę zbudował w 1997 roku, dziesięć lat po przemianie w Neviges. Wcześniej, bo zaraz po powrocie z pielgrzymki, wstąpił do grupy modlitewnej Ruchu Światło-Życie przy polskiej parafii

w Düsseldorfie. Z kolegą Zenkiem Kapelą założył grupę modlitewną Kręgi Rodzin – spotykali się po domach i modlili. W tym czasie zaczął czytać *Dzienniczek*, a od 1988 roku, gdy żona zachorowała na nowotwór, zaczął się modlić Koronką do Miłosierdzia Bożego. Co roku chodził pieszo do Neviges. W październiku 1994 roku, półtora roku po beatyfikacji siostry Faustyny, pojechał na trzydniową pielgrzymkę do Rzymu.

– Poszliśmy do kościoła Santo Spirito, niedaleko placu Świętego Piotra, który jest w Rzymie centrum kultu Bożego Miłosierdzia. Siedziałem w ławce naprzeciwko obrazu Faustyny. Nie wiedziałem, co się dzieje, ale czułem wyraźnie, jak ściąga mnie wzrokiem. Nie mogłem oderwać od niej oczu. W pewnej chwili w sercu usłyszałem słowa: „Dlaczego ty nic nie robisz? Dlaczego nie szerzysz Bożego Miłosierdzia? Dałam ci różne obrazki, broszurki, nauczyłam Koronki, dałam *Dzienniczek*, wszystko leży u ciebie w domu, a ty nic nie robisz!”. Siostra Faustyna krzyczała na mnie. Szybko powiedziałem: „Tak, to wszystko prawda. Tak jest, siostro Faustyno, jak tylko wrócę do Düsseldorfu, z miejsca zabieram się do szerzenia kultu Bożego Miłosierdzia. Przyrzekam ci to”. Gdy to powiedziałem, miałem wrażenie, że przestała na mnie patrzeć rozgniewanym wzrokiem.

Po powrocie z Rzymu Ben założył grupę modlitewną Miłosierdzia Bożego w Rattingen, kolejne dwie przy polskich Misjach Katolickich w Monachium i w Malmö, w Szwecji. W 1996 roku, dwa lata po wizycie w rzymskim kościele Santo Spirito, kupił niewielki dom z działką w Tarcach Osiedlu pod Jarocinem. Znał te okolice, bo od lat przyjeżdżał tu do letniego domu szwagierki.

– Gdy zobaczyłem ładny prostokątny plac obok domu, wiedziałem, że to doskonałe miejsce na kaplicę Bożego Miłosierdzia.

Napotkał wiele przeciwności przy zakupie działki – największą był brak odpowiednich funduszy – ale otrzymał też sporo nieoczekiwanej pomocy od prywatnych sponsorów. Kaplicę zbudował według własnego projektu. Postawił ją w cztery miesiące. Tempo było szaleńcze. Gdy opowiadał o planach tak szybkiej budowy, wielu pukało się w głowę. Mówili: „To niemożliwe, kaplicę cmentarną budowaliśmy cztery lata”. A jednak udało się. Budowa kaplicy rozpoczęła się 17 maja 1997 roku, a pierwsza msza święta była w niej sprawowana już 5 października, w pięćdziesiątą dziewiątą rocznicę śmierci siostry Faustyny Kowalskiej. Kaplicę poświęcił biskup pomocniczy diecezji kaliskiej Teofil Wilski. Jan Ben Radecki przekazał kaplicę parafii Wilkowyja, której kościół pod wezwaniem Świętego Wojciecha jest oddalony od Tarc o siedem kilometrów. Od tamtej pory mieszkańcy wsi i okolic schodzą się w sobotnie wieczory, by uczestniczyć w niedzielnej liturgii, którą sprawuje proboszcz z Wilkowyi. Natomiast w niedziele o godzinie 15.00 Koronkę do Bożego Miłosierdzia prowadzi Ben – kustosz kaplicy, organista, chórzysta, i kościelny w jednej osobie. Coraz częściej do kaplicy zaglądają pielgrzymki.

Kaplica o jasnej elewacji i czerwonym dachu nie jest duża, ale ma prezbiterium, zakrystię i kruchtę. W ołtarzu, w środkowej części drewnianego tryptyku obraz Jezusa Miłosiernego pędzla Jana Jagodzińskiego z Wrocławia. Na ścianach obrazy świętych, dzięki którym kult Bożego Miłosierdzia szerzy się w świecie – świętej Faustyny (jest także jej relikwiarz), błogosławionego Michała Sopoćki i świętego Jana Pawła II.

– Kaplica jest wotum wdzięczności za Boże Miłosierdzie. Za ocalenie mnie od śmierci fizycznej i duchowej. I za uzdrowienie żony z sześciu przerzutów złośliwego nowotworu – wyjaśnia Jan Ben Radecki.

Kiedy opowiada historię powstania kaplicy i pokazuje szczegóły jej wystroju, w jego słowach słychać wdzięczność, ale i dumę. W każdym miejscu kaplicy widać, jak wiele wysiłku i miłości wkłada w jej utrzymanie.

– To miejsce jest radością mojego życia. Cieszę się, że zostawiam coś dla potomnych i przyczyniam się do szerzenia czci Bożego Miłosierdzia.

Tajga za drzwiami kaplicy kręci się niespokojnie. Wychodzimy. Szturcha pana nosem. Czas na kolację.

Święta i jej kardynał

Biskup Jan Zając: – Wiedzieliśmy od lekarzy, że sprawa jest bardzo poważna.

Ksiądz Andrzej Fryźlewicz: – Operacja została przeprowadzona natychmiast.

Siostra Elżbieta Siepak, rzeczniczka Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia: – Kardynał ufundował deseczki z drzewa sandałowego do nowej trumienki na relikwie siostry Faustyny. Ktoś te deseczki przywiózł do klasztoru. Ktoś inny usłyszał, że to od księdza kardynała, nie wiedział, do czego, i pomyślał, że on je przygotował dla siebie. Tak ciężki był jego stan.

Kardynał Kazimierz Nycz: – Niewielu wiedziało, że odmówił chemioterapii.

Piotr Macharski: – Wyglądało to tak, że po operacji stryj pojechał umrzeć do Księżówki w Zakopanem.

Siostra Elżbieta Siepak: – Cały nasz klasztor się modlił. Długo to trwało, kilka miesięcy.

Biskup Jan Zając: – To było działanie nadprzyrodzone. Pomogła interwencja siostry Faustyny.

Siostra Elżbieta Siepak: – To, że znowu się pojawił w klasztornej kaplicy w Łagiewnikach, mówiło samo za siebie. Znów był aktywny, działał. Podczas beatyfikacji siostry Faustyny już był zdrowy.

Kardynał Franciszek Macharski nie chciał rozmawiać o swoim uzdrowieniu. Podobnie jak o chorobie.

– Ja mam tylko jedno zadanie: modlić się o rozszerzenie kultu Bożego Miłosierdzia – mówił mi w 2012 roku.

Nie oponował, kiedy zapowiadałam, że opiszę jednak historię jego uzdrowienia jako jeden z cudów siostry Faustyny.

– Niech pani pisze... – powiedział.

Gdy przystąpiłam do pracy nad tekstem, był grudzień 2013 roku. Kardynał Macharski przebywał w szpitalu, w którym przeszedł operację po złamaniu kości udowej. Metropolita krakowski kardynał Stanisław Dziwisz prosił o modlitwę w intencji kardynała seniora. Operacja się udała, ale ogólny stan zdrowia był poważny. Podobnie jak w 1992 roku, choć wówczas był chory na co innego. Nowotwór złośliwy jelita grubego u kardynała Franciszka Macharskiego zdiagnozowano we wrześniu 1992 roku. Miał wówczas sześćdziesiąt pięć lat. Od trzynastu lat był arcybiskupem metropolitą krakowskim.

– Wiedzieliśmy, że dzieje się coś złego. Kardynał chudł, jadł coraz mniej i tylko potrawy łatwe do strawienia. Nikt jednak nie przypuszczał, że jest tak niedobrze – wspomina kardynał Kazimierz Nycz, metropolita warszawski, który był wówczas biskupem pomocniczym w Krakowie.

Kryzys nastąpił w pierwszą niedzielę września 1992 roku.

– Byliśmy na koronacji figury Matki Bożej Królowej Tatr na Rusinowej Polanie. Podczas schodzenia z Wiktorówek kardynał poprosił, aby wezwać lekarzy, gdyż dłużej nie jest w stanie znieść dolegliwości. – Ksiądz Andrzej Fryźlewicz, sekretarz kardynała Macharskiego od ponad trzydziestu lat,

dobrze zapamiętał tę nietypową prośbę, rozpoczynającą dramatyczny ciąg wydarzeń.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem w domu arcybiskupów krakowskich przy Franciszkańskiej 3 pojawili się chirurg profesor Otmar Gedliczka i onkolog doktor nauk medycznych Henryk Nosek. Był też ksiądz, a zarazem lekarz Krzysztof Szczygieł, który, zanim w wieku pięćdziesięciu sześciu lat przyjął święcenia kapłańskie, był ordynatorem w krakowskim Instytucie Onkologii. Konsylium zdecydowało o natychmiastowej hospitalizacji kardynała. W Instytucie Onkologii przy ulicy Garncarskiej stawił się już następnego dnia. Ktoś sugerował jeszcze, aby zabieg przeprowadzić w Wiedniu albo w Paryżu. Kardynał zdecydował, że zostaje w Krakowie. Operacja odbyła się we wtorek 8 września, w święto Narodzenia NMP.

– Guz był bardzo rozległy. Kardynał bardzo słaby. Lekarze nie dawali nadziei, że z tego wyjdzie – wspomina ksiądz Fryźlewicz.

Jeszcze tego samego dnia biskupi pomocniczy w Krakowie ogłosili komunikat, w którym prosili wiernych o modlitwę za chorego metropolitę, zawierzając jego szybki powrót do zdrowia Bożemu Miłosierdziu[23]. Ufność pokładano też w opiece Matki Bożej, bo operacja kardynała odbyła się w święto Jej Narodzenia i w tygodniu, w którym wypadały dwie inne uroczystości maryjne ważne dla archidiecezji. W niedzielę 6 września jeszcze on sam koronował figurę Matki Bożej na Rusinowej Polanie, ale nie mógł już nałożyć koron na figurę Matki Bożej Fatimskiej w kościele Arka Pana w Nowej Hucie, co było zaplanowane na niedzielę 13 września.

– Kardynał bardzo przeżywał, że nie może koronować figury Matki Bożej osobiście – mówi kardynał Kazimierz Nycz, który odwiedził metropolitę dzień po operacji.

Ale pobłogosławił korony. Stało się to w dzień uroczystości, 13 września rano, gdy ksiądz Fryźlewicz z księdzem Janem Zającem, dziś biskupem, przywieźli je do Instytutu Onkologii. Kilka godzin później w kościele w Nowej Hucie oraz na mszach świętych we wszystkich świątyniach archidiecezji został odczytany kolejny komunikat biskupów pomocniczych o stanie zdrowia kardynała z prośbą o modlitwę w jego intencji: „Niech trwa ona we wszystkich parafiach i wspólnotach zakonnych podczas mszy świętej i nabożeństw. Niech trwa we wszystkich sanktuariach Archidiecezji i w każdej wierzącej rodzinie. Jesteśmy pewni, że ta modlitwa wszystkich i każdego z was wyprosi u Boga szybki powrót do zdrowia naszemu Księdzu Kardynałowi oraz pomoże Mu przeżyć to szczególne Podwyższenie Krzyża w Jego życiu”[24].

– Nastąpiła powszechna modlitewna mobilizacja – tak ksiądz Fryźlewicz podsumowuje dni, w których ważyła się sprawa życia i śmierci arcybiskupa Krakowa.

Z Watykanu dzwonił sekretarz Jana Pawła II ksiądz Stanisław Dziwisz, dopytując o stan zdrowia kardynała. To tylko przypuszczenie, ale przecież graniczące z pewnością, że papież modlił się o zdrowie swojego przyjaciela. Czy papież modlił się również za wstawiennictwem siostry Faustyny? Tej, którą obaj otaczali kultem?

Hospitalizacja kardynała Macharskiego trwała jedenaście dni.

– Stryj nie chciał, aby go odwiedzać w szpitalu. Podłączony do aparatury był słaby, skrępowany sytuacją – mówi Piotr Macharski, bratanek kardynała, który jako jedyny z rodziny widział go tuż po operacji.

W domu przy Franciszkańskiej 3 opiekę nad kardynałem przejęły profesjonalne pielęgniarki – siostry sercanki. Po trzech tygodniach rekonwalescencji czuł się na tyle dobrze, że 14 października można go było

zawieźć do Księżówki w Zakopanem, gdzie tyle razy wypoczywał albo odbywał rekolekcje.

– Wraz z lekarzami – profesorem Kołodziejskim, profesorem Gedliczką i doktorem Noskiem – pojechaliśmy odwiedzić kardynała w Zakopanem – opowiada kardynał Kazimierz Nycz. – Ukrytym celem lekarzy było namówienie kardynała na poddanie się chemioterapii. Wprawdzie nie stwierdzili przerzutów, ale ponieważ guz był rozległy, dla bezpieczeństwa zaproponowali chemię. Kardynał zapytał, czy jako fachowcy dobrze wykonali swoją pracę, czy zlokalizowali i usunęli nowotwór. Potem zostawił nas na piętnaście minut i poszedł do kaplicy. Gdy wrócił, zacytował fragment listu świętego Ignacego z Antiochii do Rzymian, który był tego dnia w brewiarzu: „(...) nie starajcie się o moje uwolnienie, chcę być starty przez kły lwów jak pszenica". I powiedział: „Co ma być, to będzie. Ja przyjmuję każdą wolę Bożą". – Kardynał Nycz zapamiętał dobrze słowa, które charakteryzują całą postawę ówczesnego arcybiskupa Krakowa.

Z Zakopanego kardynał Macharski powrócił 25 listopada. Dwa dni później koncelebrował mszę świętą i wygłosił kazanie do kleryków seminarium, nazajutrz spotkał się z księżmi dziekanami archidiecezji. Co dzień przybywało zadań i obowiązków. 5 grudnia pojechał do Częstochowy na pogrzeb biskupa Franciszka Musiała[25].

Piotr Macharski: – Wszyscy się dziwili, że stryj wyzdrowiał.

Chwile zwątpienia, że wyjdzie z tej choroby, miał sam kardynał: „(...) wydawało mi się, że to już wszystko będzie, że to koniec. Wyszedłem z tego... Wyszedłem i nie czekając w poczekalni nawrotu choroby, wziąłem się do roboty. Uważając, że trzeba przede wszystkim pilnować tego, żeby to, co się robi, było jak kropla po kropli..." – mówił sześć lat później

w wywiadzie prasowym[26]. Był to wyjątek od zasady, której przestrzegał także w gronie bliskich osób.

– Nigdy się nie skarżył na swoje zdrowie. Nie chciał też na jego temat rozmawiać. Gdy się o cokolwiek pytało, natychmiast zmieniał temat – mówi kardynał Nycz, który zna kardynała Macharskiego od kilkudziesięciu lat. Od czasu gdy w 1967 roku wstąpił do seminarium krakowskiego, którego rektorem trzy lata później został ksiądz Macharski.

Kardynał Macharski, jeśli chodzi o zdrowie, ma jeszcze jedną zasadę.

– Nigdy nie modlił się o swoje zdrowie. Zawsze o zdrowie dla innych. Mówił mi o tym kilkakrotnie – przypomina sobie Piotr Macharski, którego kontakty ze stryjem stały się bliższe, gdy kardynał został emerytem.

Kardynał Macharski modlił się w różnych intencjach – za świeckich i księży, za Kościół krakowski, za chorych, ale nigdy za siebie. Nawet wtedy, kiedy walczył z nowotworem.

– On tak bardzo ufa Bogu, że uważał, iż byłby niewierny Jemu i tej deklaracji – wewnętrznej i zewnętrznej, którą nosił wypisaną na mitrze: „Jezu, ufam Tobie” – gdyby chciał Pana Boga poprawiać. Powiedział więc: „Panie Boże, dopuściłeś chorobę, ja bym wolał, aby było inaczej, ale przyjąłem ją jako wyraz Twojej woli” – tłumaczy kardynał Kazimierz Nycz. – Myślę, że to jest duchowość na pograniczu mistycyzmu. On ufa Bogu naprawdę i przyjmuje wszystko, co mu przeznaczył i co na niego spada, jako wyraz woli Bożej.

Skoro kardynał Macharski nie modlił się o swoje zdrowie, nie mógł prosić w chorobie o wstawiennictwo siostry Faustyny. Nie mógł też powiedzieć, że uzdrowienie nastąpiło za jej przyczyną.

– Nigdy tego nie powiedział – zapewnia ksiądz Andrzej Fryźlewicz. – Wiele osób modliło się za księdza kardynała także za wstawiennictwem innych kandydatów na ołtarze.

A jednak gdy biskup Jan Zając mówi: „Pomogła interwencja siostry Faustyny”, wyraża nie tylko swoje przekonanie. Ma ono podstawy w kulcie kardynała Macharskiego dla siostry Faustyny i dla Bożego Miłosierdzia, sięgającym jeszcze okresu przedwojennego, oraz w ludzkiej ufności, że na taką miłość Bóg nie może zostać obojętny. Dlatego choć kardynał nie prosił o pomoc siostry Faustyny, błagali o to inni. Nie tylko siostry z Łagiewnik. Dowodem na to, że właśnie do Bożego Miłosierdzia wznoszono w 1992 roku wiele modlitw w intencji uzdrowienia kardynała Macharskiego, są komunikaty biskupów pomocniczych o stanie zdrowia metropolity. Nie mogło być dziełem przypadku, że w dwóch z nich zawierzali Bożemu Miłosierdziu jego powrót do zdrowia, a w liście z 19 września 1992 roku napisali: „W miesiącach, w których Kościół w Polsce przygotowuje się do beatyfikacji Sługi Bożej Faustyny Kowalskiej – wiernej apostołki w objawianiu światu Miłosierdzia Bożego – zatrzymujemy się szczególnie nad słowami umieszczonymi pod znanym wszystkim obrazem Miłosierdzia Bożego. Brzmią one: »JEZU, UFAM TOBIE«. Jest w nich streszczenie całego orędzia o Bogu, który jest sprawiedliwy i miłosierny, a pełnia Jego miłosierdzia objawia się w Jezusie Chrystusie. Pasterz modli się za lud sobie powierzony i za lud ofiaruje swój krzyż choroby. Lud Boży zaś modli się za swojego Pasterza”[27].

Kardynał Macharski był pierwszym w świecie hierarchą, który jako dewizę swej biskupiej posługi obrał słowa: „Jezu, ufam Tobie”. Miał je wyhaftowane na mitrze.

– Nie chciał nosić innej, przez cały okres arcybiskupstwa najczęściej wkładał tę z napisem „Jezu, ufam Tobie”. Kiedy się zużyła, prosił o nową taką samą. – Ksiądz Fryźlewicz zamówił je trzy, może cztery.

Gdy przed święceniami biskupimi, których 6 stycznia 1979 roku w bazylice Świętego Piotra udzielił mu Jan Paweł II, powiedział papieżowi,

jakie motto wybrał dla swej posługi, ten popatrzył tylko na niego „w wielkim skupieniu”[28]. Aby zrozumieć sens tego spojrzenia, trzeba przypomnieć, że w 1979 roku kult Bożego Miłosierdzia wciąż nie był przez Kościół oficjalnie uznany. Zaledwie rok wcześniej, w kwietniu 1978 roku, Kongregacja Nauki Wiary cofnęła obowiązujący przez dziewiętnaście lat zakaz tego kultu w formach podanych przez siostrę Faustynę. Dopiero w 1981 roku ukazało się drukiem pierwsze oficjalne wydanie *Dzienniczka*. Proces beatyfikacyjny siostry Faustyny zakończył się czternaście lat później. W tym kontekście widać, jak odważnym posunięciem był wybór takiej biskupiej dewizy. A na pewno konsekwentnie oddawał to, czym Franciszek Macharski żył od kilkudziesięciu lat i co kształtowało jego życie kapłańskie. Orędzie Bożego Miłosierdzia poznał jeszcze przed drugą wojną światową, w 1938 roku, gdy miał jedenaście lat. Mieszkał wówczas z rodzeństwem i rodzicami Zofią i Leopoldem – szanowanymi obywatelami miasta, współwłaścicielami restauracji Hawełka i pałacu Spiskiego – w dużej dwupiętrowej willi z ogrodem przy ulicy Wyspiańskiego. W jego ręce wpadł wówczas obrazek z wizerunkiem Jezusa Miłosiernego i podpisem „Jezu, ufam Tobie”. Później dowiedział się, że była to reprodukcja obrazu, który w 1934 roku namalował w Wilnie Eugeniusz Kazimirowski z inspiracji siostry Faustyny. Na odwrocie obrazka była umieszczona Koronka do Bożego Miłosierdzia, którą Jezus jej podyktował. Obrazki te zostały wydrukowane w Krakowie w 1937 roku staraniem księdza Michała Sopoćki i matki Ireny Krzyżanowskiej ze Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia. Zostały rozesłane do wszystkich klasztorów zgromadzenia, ale ponieważ w druku nie wypadły najlepiej i nie były chętnie kupowane przez wiernych, siostry je rozdawały. W ten sposób zaczęły krążyć wśród mieszkańców miast, w których znajdowały się klasztory zgromadzenia. Po latach kardynał Franciszek Macharski

w wywiadzie, którego udzielił Alinie Petrowej-Wasilewicz, mówił, że te obrazki towarzyszyły jego rodzinie przez całą okupację. „Kiedy przyszedł czas wojny, a my myśleliśmy, dając wiarę jakiejś przepowiedni, że będzie trwała sto dni, ten czarno-biały obrazek – znak ufności – pojawił się w naszych domach. Był blisko krzyżyka i wody święconej przy drzwiach wejściowych, która była szczególnie ważna, gdyż wówczas wychodziliśmy z domu i robiliśmy znak krzyża, będąc świadomi, że możemy już nigdy do niego nie wrócić. Nas, dzieci, było czworo, ojciec był ciężko chory, potem zmarł. Matka została wdową, my wychodziliśmy rano do pracy, na nasze zajęcia, na komplety do szkół średnich, a kiedy przyszedł wieczór, liczyła dzwonki. Jeden, dwa, trzy... cztery”[29]. Franciszek, rocznik 1927, był najmłodszy, starszy Władysław urodził się w 1925 roku, Nina w 1923 i najstarsza Maria w 1921 roku. Po zakończeniu wojny osiemnastoletni Franciszek, zwany w rodzinie „Nusikiem”, oznajmił matce, że nie może liczyć na jego pomoc w prowadzeniu rodzinnych interesów, gdyż zamierza wstąpić do seminarium duchownego.

– Rodzina była zaskoczona. Myślała, że jeżeli ktoś zostanie księdzem, to Władysław – mówi syn Władysława Piotr Macharski, gdy gawędzimy na parterze przedwojennej willi. Podzielona dziś między cztery rodziny przechowuje pamięć o jej pierwszych właścicielach.

Kardynała Macharskiego do kapłaństwa doprowadziło orędzie o Bożym Miłosierdziu i słowa: „Jezu, ufam Tobie”. Mówił o tym we wspomnianym wywiadzie: „Nie miałem wątpliwości w roku 1938, że te słowa poprowadzą mnie przez życie, nie miałem i później – że kształtują moje kapłaństwo. (...) Moc tego orędzia była dla mnie oczywista. Wiedziałem, że będzie się rozwijać, rozlewać. Kult będzie się szerzyć coraz bardziej”[30]. On sam ma w tym wielki udział. Zanim zaczął wspierać rozwój kultu jako arcybiskup krakowski, praktykował go osobiście. „Co najmniej dwa razy w miesiącu

jeździłem do Łagiewnik – 25. – w dzień, kiedy się urodziła i 5. – w dzień, kiedy zmarła siostra Faustyna. Jeździłem dyskretnie, po Mszy świętej, był to mój kult prywatny i bardzo osobisty, tak mocno do mnie to orędzie przemawiało”[31].

– Siostry opowiadały, że gdy był rektorem seminarium, przychodził do Łagiewnik pieszo – relacjonuje siostra Elżbieta Siepak, która kardynała poznała później.

Być może to pielgrzymowanie rektora seminarium było kontynuacją tradycji wędrowania rodziny Macharskich do Łagiewnik, która sięgała czasu zakończenia wojny, o czym Władysław opowiadał synowi Piotrowi. Krakowskie seminarium, położone pod Wawelem, na Podzamczu, od kaplicy w Łagiewnikach dzieli ponad pięć kilometrów. Dobry piechur przejdzie tę trasę w godzinę, ale pielgrzymi chodzą wolniej i dłużej. Ksiądz Macharski jeździł lub chodził do Łagiewnik sam, dyskretnie, i choć był rektorem seminarium, nie wprowadził „w oficjalny sposób nabożeństwa do Miłosierdzia Bożego”[32]. To wyznanie zdaje się bardzo dobrze charakteryzować księdza, rektora, a potem arcybiskupa Krakowa. Nigdy nie narzucał innym swojej duchowości, nie nawracał na siłę, co najwyżej proponował. Szanował wolność innych. Zawsze z klasą. Z lekkim dystansem, z humorem, z nieco ezopowym stylem wypowiadania się, który czynił z niego dość trudnego rozmówcę. Od kiedy w 1979 roku został arcybiskupem Krakowa, nie mógł już z racji obowiązków bywać u grobu siostry Faustyny tak często i regularnie jak wcześniej.

– Czasem zajeżdżaliśmy do kaplicy tylko na krótką modlitwę, bez odprawiania mszy świętej – przypomina sobie ksiądz Fryźlewicz. Pamięta też, że do czasu beatyfikacji siostry Faustyny kardynał rozdał dziesiątki tysięcy obrazków Jezusa Miłosiernego z Koronką do Miłosierdzia Bożego na odwrocie.

Kardynał Macharski na wiele innych sposobów szerzył kult Bożego Miłosierdzia – poczynając od kazań, w których zawsze chociaż jednym zdaniem mówił o Bogu miłosiernym, przez zainicjowanie już w latach 80. wydania modlitewnika *Bóg bogaty w miłosierdzie...*, erygowanie Stowarzyszenia Apostołów Bożego Miłosierdzia „Faustinum", nadanie osiemnastu parafiom z dwustu sześciu, które utworzył, wezwania Miłosierdzia Bożego i siostry Faustyny, aż po budowę bazyliki Bożego Miłosierdzia, która dzięki pomocy wielu osób, a przede wszystkim Jana Pawła II, powstała w ekspresowym tempie. Wcześniej, bo już w 1985 roku, kardynał Macharski – oczywiście za zgodą i przy wsparciu papieża – postanowił, że w archidiecezji krakowskiej w pierwszą niedzielę po Wielkanocy oddawana będzie „uroczyście cześć miłosierdziu Bożemu"[33]. „To nie jedno nabożeństwo więcej, to nie jedna więcej książeczka i obraz. Z nikim i niczym nieporównywalne nabożeństwo do Miłosierdzia Bożego decyduje o losach świata, o losach ludzkości. Żadna dyplomacja, żadna polityka, żadna ludzka przemyślność i umiejętność nie uratuje tego, co – wydaje się – idzie ku zgubie gotowanej przez człowieka nie tylko jednemu człowiekowi, ale ludzkości – jak tylko Jezus, Ten ukrzyżowany i zmartwychwstały. I mówię: przez Maryję!" – mówił kardynał w Łagiewnikach[34].

– Powiedzieć wtedy, w 1985 roku, że kult Bożego Miłosierdzia to nie jest tylko jedno nabożeństwo więcej, że od niego zależą losy świata, to wymagało dużej odwagi, a przede wszystkim wewnętrznego przekonania, że jest to autentycznie sprawa Boża – tak decyzję kardynała Macharskiego ocenia siostra Siepak.

Na skalę Kościoła lokalnego była to realizacja życzenia Jezusa objawionego siostrze Faustynie, aby w pierwszą niedzielę po Wielkanocy obchodzić święto Bożego Miłosierdzia. W całym Kościele to święto

ustanowił Jan Paweł II 30 kwietnia 2000 roku, w dniu kanonizacji siostry Faustyny.

Czy nie było zrządzeniem Bożej Opatrzności, że arcybiskupem Krakowa w czasie decydującym dla rozwoju kultu Bożego Miłosierdzia był człowiek, który całe swoje życie związał z tym orędziem? Czy bez niego, a wcześniej metropolity kardynała Karola Wojtyły, późniejszego papieża, ten rozwój byłby możliwy? Te dwie postacie mają wyjątkowe miejsce w łańcuchu osób, dzięki którym iskra Bożego Miłosierdzia, która wybuchła w Polsce, rozchodzi się stąd na cały świat: siostra Faustyna Kowalska, ksiądz Michał Sopoćko, ksiądz Józef Andrasz, Jan Paweł II, kardynał Franciszek Macharski...

Raz jeszcze sięgam do archiwalnej księgi, w której zostały odnotowane najważniejsze czynności duszpasterskie kardynała Franciszka Macharskiego w krytycznych, naznaczonych śmiertelną chorobą miesiącach 1992 i początku 1993 roku. Szukam informacji o Łagiewnikach. Po raz pierwszy po powrocie z rekonwalescencji w Zakopanem kardynał Macharski pojechał do grobu siostry Faustyny 13 lutego 1993 roku. O 7.00 odprawił mszę świętą. Powtórnie był tu już 19 lutego na odprawianym tradycyjnie w trzeci piątek miesiąca nabożeństwie ku czci Bożego Miłosierdzia. 25 marca był dniem szczególnym dla kardynała i dla całego Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia. Przeniesiono wówczas relikwie siostry Faustyny do ołtarza z obrazem Jezusa Miłosiernego. Zostały one umieszczone w małej trumnie z deseczek drzewa sandałowego, które kilka miesięcy wcześniej ufundował kardynał Macharski. Ustawienie na ołtarzu relikwiarza-trumienki, jeszcze zasłoniętego, oznaczało, że do dnia beatyfikacji jest już bardzo blisko. Zanim to nastąpiło, kardynał Macharski przyjechał jeszcze do Łagiewnik w Wielki Piątek, 9 kwietnia, aby o godzinie 15.00 odmówić w kaplicy Koronkę do Miłosierdzia Bożego,

rozpoczynając nowennę do Miłosierdzia Bożego. Kilka dni później był już w Watykanie. 18 kwietnia, w pierwszą niedzielę po Wielkanocy, stał przy ołtarzu na placu Świętego Piotra w chwili, gdy Jan Paweł II ogłaszał siostrę Faustynę Kowalską błogosławioną.

Kardynał Macharski długo czekał na ten moment. Modlił się o to od lat. O czym myślał w tamtej chwili? Czy również o swoim uzdrowieniu? Nazajutrz, gdy w Bazylice Świętego Jana na Lateranie odprawiał mszę świętą dziękczynną za beatyfikację siostry Faustyny, zauważył, że miała ona z daru Bożego „duchowe siły giganta. Stała się więc szerzycielką, apostołką Miłosierdzia Bożego, a jej wyłącznym sposobem bycia stało się życie dla bliźnich: »Imię moje ma być ofiara«”[35].

Następnego dnia, po wylądowaniu na lotnisku w Balicach, zamiast na Franciszkańską pojechał prosto do grobu błogosławionej Faustyny w Łagiewnikach.

– Jego miłość do siostry Faustyny jest widoczna. Wystarczy spojrzeć, jak odprawia mszę świętą przy ołtarzu z jej relikwiami – mówi siostra Siepak, która od lat spotyka tu kardynała. – Siostra Faustyna nie jest dla kardynała jeszcze jedną świętą. On naprawdę ją kocha. „Niech chociaż w Łagiewnikach będzie czyste źródło” – mawiał, gdy spotykał się z różnymi niewłaściwymi przejawami czci Bożego Miłosierdzia. Dlatego zabiegał o rozwój teologii miłosierdzia, patronował sympozjom naukowym i kongresom Apostołów Bożego Miłosierdzia – wymienia siostra Siepak.

W czerwcu 2005 roku kardynał Franciszek Macharski przeszedł na emeryturę. Znów mógł częściej jeździć do Łagiewnik. Był tam co miesiąc, piątego dnia miesiąca albo w okolicach tej daty. Bywał też na nabożeństwie do Bożego Miłosierdzia w trzecie piątki miesiąca. Przyjeżdżał rano, przed 7.00. Stawał przed ołtarzem jak zawsze wyprostowany, wysoki, może tylko szczupły bardziej niż zwykle. Mszę świętą odprawiał bez pośpiechu,

w skupieniu. Celebrował ją nie przy głównym ołtarzu, ale przy bocznym – tym po lewej stronie, z obrazem Jezusa Miłosiernego i trumienką świętej Faustyny. Po mszy jeszcze się modlił, a następnie szedł na śniadanie z siostrą przełożoną klasztoru.

– Kiedy w grudniu 2012 roku złamał biodro i przez jakiś czas nie mógł u nas bywać, siostra przełożona obiecała kardynałowi, że będziemy modlić się w tych intencjach, z którymi on przyjeżdża do nas – opowiada siostra Siepak. – Kardynał odpowiedział, że ma tylko jedną intencję: aby kult siostry Faustyny i Miłosierdzia Bożego się rozwijał, bo to jest ratunek dla świata.

W ostatnim dniu 2013 roku nadeszła informacja, że kardynał Macharski wrócił ze szpitala do domu. Do mieszkania przy Sanktuarium Świętego Brata Alberta Ecce Homo, gdzie przeprowadził się po przejściu na emeryturę.

Sięgam po homilię kardynała z 1993 roku: „Pielgrzymka do Miłosierdzia Bożego trwa przez całe ludzkie życie. Zaczyna się każdego ranka i nie skończy się aż w tej ostatniej godzinie, w której mrok ludzkiego życia wejdzie najpierw w mrok, ten mrok Golgoty, noc Golgoty, po to, żeby rozbłysnąć darem światła i patrzenia twarzą w twarz Tego, w którego uwierzyliśmy tam, gdzie nadzieja się spełni (...)”[36].

---

23 Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie (AKMKr), Komunikat Kurii Metropolitalnej, Kraków 8 września 1992.

24 AKMKr, Komunikat w sprawie choroby Księdza Kardynała, Kraków, 19 września 1992.

25 AKMKr, Książka czynności ks. abpa Fr. Macharskiego założona 30 grudnia 1978 roku do 31 grudnia 1996 roku.

26 *Trzeba dać z siebie wszystko*. Z księdzem kardynałem Franciszkiem Macharskim rozmawia Marek Bartosik, „Gazeta Krakowska”, 24–27 grudnia 1998, s. 9.

27 AKMKr, Komunikat o przebiegu leczenia Księdza Kardynała Franciszka Macharskiego, Kraków, 19 września 1992.

28 *Fajerwerk na trzecie tysiąclecie. O Bożym Miłosierdziu, Ojcu Świętym i św. Faustynie rozmawia Alina Petrowa-Wasilewicz*, Kraków 2003, s. 123–125.

29 Tamże, s. 123.

30 Tamże, s. 124–125.

31 Tamże, s. 124.

32 Tamże.

33 „Notificationes e Curia Metropolitana Cracoviensi”, rok CXXIII, styczeń–marzec 1985, nr 1–3, s. 45.

34 *Kazania o Miłosierdziu Bożym*, red. ks. W. Kubacki SJ i s. E. Siepak ZMBM, Kraków 1992, s. 29.

35 AKMKr, Kazanie na mszy św. dziękczynnej po beatyfikacji s. Faustyny Kowalskiej i Sługi Bożego Stanisława Kazimierczyka, bazylika Świętego Jana na Lateranie, 19 kwietnia 1993 r.

36 AKMKr, Kazanie na mszy św. dziękczynnej po beatyfikacji s. Faustyny Kowalskiej, Kraków Łagiewniki, 5 października 1993.

Deszcz cudów i łask

Cudownych uzdrowień za sprawą Bożego Miłosierdzia i wstawiennictwem świętej Faustyny, które z medycznego punktu widzenia nie miały prawa się wydarzyć, są tysiące. Jeszcze więcej jest uzdrowień duchowych, które często towarzyszą uzdrowieniom fizycznym. Nikt ich nigdy nie zliczy nie tylko dlatego, że nie każdy chce albo może mówić o nich publicznie. Wiele jest uważanych za cudowne tylko przez osoby, którym się przydarzyły. Ale są także inne, które w sposób obiektywny mogą być uznane za wydarzenia o charakterze nadprzyrodzonym.

Cud uzdrowienia Maureen Digan z USA w 1981 roku należy do jednego z najbardziej spektakularnych. Został oficjalnie uznany przez Kościół za nadzwyczajną interwencję siostry Faustyny i posłużył do jej procesu beatyfikacyjnego. Maureen Digan od piętnastego roku życia chorowała na obrzęk chłonny (lymphedema), czyli schorzenie gruczołów limfatycznych. „Między 15. a 20. rokiem życia przeszłam ponad 50 operacji. Przez 10 lat wielokrotnie powracałam do szpitala. Hospitalizacje trwały od tygodnia do 12 miesięcy. Mając lat 19, przeszłam operację kręgosłupa i przez 2 lata cierpiałam na paraliż od bioder w dół. Kiedy miałam 20 lat, przeprowadzono pierwszą amputację. Choroba w resztce nogi stała się jednak tak poważna, że musiano amputować mi nogę aż do

biodra”[37] – relacjonowała w procesie o uznanie cudu. Lekarze orzekli, że choroba jest nieuleczalna, nie podlega remisji, nie ma na nią leków. Maureen straciła także wiarę w Boga, ale silną wiarę miał jej mąż Robert. Kiedy w telewizji zobaczył film o orędziu Bożego Miłosierdzia i siostrze Faustynie, nabrał przekonania, że musi zawieźć żonę i ich ośmioletniego syna, który cierpiał na paraliż mózgowy, do sanktuarium w Łagiewnikach. U grobu siostry Faustyny Maureen Digan najpierw została uzdrowiona duchowo, przystąpiła do „pierwszej dobrej spowiedzi od wielu, wielu lat”. 28 marca 1981 roku wieczorem modliła się u grobu siostry Faustyny o uzdrowienie fizyczne. „Wciąż pozostając w nastroju niedowierzania, powiedziałam do s. Faustyny: »W porządku, siostro Faustyno, zrób coś z tym«. I oto ból ustąpił, a opuchlizna zeszła. Pomyślałam, że to objaw rozstroju nerwowego, ponieważ nie wierzyłam w cuda. Wypchałam swój but serwetkami, by nikt nie zauważył, że nie mam opuchlizny. Przestałam brać lekarstwa. Od tej chwili moja choroba ustąpiła całkowicie”[38]. Uzdrowiony został także syn Maureen i Roberta, ale po trzech i pół roku od tego wydarzenia zmarł.

Natomiast do procesu kanonizacyjnego błogosławionej siostry Faustyny został wykorzystany cud uzdrowienia duchownego, księdza Ronalda Pytla, mieszkającego w Baltimore w USA. Z medycznego punktu widzenia miał on uszkodzoną lewą komorę serca w sposób nieodwracalny. W czerwcu 1995 roku w słynnym szpitalu Johna Hopkinsa przeszedł zabieg wszczepienia sztucznej zastawki, a kardiolog Nickolas Fortuin, przestrzegając, że jest „na krawędzi katastrofy”, dawał mu co najwyżej kilka lat życia pod warunkiem unikania jakiegokolwiek wysiłku. Ksiądz Pytel, proboszcz parafii pod wezwaniem Różańca Świętego, musiał odwołać planowany na sierpień 1995 roku wyjazd z parafianami do sanktuarium w Łagiewnikach. Kult Miłosierdzia Bożego w baltimorskiej

parafii był dobrze znany, gdyż świątynia jest jednocześnie archidiecezjalnym sanktuarium Bożego Miłosierdzia. W Łagiewnikach u grobu błogosławionej siostry Faustyny pielgrzymi z USA modlili się o zdrowie dla swojego proboszcza. W tej intencji były odprawiane też msze święte. 9 listopada 1995 roku podczas kolejnego badania ksiądz Pytel usłyszał od tego samego kardiologa: „Ron, ktoś się wstawił za Tobą. (...) Twoje serce jest normalne”. Nickolas Fortuin nie byłby zaskoczony, jak mówił przy okazji procesu o uznanie cudu, gdyby ogólnie stan zdrowia Ronalda się poprawił, „ale zupełne uzdrowienie zniszczonej lewej komory serca nie da się medycznie wytłumaczyć”[39].

W Azji, ale także w USA znany był Stanley Villavicencio z Cebu na Filipinach, który doznał cudu – jedni mówią: uzdrowienia, inni: wskrzeszenia. 3 marca 1993 roku przeszedł rozległy udar mózgu. Do szpitala trafił nieprzytomny, zapadł w śpiączkę, a po kolejnej dobie lekarze stwierdzili ustanie pracy serca i śmierć mózgu. Rodzina przygotowywała się do pogrzebu – była zamówiona trumna i miejsce na cmentarzu. Podpisany był już nawet akt zgonu. Tymczasem trzeciego dnia Stanley wstał z łóżka w doskonałym zdrowiu. W czasie gdy lekarze myśleli, że nie żyje, on przebywał w innej czasoprzestrzeni. Twierdził, że rozmawiał z Jezusem Miłosiernym. Zapytał On Stanleya, czy byłby gotów wrócić na ziemię i głosić orędzie Miłosierdzia Bożego, gdyż świat pilnie go potrzebuje. Stanley odpowiedział pozytywnie i się obudził. Mówił, że Jezus odtąd przychodził do niego w snach. Od 1993 roku podróżował po świecie, głosząc orędzie o Bożym Miłosierdziu. Odbył siedem tysięcy podróży ewangelizacyjnych. Nawiązałam kontakt z rodziną Stanleya, chciałam go odwiedzić, ale on odkładał rozmowę na czas, gdy poczuje się lepiej, gdyż chorował na nowotwór płuc. Zmarł w lipcu 2013 roku[40].

O historii cudownego uzdrowienia Uga Festy głośno było we Włoszech. W 1990 roku miał trzydzieści dziewięć lat, żonę, dwoje dzieci i od siedmiu lat nie wstawał z wózka inwalidzkiego. Chorował na stwardnienie rozsiane, miał epilepsję i silną wadę wzroku. Dręczył go też inny problem – nie mógł przebaczyć matce, która porzuciła go tuż po narodzeniu. Duchowe uzdrowienie Uga Festy zaczęło się wiosną 1990 roku podczas pielgrzymki do Lourdes, od kiedy przestał bluźnić. 28 kwietnia pojechał do Rzymu, gdzie spotkał Matkę Teresę, która zachęcała go do modlitwy do Bożego Miłosierdzia. Zakonnica dała mu kilka plakatów z obrazem Jezusa Miłosiernego. Dzień później Ugo wybrał się z nimi na audiencję generalną, prosząc Jana Pawła II o ich poświęcenie. „Ale jak można być w takim zwątpieniu, jeśli masz w ramionach Jezusa Miłosiernego? Powierz całego siebie Jemu i módl się, a siostra Faustyna wstawi się za tobą” – powiedział Papież, gdy podczas chwili rozmowy objawiła się ogromna rozpacz Uga. Papież namawiał go, by udał się do Sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Trento. „Kiedy przyjechałem do Trento, byłem nastawiony sceptycznie. Nie chciałem brać udziału w tych modlitwach, wydawały mi się przesadne”[41] – pisał Ugo o kilkudniowych rekolekcjach, na przełomie lipca i sierpnia 1990 roku, podczas których doświadczył podwójnego cudu. Pierwszy cud dotyczył uzdrowienia duchowego: Ugo przebaczył matce. W czwartym, ostatnim dniu rekolekcji doświadczył nadzwyczajnej interwencji Jezusa Miłosiernego. Stało się to 2 sierpnia 1990 roku. Ugo Festa modlił się w kaplicy. Siedział na wózku w pierwszym rzędzie, gdy zauważył, że Jezus Miłosierny na obrazie-ikonie poruszył się. „Pięć razy Pan Jezus wychodził z ram obrazu i obejmował mnie. Za szóstym razem powiedział mi: »Wstań«”. „Podnieś mnie, potrafisz?” – odpowiedział Ugo, który poczuł dotknięcie ręki. Po czym wstał z rękami wyciągniętymi w stronę obrazu. Ugo chodził. Ustąpiła też epilepsja, uleczony został

wzrok[42]. Po uzdrowieniu pracował jako wolontariusz w ośrodkach prowadzonych przez zgromadzenie Matki Teresy w Indiach i Afryce.

Cudownego fizyczno-duchowego uzdrowienia dwadzieścia lat temu doznał też pewien niemiecki ewangelik. Lekarze zdiagnozowali u niego nowotwór przysadki mózgowej. Guz uciskał lewe oko, powodując ślepnięcie. W czasie operacji lekarze usunęli zmiany nowotworowe, ale po roku wykryli przerzut. Tym razem guz uciskał na prawe oko. Kolejną operację pacjent przeszedł 16 lutego 1994 roku. „Na kilka dni przed operacją przyszedł do mnie we śnie Jezus i powiedział, że nie chce mnie jeszcze zabrać, gdyż jestem za młody. Moja żona Jadwiga i szwagier Paweł gorąco się za mnie modlili. W mojej intencji przyjmowali komunię świętą i codziennie modlili się do Miłosierdzia Bożego, odmawiając między innymi Koronkę. (...) W swoim życiu zbytnio nie przejmowałem się praktykami religijnymi. Jednak w obliczu śmierci zacząłem się modlić do Jezusa i prosić o pomoc siostrę Faustynę. Przy operacji miałem ze sobą obrazek Pana Jezusa Miłosiernego i błogosławionej s. Faustyny, który mocno przyciskałem do piersi. Z narkozy obudziłem się dopiero po 24 godzinach. Stwierdziłem, że widzę doskonale i nie potrzebuję okularów do czytania. (...) Wkrótce dowiedziałem się, że po otworzeniu czaszki nie znaleziono guza, pomimo że tomografia i wszystkie inne badania wyraźnie mówiły o nowotworze. Nic nie znaleziono! Jestem przekonany, że to było cudowne uzdrowienie, a we mnie nastąpiła przemiana duchowa, odzyskałem wiarę w Boga”[43].

Cuda i łaski otrzymane za wstawiennictwem siostry Faustyny zakonnice ze Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia zaczęły spisywać już po zakończeniu drugiej wojny światowej, przygotowując się w ten sposób do przyszłego procesu beatyfikacyjnego. Gdy w 1965 roku w archidiecezji krakowskiej rozpoczął się proces, zgromadzenie przekazało do trybunału

beatyfikacyjnego informacje o stu przypadkach cudownych uzdrowień i łask za wstawiennictwem siostry Faustyny. Te weszły w skład tak zwanego positio, czyli syntetycznie opracowanego całego materiału dowodowego zebranego w procesie[44]. Nie ma w nim natomiast 5918 cudów zgłoszonych przez zgromadzenie do trybunału w 1986 roku w drugim, watykańskim etapie procesu beatyfikacyjnego. Były to wyłącznie te cuda za wstawiennictwem siostry Faustyny, które zostały zgłoszone do klasztoru w Łagiewnikach. Jak wiadomo, do procesu o uznanie cudu wybrano przypadek Maureen Digan, ale wszystkie one wzmacniały argumenty na rzecz ogłoszenia siostry Faustyny błogosławioną [45]. Trudno zliczyć, ile od tamtej pory spłynęło do łagiewnickiego sanktuarium informacji o cudach i łaskach za przyczyną siostry Faustyny i Bożego Miłosierdzia (a przecież dzieją się one na całym świecie!). Niektóre z tych informacji są publikowane w kwartalniku „Orędzie Miłosierdzia”, a internauci wpisują je na stronie www.faustyna.pl.

Na pewno wydarzeniem, które wprawiło w zdumienie lekarzy, był powrót do zdrowia czteroletniego dziecka, które przez dwadzieścia trzy minuty przebywało pod wodą. Do wypadku doszło 23 marca 1987 roku na ulicy Baleya w Warszawie. „Wracałam z dzieckiem i moją mamą do domu, gdy mój 4-letni syn Januszek pobiegł przez trawnik, i w jednej chwili zniknął z powierzchni ziemi. (...) wpadł do studzienki kanalizacyjnej, wypełnionej wodą” [46] – relacjonowała matka trzy lata później. Dopiero po 23 minutach przebywania pod wodą, gdy przyjechała straż pożarna, chłopiec został wyciągnięty na powierzchnię. „Nieprzytomnego przewieziono karetką reanimacyjną na oddział intensywnej terapii przy ul. Litewskiej w Warszawie. Ponad godzinę dziecko było w stanie śmierci klinicznej. Lekarze dawali tylko 1 proc., że będzie żyło, a jeżeli przeżyje, to pozostanie w śpiączce. Przypadkiem dowiedziałam się od znajomych o s.

Faustynie. Uczepiłam się tej myśli jak ostatniej deski ratunku i z pełną wiarą modliłam się, prosząc ją o wstawiennictwo w mojej sprawie. Pożyczyłam jej *Dzienniczek* i mimo tak wielkiego bólu, z uwagą czytałam każdy rozdział”[47]. Dziecko wciąż nieprzytomne, karmione przez sondę, z bombą bakteryjną wchłoniętą w studzience kanalizacyjnej, zostało umieszczone w Centrum Zdrowia Dziecka. Półtora miesiąca później chłopiec w sposób nagły odzyskał przytomność, wzrok (wcześniej gałki oczne nie reagowały na światło) i nie chciał być karmiony przez sondę. „Nie mogłam początkowo uwierzyć, że to prawda, ale gdy zaalarmowałam personel pielęgniarski i medyczny, wszyscy byli wstrząśnięci takim obrotem sprawy. Był to bowiem fakt dla nich niepojęty, bo nawet sławy lekarskie wydały orzeczenie, że w najlepszym wypadku dziecko będzie nieprzytomne do końca życia”[48].

Kilka lat temu, 3 marca 2012 roku, pod Szczekocinami na trasie Warszawa–Kraków doszło do katastrofy kolejowej. W wyniku czołowego zderzenia dwóch pociągów zginęło szesnaście osób, a pięćdziesiąt siedem zostało rannych. Jedną z nich był Zbigniew Augustynek z Krakowa. „Obudziłem się na dole nasypu kolejowego, który był bardzo wysoki (...). Zrozumiałem, że na pomoc ludzką mogę liczyć tylko przez Boga. Przyszły mi na myśl trzy słowa, które wielokrotnie wypowiadałem w modlitwie: JEZU, UFAM TOBIE. Zacząłem się nimi modlić na głos, a może nawet krzyczeć. Po chwili z lasu wyszedł człowiek, a w moim przekonaniu Jezus – taki jak na obrazie w ołtarzu w bazylice w Łagiewnikach – i kroki skierował prosto do mnie. Przedstawił się z imienia i nazwiska i zapytał o moje. Wtedy dotarło do mnie, że jest to człowiek, ale jestem przekonany, że przysłał go Jezus. Zapewnił mnie, że będzie mnie ratował, a ja mam się trzymać. Na początku przykrył mnie własną kurtką, następnie zorganizował deskę strażacką do przenoszenia rannych, a potem zawołał kolegę, który

zatamował mi krew z rozciętej głowy. Razem transportowali mnie na drugą stronę nasypu, gdyż z tej strony niemożliwy był dojazd karetki ratunkowej. Ja w tym czasie parę razy traciłem przytomność. Po drugiej stronie nasypu, gdzie przy świetle reflektorów odbywała się akcja ratownicza, w wykonaniu służb zawodowych, musiał zorganizować mi karetkę, gdyż nie miałem opaski od ratowników medycznych, co mnie dyskwalifikowało od przewozu karetką. Słyszałem taką rozmowę: »Pan musi mu dać karetkę, on ma złamany kręgosłup, miednicę, nogi, żebro, które mu przebija płuco, rozciętą głowę, duży upływ krwi, obrażenia wewnętrzne i traci przytomność«. Odpowiedź była taka: »Nie zawracaj głowy, ja tu jestem dowódcą«. Ja nie mogłem potwierdzić, gdyż nie miałem siły, jednak szeptem powtarzałem słowa: JEZU, UFAM TOBIE. Ciągle słyszę mojego ratownika, jak uparcie walczy o karetkę dla mnie. Wreszcie podchodzi do mnie i mówi: »Zaraz będzie transport«. Po chwili przychodzą ratownicy medyczni, biorą mnie na nosze, on mnie odprowadza do karetki. (...) Dostałem od Jezusa drugie życie, uważam to za cud. Miałem małe szanse na przeżycie, a jeśli już – to wózek inwalidzki. Dzisiaj po operacji w Miechowie i trzech operacjach w Szpitalu im. Rydygiera w Krakowie poruszam się o kulach, a wierzę, że będę chodził bez nich. Wierzę też, że ustąpią obecne dolegliwości urologiczne”[49].

W sanktuarium w Łagiewnikach pielgrzymi wypraszają nie tylko cudowne uzdrowienia dla siebie i bliskich z ciężkich chorób, także w takich stadiach rozwoju, że z medycznego punktu widzenia są one nieuleczalne. Nie tylko wypraszają powrót do pełnej sprawności po tragicznych wypadkach. Również otrzymują łaskę rodzicielstwa. „20 lat czekaliśmy na potomstwo” – napisali E. i M.W., którzy po ślubie w 1985 roku wyjechali z Polski do USA. „W 2003 roku odwiedziliśmy Polskę i sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Krakowie-Łagiewnikach. Tam złożyliśmy intencję

na mszę świętą z prośbą o dar macierzyństwa i ojcostwa. (...) Od tego dnia codziennie odmawiałam w tej intencji modlitwę o uproszenie tej łaski przez przyczynę św. Siostry Faustyny i Koronkę do Miłosierdzia Bożego. 1 października 2004 roku jeszcze raz przyjechaliśmy do Polski, by w łagiewnickim sanktuarium dziękować Panu Bogu za opiekę i dalej prosić przez przyczynę św. Siostry Faustyny o tę upragnioną łaskę potomstwa. Kilka dni później dowiedzieliśmy się, że nasza prośba została wysłuchana i że spodziewamy się dzieciątka. Otrzymaliśmy upragnioną łaskę, na którą czekaliśmy 20 lat. 4 czerwca 2005 roku urodził się nam zdrowy syn, któremu nadaliśmy imię John”[50].

W łagiewnickim sanktuarium są także świadectwa osób przekonanych, że Miłosierdziu Bożemu zawdzięczają ocalenie swoje lub bliskich w czasie wojen. W 1988 roku, w sanktuarium w Krakowie-Łagiewnikach opowiedział o swoim cudownym ocaleniu w czasie drugiej wojny światowej Jan Szponder. To, że 4 lipca 1943 roku wyszedł cało z pacyfikacji podkrakowskich Liszek przez Niemców, przypisywał Jezusowi Miłosiernemu. Dwa miesiące wcześniej, w maju 1943 roku, Szponder z dwoma kolegami z podziemnej narodowo-katolickiej organizacji młodzieżowej był krótko w Warszawie. W sposób niespodziewany na jedną noc znaleźli schronienie w klasztorze Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia przy ulicy Żytniej. Tam po raz pierwszy usłyszeli o siostrze Faustynie i zostali obdarowani obrazkami z wizerunkiem Jezusa Miłosiernego. 4 lipca 1943 roku Niemcy spędzili do centrum Liszek dwa tysiące mieszkańców. „Wywoływali jednego po drugim moich przyjaciół, kolegów. (...) Zaczynałem po wielekroć mówić »Zdrowaś Mario« i nigdy nie mogłem doprowadzić do końca, bo całe tabuny myśli przelatywały przez głowę (...) i pośród tego przyszła mi myśl jak błyskawica, że przecież ja mam przy sobie ten dany mi przez siostrę

w Warszawie obrazek (...) ani rusz nie mogłem sobie przypomnieć tych trzech prostych słów, które trzeba było wypowiedzieć. Zacząłem odmawiać coś w rodzaju litanii do Miłosierdzia Bożego, stwarzając najprzeróżniejsze kombinacje wezwań, pośród których zapewne było i to właściwe: »Jezu, ufam Tobie«”[51]. Wreszcie gestapowiec wywołał nazwisko: Jan Szponder. Szponder nie wstał. Ta sytuacja powtórzyła się kilka razy. Gestapowiec wywoływał jego nazwisko, on nie wstawał z ziemi. Trwało to dwanaście godzin, od godziny 6.00 do 18.00. Niemcy rozstrzelali trzydzieści osób. Jan Szponder przeżył.

Jedno z cudownych ocaleń życia w czasie wojny domowej w Rwandzie, w 1994 roku, opisał misjonarz ksiądz Jacek Waligórski. Podobnie jak inni pallotyni na misjach w tym kraju, szerzył on kult Bożego Miłosierdzia. „W ostatnim dniu mojego pobytu w Kansi chciałem przewieźć siostry Bizeramaryja w bezpieczne miejsce. Samochód został zatrzymany. Wyciągnięto siostry Tutsi. Podchodziły do mnie, prosząc o rozgrzeszenie. (...) Rozgrzeszałem je, myśląc, że za chwilę staną przed Panem. Wczoraj dałem im książeczki z nabożeństwem do Miłosierdzia Bożego, prosząc, aby się modliły. Po ruchach ich warg dostrzegłem, że się modlą; a może modliły się za oprawców, którzy w tym czasie wymachiwali zaostrzonymi kijami, służącymi do przebijania ciała ludzkiego, i robili wrażenie, że zaraz rzucą granatem. Widząc modlitwę sióstr, cieszyłem się, że w piekle nienawiści pozostały jeszcze osoby, które wierzyły w Miłość i Miłosierdzie. Sam byłem zdolny tylko do tego, by powtarzać: »Jezu, ufam Tobie«. W pewnym momencie nieoczekiwanie, jeden z żołnierzy zawołał: »Możecie powstać« [52]. Początkowo nie wierzyłem. Siostry, bez słowa pożegnania, odeszły w stronę granicy z Zairem. Głęboko wierzę, że ufność w Miłosierdzie Boże ocaliła życie skazanym na śmierć. To był już ostatni dzień pobytu w Rwandzie z moim współbratem ks. Henrykiem Cabałą. Wcześniej

wspólnie postanowiliśmy, że jeżeli uda nam się pomóc innym i sami pozostaniemy przy życiu, to pierwsze kroki skierujemy do sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Łagiewnikach do błogosławionej siostry Faustyny”[53] – napisał ksiądz Waligórski.

Ludobójstwo w Rwandzie pozostawiło w tych, którzy ocaleli, nie tylko rany fizyczne, świadczące o okrucieństwie zbrodniarzy, ale też bardzo głębokie rany psychiczne i duchowe. Ich uleczenie często było ponad ludzką miarę. W to miejsce przychodziło Boże Miłosierdzie. Opowiadał mi o tym ksiądz Stanisław Urbaniak, pallotyn, który w Ruhango wybudował Sanktuarium Jezusa Miłosiernego, a po wojnie Centrum Pojednania. Był świadkiem wielu – czasem heroicznych – aktów przebaczenia.

– W Ruhango uzdrowienia doznała dziewczyna, na oczach której zabito jej ojca. Morderca odciął mu palec i kazał córce zjeść. Połknęła go. Po tym znienawidziła pokarm, nie mogła jeść. Dzięki Bożemu Miłosierdziu przebaczyła oprawcy. A potem poszła do więzienia, by mu o tym powiedzieć. Następnie dwa, trzy razy w tygodniu nosiła mu do więzienia jedzenie – opowiada ksiądz Urbaniak. – Inny przykład: jest w naszej wspólnocie kobieta, której Hutu zamordowali męża i czworo dzieci. Ukrywali się w kościele, który buldożery zrównały z ziemią. Gdy wojna się skończyła, ona z czwórką pozostałych dzieci ruszyła przed siebie. Chciała iść tam, gdzie ludzie się modlą. Dotarła do Ruhango, o którym wcześniej nic nie słyszała. Osiedliła się w okolicy, zaangażowała w działalność charytatywną. Gotowała żywność dla więźniów, co mogło świadczyć o tym, że przebaczyła, ale ktoś zauważył, że nie chciała zanosić jedzenia do więzienia. Zawsze znalazła jakąś wymówkę. Przebaczyła dopiero w chwili, gdy podała więźniowi pierwszą miskę ryżu.

Uleczenia duchowego związanego z przebaczeniem oraz uleczenia fizycznego doświadczył w sanktuarium w niedzielę Bożego Miłosierdzia

w 2003 roku uczeń szkoły średniej z Ruhango. Chorował na złośliwy nowotwór jamy ustnej, a jak wyznał po uzdrowieniu: chorował na nienawiść.

– Chłopak miał zeszyt zatytułowany „Moi wrogowie”, gdzie zapisywał imiona wszystkich, którzy uczynili mu krzywdę. Gdy przebaczył tym ludziom i zaczął się za nich modlić, zmienił też tytuł zeszytu na: „Moi przyjaciele” – mówi ksiądz Urbaniak.

Łaska wyzwolenia z długotrwałych nałogów niszczących życie własne i innych – z narkomanii, alkoholizmu czy nikotynizmu – zazwyczaj dotyka ciało i duszę. „Byłam czynną narkomanką, przez 20 lat brałam heroinę. Zachorowałam na AIDS i kiedy byłam w ostatnim stadium choroby, jesienią 1998 roku, trafiłam do stowarzyszenia Dom Fides w Malborku – tak zaczyna swój list T.W. – Od pierwszego dnia pobytu w tym domu czynnie uczestniczyłam w modlitwach, takich jak: laudesy, nieszpory, Koronka do Miłosierdzia Bożego i innych regulaminowych zadaniach. (...) chociaż byłam katoliczką, wcześniej nigdy nie praktykowałam wiary, miałam mgliste pojęcie o Kościele i bardzo złą opinię o duchowieństwie wyrobioną na podstawie różnych plotek”. W ośrodku T.W. powoli odbudowała wiarę, podobnie jak mężczyzna, który został jej mężem, a który wcześniej walczył z Kościołem. „I dzisiaj mam męża, z którym żyjemy w związku pobłogosławionym przez Boga. Mamy własne mieszkanie i tworzymy normalną katolicką rodzinę. W mojej chorobie nastąpiła remisja, co w zdumienie wprawia lekarzy, bo minęło przecież tyle lat, a ja byłam już w ostatnim stadium tej choroby. Z całą odpowiedzialnością mogę stwierdzić, że to wszystko mogło się wydarzyć tylko dzięki miłosierdziu Boga, bo po ludzku rzecz biorąc nie było już dla mnie żadnej nadziei”[54].

Wstawiennictwu siostry Faustyny i Bożemu Miłosierdziu wiele osób przypisuje nawrócenia swoje albo tych, za których się modlili, łaskę spowiedzi po wielu latach, czasem w ostatniej chwili przed śmiercią. „Zastanawiałam się, jak wyrazić wdzięczność s. Faustynie, dzięki której po 40 latach oporów, buntów, niewiary, niemocy, zwątpień i walki serdecznej – wreszcie uklękłam u stóp konfesjonału, żeby – jak dawniej, będąc dzieckiem – z pokorą wyznać swe winy i prosić Pana Boga o przebaczenie”[55] – tak zaczyna się jedno ze świadectw w „Orędziu Miłosierdzia”. Jego autorka straciła wiarę, gdy miała osiemnaście lat, obrażona na Pana Boga za śmierć ojca. Długo żyła „bez Boga, bez Kościoła”, a świat się kręcił wokół pracy, studiów, partii, domu, z którego po rozwodzie wyprowadził się mąż. Ale powróciły pytania o Boga, z czasem coraz bardziej uporczywe. „I wtedy po cichu, wewnętrznie zaczęłam nieśmiało prosić Boga, którego miało nie być: »Panie, Boże, jeśli jesteś, a wiara jest łaską Twoją, to daj mi choć kropelkę tej wiary albo człowieka, który pokaże drogę, jak szukać!«”[56]. W 1988 roku poznała czcicielkę Bożego Miłosierdzia, która odtąd towarzyszyła jej w powolnym powrocie do wiary. Pierwsza próba sięgnięcia po *Dzienniczek* zakończyła się fiaskiem – wydawał jej się... prostacki. Zaczęła jednak odmawiać modlitwy do Bożego Miłosierdzia, Koronkę, nowenny do siostry Faustyny. „Zaczęłam chodzić do kościoła na msze św., ale tylko stałam, bo do spowiedzi iść jeszcze nie mogłam. (...) Aż wreszcie 15 sierpnia 1992 roku gdy byłam w kościele, w czasie kazania, ksiądz wyciągnął ręce i zawołał: »Może od lat szukasz drogi do konfesjonału. Zrób to dziś, nie bój się«. Przestałam się bać, poszłam. Wiem, że bez s. Faustyny byłoby to niemożliwe. Z ulgą, płaczem wielkim, pokrzepiona dobrym słowem wspaniałego spowiednika odeszłam od konfesjonału z ogromną nadzieją, że

już teraz – czując nadal opiekę s. Faustyny – pójdę dalej przez swe samotne życie jako dziecko Boga, który przebaczył mi wszystko”[57].

Czasem odzyskanie wiary przychodzi w sposób zaskakujący. „Przez 50 lat byłam osobą niewierzącą, ale poszukującą (no, może nie od razu)” – to świadectwo kobiety, która przyznaje, że jedyną postacią religijną, jaka ją interesowała, był Jan Paweł II. „(...) nadszedł rok 2002 i transmisja uroczystości z Łagiewnik. Podstawiłam krzesło bliżej telewizora i zaczęłam oglądać. Nie miałam pojęcia, co to są Łagiewniki, nic nie wiedziałam o Jezusie Miłosiernym ani o św. Siostrze Faustynie. Msza święta nie interesowała mnie. Obserwowałam tylko modlącego się papieża, który klęczał z głową wspartą na rękach. Modlił się pewno za takich jak ja. Moją uwagę przykuwał obraz Pana Jezusa, który kamery co jakiś czas pokazywały w zbliżeniu i w powiększeniu. Tak bardzo podobała mi się ta dobra twarz Jezusa i cała Jego postać, że wpadłam w dziwny zachwyt. Wtedy, w sposób po ludzku niewytłumaczalny, odzyskałam wiarę i zaczęłam się modlić”[58].

Wszystkich cudów i łask Bożego Miłosierdzia nie sposób ani wymienić, ani opisać. Dzieją się nieustannie. Ponad wszelkimi granicami – religijnymi, konfesyjnymi, narodowymi, społecznymi, politycznymi, naukowymi... Dotykają świata całego.

---

37 „Orędzie Miłosierdzia” 1992, nr 13.

38 Tamże.

39 „Orędzie Miłosierdzia” 1997, nr 22.

40Zob. http://stanleydivinemercy.blogspot.com/; http://filpsydivinemercy.blogspot.com/2008/01/divine-mercy-testimony-stanley.html.

41 http://www.obory.com.pl/?a=aktualnosc&typ=17&id_item=133; http://dzieckonmp.wordpress.com/2013/09/02/opowiesc-o-wielkim-cudzie-ugo-festa/.

42 Ks. Józef Orchowski, *Święta Siostra Faustyna i Boże Miłosierdzie*, Nowy Sącz 2002, s. 147–148.

43 „Orędzie Miłosierdzia” 1995, nr 18.

44 Congregatio de Causis Sanctorum, Cracovien. Canonizationis Servae Dei Faustinae Kowalska Instituti Sororum B.V.M. a Misericordia (1905–1938). Positio super virtutibus, vol. II, Roma 1991, s. 477–497.

45 Tamże.

46 „Orędzie Miłosierdzia” 1990, nr 8.

47 „Orędzie Miłosierdzia” 1995, nr 18.

48 Tamże.

49 „Orędzie Miłosierdzia” 2013, nr 86.

50 „Orędzie Miłosierdzia” 2006, nr 59.

51 „Orędzie Miłosierdzia” 1989, nr 6.

52 „Orędzie Miłosierdzia” 1995, nr 18.

53 Tamże.

54 „Orędzie Miłosierdzia” 2004, nr 50.

55 „Orędzie Miłosierdzia” 1993, nr 14.

56 Tamże.

57 Tamże.

58 „Orędzie Miłosierdzia” 2008, nr 65.

Podziękowania i prośba

Tej książki nie byłoby bez Bohaterów reportaży. Wszystkim bardzo dziękuję za zaufanie, którym zostałam obdarzona. Dziękuję za spotkania, długie godziny rozmów, za telefony. Za towarzyszenie mi w powstawaniu tekstów. Za życzliwość i pamięć. W sercu noszę każdego, a szczególnie śp. Mieczysława Nikodego, który zmarł cztery miesiące po naszym pierwszym spotkaniu.

Wdzięczna jestem także wielu innym osobom, które w różny sposób pomogły w powstaniu tej książki. Dziękuję: księdzu Grzegorzowi Ryngle wskiemu, Hannie Szulczewskiej, Salvatore de Bello, siostrze Elżbiecie Siepak, Joannie Brańskiej, księdzu Andrzejowi Fryźlewiczowi, księdzu Józefowi Treli, księdzu Przemysławowi Śliwińskiemu, księdzu Maurizo Meminiemu, księdzu Zenonowi Hanasowi, księdzu Sylwestrowi Matusiakowi, księdzu Józefowi Naumowiczowi, księdzu Krzysztofowi Poświacie, księdzu Adamowi Patejukowi, Barbarze Sułek-Kowalskiej, Dorocie Bardzińskiej, siostrom ze Zgromadzenia Matki Bożej Miłosierdzia w Koszycach i wielu innym osobom, które otaczały mnie życzliwością i modlitwą.

Jednocześnie bardzo proszę o kontakt osoby, które doznały w swoim życiu cudownej interwencji Jezusa Miłosiernego i świętej siostry Faustyny

oraz chciałyby o tym opowiedzieć. Mój adres mailowy to: e.czaczkowska@areopag21.pl

Bibliografia

Materiały archiwalne niedrukowane

Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie (AKMKr):

Kazanie na Mszy św. dziękczynnej po beatyfikacji S. Faustyny Kowalskiej, Kraków Łagiewniki, 5 października 1993.

Komunikat w sprawie choroby Księdza Kardynała, 8 września 1992.

Komunikat o przebiegu leczenia Księdza Kardynała Franciszka Macharskiego, Kraków, 19 września 1992.

Książka czynności ks. abpa Fr. Macharskiego założona 30 grudnia 1978 r. do 31 grudnia 1996 r.

Archiwum własne Joanny Brańskiej:

„Marszałkowska 60. Projekt edukacyjny", oprac. Władysław Jurkow.

Maszynopis polskiego tłumaczenia hasła „Perec Willenberg" w *Leksykonie żydowskich malarzy* autorstwa Józefa Handlera napisanym w języku jidysz.

Archiwum własne Mieczysława Nikodego:

M.K. Bejma ZMBM, *Nawrócenie religijne. Analiza psychologiczna*. Praca dyplomowa napisana na Podyplomowym Studium Poradnictwa

Psychologicznego i Psychoterapii KUL pod kierunkiem ks. doc. dr. hab. Władysława Prężyny, KUL, Lublin 1989.

Archiwum własne Samuela Willenberga:

Kenkarta na nazwisko: Baltazar Karol Pękosławski.

Listy Zofii Buszkowkiej do Baltazara Karola Pękosławskiego z 29 maja 1944 i 20 czerwca 1944.

Źródła drukowane

Congregatio de Causis Sanctorum, Cracovien. Canonizationis Servae Dei Faustinae Kowalska Instituti Sororum B.V.M. a Misericordia (1905–1938). Positio super virtutibus, vol. II, Roma 1991.

Fajerwerk na trzecie tysiąclecie. O Bożym Miłosierdziu, Ojcu Świętym i św. Faustynie rozmawia Alina Petrowa-Wasilewicz, Kraków 2003.

Jan Paweł II, Benedykt XVI rozważają Psalmy, Warszawa 2006.

Kazania o Miłosierdziu Bożym, red. ks. Wojciech Kubacki SJ i s. Elżbieta Siepak ZMBM, Kraków 1992.

Czaczkowska E.K., *Siostra Faustyna. Biografia Świętej*, Kraków 2012.

Giese A., *Polskie orły nad Renem*, Warszawa 2013.

Górny G., *Ziemia Obiecana* w: tegoż, *Ludzie z doliny śmierci*, Kraków 2013, s. 213–222.

Faustyna Kowalska M., *Dzienniczek. Miłosierdzie Boże w duszy mojej*, Warszawa 2006.

Orchowski J., *Święta Siostra Faustyna i Boże Miłosierdzie*, Nowy Sącz 2002.

Siepak ZMBM M.E., *Zgromadzenie Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia w pełnieniu misji Apostołki Bożego Miłosierdzia* w: *Promieniowanie orędzia Miłosierdzia*, Kraków 2010.

Willenberg S., *Bunt w Treblince*, Warszawa 2004.

Czasopisma

„Focus Historia” 2011, nr 3.

„Gazeta Krakowska”, 24–27 grudnia 1998.

„Idziemy” 2013, nr 37.

„Nasze Słowo” 1947, nr 13.

„Notificationes e Curia Metropolitana Cracoviensi” rok CXXIII, styczeń–marzec 1985, nr 1–3.

„Orędzie Miłosierdzia” 1992–2013.

„Spotkania z Zabytkami” 1994, nr 8.

Strony internetowe

http://ahm.1944.pl/Samuel_Willenberg/2

http://dzieckonmp.wordpress.com/2013/09/02/opowiesc-o-wielkim-cudzie-ugo-festa/

http://filpsydivinemercy.blogspot.com/2008/01/divine-mercy-testimony-stanley.html

http://historiezapomniane.blogspot.com/2013/11/litwacy-czyli-praktyka-dziel-i-rzadz.html
www.magwil.lt/archiwum/2005/wmw-4/april-13.htm
http://stanleydivinemercy.blogspot.com/
www.treblinka.bho.pl/index.php?option=com_content&task=view&id=132&Itemid=77
czestochowa.gazeta.pl/czestochowa/56,35271,12610349,Zobaczcie__co_dzis_zostalo_po_zydowskiej_Czestochowie”9.html?

Projekt okładki
Agnieszka Kucharz-Gulis

Fotografie na okładce
Champion studio/shutterstock
oriontrail/shutterstock
www.faustyna.eu

Opieka redakcyjna
Agnieszka Rudziewicz

Redakcja
Elżbieta Kot

Korekta
Barbara Gąsiorowska
Barbara Wójcik

Copyright © by Ewa Czaczkowska 2014
© Copyright for this edition by SIW Znak Sp. z o.o., 2014

ISBN 978-83-240-3137-5

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37
Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink.com